



Mediatorka

WSZYSTKIE SMAKI ŻYCIA
W JEDNYM KOKTAJLU EMOCJI

EWA ZDUNEK

wydawnictwo
ab

Ewa Zdunek

MEDIATORKA



Ramię Zbyszka tkwiło po pachę w szczelinie za kominem. Nieszczęśnik skapitulował po trwających ponad dwadzieścia minut próbach uwolnienia się z pułapki. Pozycja, w której się znalazł, była podwójnie niekomfortowa. Zakleszczone ramię zdrętwiało i zaczął odczuwać ból, a ponadto tkwił w dość nieestetycznej pozycji: na czworakach z wypiętym kuprem. Do tego jeszcze pękła mu gumka w dresowych spodniach i one powoli mu opadały.

Zbyszek zamknął oczy i podjął kolejną próbę oswobodzenia ramienia. Szarpnął się raz i drugi. Na głowę posypało mu się trochę tynku, a z półeczki spadła figurka uśmiechniętego Buddy. Posążek na szczęście się nie potłukł, bo ochroniły go plecy Zbyszka, ale poturlał się pod drzwi. Zbyszek, zmęczony trwaniem w idiotycznej pozycji, opadł z wysiłkiem na pięty. Wtedy ktoś energicznie otworzył drzwi i Budda przeleciał przez pokój i uderzył prosto w wypięty zadek Zbyszka.

W tym czasie siedziałam w swoim biurze i czytałam akta sprawy. Rodzice małej Amelki dokuczali sobie w sposób niezwykle wyrafinowany. Pojawiły się oskarżenia o pedofilię i znęcanie się nad dzieckiem, o kradzież i pobicie, do tego porywali wzajemnie od siebie to dziecko niemal regularnie co trzy miesiące, a połączenia telefoniczne służyły im wyłącznie do wysyłania inwektyw i gróźb.

Gdzie tu było miejsce na mediację? Tylko czy ja w ogóle powinnam się nad tym zastanawiać? Przecież w każdej sprawie należy próbować.

Sięgnęłam po telefon. Nawet mnie zbyt nie zdziwiło, że oboje zgodzili się na spotkanie. Dzień jak co dzień, a sprawa jak każda inna. Umówiłam ich na jutro.

– Betka, ja już idę – powiedziałam w stronę półprzymkniętych drzwi. – Pamiętaj o dzisiejszym spotkaniu!

– Okej, okej, będę, pamiętam! – usłyszałam głos przyjaciółki. – Ja mam jeszcze karnych dzisiaj, może będzie podpisanie. Pracuję nad nimi od miesiąca. Termin mi się kończy, chwała Bogu!

Betka, moja najlepsza przyjaciółka, lubiła używać żargonowego języka mediatorów. Naszych klientów często nazywałyśmy „karniakami” – gdy chodziło o sprawy karne, „dzieciakami” – gdy chodziło o sprawy nieletnich, „rozwodnikami” – gdy sprawa dotyczyła rozwodu. Jakiś czas temu udało mi się wprawić w osłupienie wspólnego znajomego, gdy powiedziałam, że „będę wentylować parę”. Miałam na myśli sytuację, w której nie zareaguję, gdy zaczną się kłócić. Zasada była taka: pozwalamy klientom zrzucić emocje na pierwszych spotkaniach, interweniując wyłącznie wówczas, gdy istnieje groźba rękoczynów.

Betka, czyli Elżbieta, należała do osób niezwykle konkretnych i stanowczych. Znałyśmy się od dobrych paru lat i wiele razem przeżyłyśmy. Betka pracowała wcześniej jako policyjny negocjator. Do czasu, gdy podczas jednej z interwencji śmierć poniosło dziecko. Nikt jej o to nie obwinał, bo takie rzeczy się zdarzają, jednak na niej ta sprawa odcisnęła ogromne piętno. Odeszła z policji i przez jakiś czas pracowała w ośrodku wychowawczym z trudną młodzieżą. Była psychologiem. Doskonałym, najlepszym, jakiego spotkałam w życiu. Ciepła, ale stanowcza, pryncypialna, ale otwarta, komunikatywna i zarazem asertywna. Nic nie mogło jej powalić, takie przynajmniej robiła wrażenie. Fizycznie również. Była to kobieta dość wysoka, bardzo postawna, obdarzona przez naturę bujnymi, ciemnymi włosami, mocno zarysowanym podbródkiem i niskim jak na kobietę głosem.

Betka chętnie prowadziła mediacje w sprawach karnych, tych, których ja najbardziej nie lubiłam. Odnajdywała się w nich jak nikt, bezbłędnie odczytując prawdziwe intencje uczestników mediacji. Prokuratorzy i sędziowie cenili współpracę z nią, kierując do mediacji wiele nieoczywistych spraw. Betka zawsze umiała właściwie ocenić sytuację, widząc w najbardziej

utyskującym prawdziwego winowajcę, a tam, gdzie nikt nie mógł się połapać, o co chodzi, dostrzec zamiar i cel.

Zebrałam papiery, spięłam spinaczem i włożyłam do szuflady.

– Co masz? – Przyjaciółka weszła do pokoju jak zwykle energicznym, pewnym krokiem.

– Znów jakieś rozwodniki?

– Kontakty – odparłam i przeciągnęłam się. Wykonałam kilka wymachów ramionami i pokręciłam głową. – Kark mi zeszywniał. Czasem mam już serdecznie dość czytania tych akt. Współczuję sędziom. Wszystkie sprawy są takie same, ludzie się nienawidzą, oblewają wiadrami pomyj, wyciągają najgorsze brudy, a potem oczekują, że ktoś przyjdzie i to wszystko posprząta.

– Czyli standard – skwitowała Betka i opadła na stojący pod ścianą fotel.

Mebel ugiął się pod ciężarem korpulentnej przyjaciółki.

– Kiedyś spadniesz razem z tym fotelem do sąsiadów. Strop nie wytrzyma. – Pogroziłam jej palcem. – Musisz się tak rzucać?

– Wizualizuję się jako piórko – oświadczyła Betka. – Akceptacja siebie powoduje wzrost poczucia wartości.

Zaśmiałam się. Betka często żartowała ze swojej tuszy, której nie mogła się w żaden sposób pozbyć. Próbowала już wszystkiego – była na diecie, uprawiała sport, chodziła na taniec. Rezultat był taki, że mało który dietetyk wiedział więcej na temat bilansu kalorii niż ona. Wspaniale pływała, była mistrzynią salsy. Jej ciało stało się jędrne, ale tusza nie zniknęła.

– Zaprosiłaś Zbyszka? – zapytała Betka.

Przytaknęłam.

– Oczywiście, dziś ma jakieś proste zlecenie, jak powiedział, i powinien przyjść na czas. Odgrażał się, że przyprowdzi samotnego kolegę. Kandydata dla ciebie.

– Akurat! – Betka prychnęła jak kotka. – Same chudziny wśród tych jego przyjaciół!

– Trudno, żeby kominiarz ważył dwieście kilogramów! – Wzruszyłam ramionami, wstałam i podeszłam do szafy.

Urzędowałyśmy w trzypokojowym mieszkaniu, zaadaptowanym na biuro mediatorów, gabinet psychologiczny i psychiatryczny oraz poradnię uzależnień. Zdarzało się zatem, że klienci, nie przeczytawszy dokładnie tabliczki na drzwiach, trafiali najpierw do psychiatry albo terapeutki. Niektórym skądinąd bardzo by się to przydało. Nasze mediacje prowadziłyśmy na zmianę, uzgadniając ze sobą terminy spotkań z klientami.

Tego dnia nie prowadziłam żadnych mediacji, bo organizowałam skromne spotkanie dla przyjaciół, żeby uczcić finał swojej sprawy rozwodowej. Sądowy koszmar, który trwał ponad cztery lata, zamknął wreszcie sześćioletni i jak dotąd najgorszy rozdział mojego życia.

Każdy, nawet mediator, musi kiedyś odreagować. A tego typu spotkania nie należały u mnie do częstych. Odkąd życie osobiste zaczęło się sypać, uciekłam w pracę, i to tak dalece, że czasem zapominałam o istnieniu innego świata – tego, który nie składa się wyłącznie z konfliktów i wzajemnych pretensji. Wkrótce okazało się, że poza Betką i Zbyszkiem, zaprzyjaźnionym kominiarzem, nie stoi przy mnie nikt, kogo mogłabym określić mianem przyjaciela lub bodaj dobrego znajomego. Zbyszek był zresztą dawnym partnerem Betki, z którym jakiś czas temu pomieszkiwała. Z bliskiej relacji pozostała wzajemna przyjaźń, ja natomiast bardzo polubiłam wesołego kominiarza, który odwiedzał często nasze biuro i opowiadał anegdoty na temat swojej pracy.

Otworzyłam szafę i sięgnęłam po płaszcz.

– Kominiarz musi być jak kot dachowiec, zwinny, lekki i chudy. Inaczej dach by nie wytrzymał, że o drabinie nie wspomnę!

– E tam.

Roześmiałam się, a w tej samej chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– Twoi klienci. Nie spóźnij się, do zobaczenia!

– Jasne, o określonej godzinie wywalę tych ludzi na zbity pysk, jeśli się nie dogadają – usłyszałam już za plecami.

Otworzyłam drzwi. Do biura weszło dwóch mężczyzn. Powiedziałam „dzień dobry” i „do widzenia” i wyszłam. Nasze biuro mieściło się na pierwszym piętrze. Zbiegając po schodach, zastanawiałam się, dokąd udać się najpierw: do cukierni po tort czy do rodziców po dzieci. Szybko doszłam do wniosku, że jeśli najpierw odwiedzę cukiernię, a potem rodziców, wyjdzie mi taniej. Wizyta w cukierni w towarzystwie córek zawsze kończyła się katastrofą finansową. Na parterze zawróciłam więc i wyszłam na zewnątrz od strony podwórka zamiast od ulicy. Zwykły tort najprawdopodobniej uratował mi życie...

*

Zwykle pamiętamy, gdy coś wydarzyło się w życiu po raz pierwszy. Pierwszy krok może niekoniecznie, ale już pierwszy pocałunek, pierwszy zawód miłosny, pierwsze świństwo, które zrobił najlepszy przyjaciel, czy pierwszy dzień w pracy. Pamiętamy także wydarzenia, wydawałoby się, mało ważne, a niektóre wspominamy nawet inaczej, niż się wydarzyły. Pamięć to zdolność tak mocno niedoceniana, że zdajemy sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy zawodzi. Co zapamiętałam z tego wypadku? Prawie nic, choć moje zmysły zarejestrowały zapewne mnóstwo szczegółów. Nie pamiętałam nawet, co mnie zabiło. To odruch obronny, wypracowany przez lata maksymalny dystans do wszystkiego, co przykre.

– Jak się pani czuje? Coś panią boli? – Pochylił się nade mną młody mężczyzna.

Zbyt blisko przysunął twarz i skupiałam się na widocznych w jego nosie glutach. Mógłby coś z tym zrobić, wysmarkać albo wydłubać. Zawsze drażniły mnie takie zapchane nosy. Nie mogłam przestać o tym myśleć.

– Ma pan gluty w nosie – wybełkotałam. – Okropnie to wygląda.

Mężczyzna roześmiał się, ale też od razu wyprostował. Jego nos oddalił się o dobre pół metra.

– Jak się pani czuje? – powtórzył. – Boli panią głowa?

– Nie – sapnęłam. Ciężki i płytki oddech przeszkadzał mi w rozmowie. Mogłam albo spokojnie oddychać, albo wypowiadać słowa. Dziwne uczucie. – Dlaczego miałaby boleć mnie głowa? Mam trudności z oddychaniem.

– To przez złamane żebra – wyjaśnił mężczyzna, a ja domyśliłam się, że to lekarz.

Krążył wokół łóżka, na którym leżałam, i potraçał różne przedmioty. A to uderzył się o krawędź łóżka, a to popchnął stoliczek lub krzesło. Strasznie hałasował. Pomyślałam, że jeśli nie przestanie się tak objąć, to głowa rzeczywiście zacznie mnie boleć.

– Co mi jest? – zapytałam.

Lekarz zatrzymał się u wezglowia łóżka. Idiotyczne miejsce sobie wybrał, bo leżąc na wznak, mogłam patrzeć wyłącznie przed siebie. Ponadto drażniło mnie to, że szeleścił czymś za moją głową.

– Dwa dni temu została pani potrącona przez samochód, w wyniku czego doznała pani wstrząśnienia mózgu oraz straciła przytomność. Gdy przywieziono panią do szpitala, była pani posiniaczona, miała prawy bark wybity, a na głowie trzy szwy. Ma pani także złamane trzy żebra, stąd trudności w oddychaniu. Kręgosłup jest na szczęście cały.

– Nic nie pamiętam z wypadku – wyznałam szczerze. – Wraciałam z pracy do domu, zaprosiłam gości. Chciałam odebrać tort...

– Gdy poczuje się pani lepiej, chciałby z panią porozmawiać policjant – ciągnął lekarz. –

Z tego, co wiem, to nie było przypadkowe zdarzenie.

Lekarz wyszedł, przewracając po drodze kosz na śmieci, a ja zaczęłam się zastanawiać. Potrącenie przez samochód nieprzypadkowe? Czyli co? Zamach? Ale kto chciałby mnie zabić?! Chyba nie klienci, których sprawę ostatnio prowadziłam... Mężczyzna twierdził wprawdzie, że jego była żona jest chora na umyśle, ale powiedział to wtedy, gdy nie zgodziła się, aby podczas kontaktów z córką była obecna jego nowa partnerka. Kobiety często nie mogą odnaleźć się po rozwodzie i informację o tym, że były partner związał się z kimś i jest szczęśliwy, odbierają jako afront. Żyją w przekonaniu, że nowa kobieta wyrządzi wiele zła tylko dlatego, że zgodziła się na relację z mężczyzną, który już raz zawiódł.

Niemożliwe, to nie on ani nie ona. Rozmawiałam z nią dwukrotnie, przekonywałam, że obecność nowej osoby nie musi zakłócać kontaktu ojca z córką i wpływać na ich relację, być może nawet ją wzmocni. Klientka przeżywała w moim biurze swoją życiową porażkę, wypłakując żal i upokorzenie. W końcu to ona podjęła decyzję o rozstaniu, zarzucając mężowi nieczułość i brak empatii. Teraz, gdy on cieszył się z nowego związku, a ona cierpiała w samotności, cały świat wydawał się jej nieludzki i niesprawiedliwy. Nie mogła znieść widoku uśmiechniętej pary, która zaprasza do samochodu jej córkę. Nie mogła patrzeć na radość dziecka, które zadowolone wracało wieczorem do domu. Nie była w stanie słuchać barwnych opowieści o zafundowanych atrakcjach, na które jej nie było stać. Czuła się gorsza, zepchnięta na dalszy plan, zlekceważona. Tylko w ten jeden sposób, utrudniając kontakty, mogła przywrócić swoją dawną pozycję. Zakłócając ten sielankowy obrazek, czuła mściwą satysfakcję.

W takiej sytuacji powinna jednak raczej zasadzić się na konkubinę byłego męża, a nie na mnie. Nie, to z pewnością nie ona. Kto zatem? W kim miałam wroga?

Rozmyślenia przerwało wtargnięcie do sali Betki. Ona nigdy nie wchodziła tak po prostu. Nie mam pojęcia, jak jej się to udawało, ale wraz z jej pojawieniem się gdziekolwiek natychmiast robiło się jasno i ciepło.

– Cześć, stara! – zawołała od progu. – Mówiłam tym niedowiarkom, że znajdę cię w jednym kawałku! My jesteśmy z betonu lepione i byle jaki gnojek nie jest w stanie nas wykończyć! – Uśmiechnęłam się niewyraźnie. Betka zawsze wiedziała, co powiedzieć. Zbliżyła się do mojego łóżka i zlustrowała kartę pacjenta z taką miną, jakby była ordynatorem podczas obchodu. – Ale cię ten gnój załatwił!

Usiadła na brzegu łóżka, miażdżąc mi prawą nogę.

– Zbysia też tu przywieźli, prawie razem z tobą, jakbyście się zmówili – zarechotała i pogrzebała w torbie.

Betka nosiła torebkę wielkości pocztówki, a wyciągała z niej na zawołanie tak różne przedmioty, że trudno było uwierzyć, że ich nie wyczarowuje na poczekaniu. Na kołdrze położyła śrubokręt, szpulkę nici, miarkę i mały młotek.

– Przyszłaś mnie dobić? – zapytałam.

Betka zatrzęsła się ze śmiechu.

– Za późno. – Pokręciła głową. – Lekarze za dużo już w ciebie zainwestowali pracy i lekarstw. Państwu by się to nie opłaciło. Co innego pacjent świeżo puknięty na drodze. Takiego czasem bardziej opłaca się rozjechać raz a dobrze, zamiast zbierać i potem składać.

– A co się stało Zbyszkowi? – z trudem łapałam oddech.

Żebra bolały, a Betka rozśmieszała mnie bezlitośnie.

– Oberwał w kuper od złotego Buddy – wyjaśniła. – Ale leczy się już w domu.

Przyjaciółka, nie zważając na moje obrażenia, które niezwykle utrudniały tak prozaiczną czynność jak śmianie się, opisała mi ze szczegółami przygodę zaprzyjaźnionego kominiarza.

– Od razu poderwało go na nogi – kwiczała Betka, ocierając łzy. – Szarpnął ramię zza

pieca i wyrwał kilka cegieł, które poleciały na jego drugą rękę opartą o podłogę. W dodatku gacie mu spadły, więc czym prędzej znów runął na kolana. Biedak, wygląda teraz jak po zderzeniu z bykiem!

– A dlaczego ręka mu tam utknęła? – zaskrzeczałam, cały czas usiłując nie angażować zbytnio przepony.

Niestety, złośliwa wyobraźnia podsuwała mi obraz wypiętego Zbyszka bez spodni, zakleszczonego za kominkiem.

– Założył rękawiczki robocze, żeby mieć czyste paluszki! – rechotała Betka. – Elegancik się znalazł! Materiał zaczepił o cegłę i nasz kominiarz utknął. A gacie mu opadły, bo spał się na twoich torcikach i innych ciastach i gumka mu pękła.

– Przestań – jęczałam. – Lepiej powiedz, co wiesz o moim wypadku. Podobno policja się tym interesuje.

Betka szybko spoważniała. Wytarła nos w chusteczkę, co było nie tyle koniecznością, ile raczej graniem na zwłokę. Zagryzła wargi i popatrzyła na mnie badawczo.

– No mów – ponagliłam ją. – Nie bój się. Jakby mnie szlag trafił, to lekarzy masz pod ręką!

– On to zrobił celowo – zaczęła przyjaciółka zmienionym głosem. – Wszystkiego mogłam się po nim spodziewać, ale do licha, nie morderstwa! On chciał cię zabić. Nie udało mu się, bo wyszłaś z budynku innymi drzwiami niż zwykle. Musiał pokonać dłuższą drogę, więc tylko cię potrafił. I uciekł oczywiście, ale ludzie go widzieli! Podpytałam zaprzyjaźnionego policjanta.

– Kogo?! Mów wreszcie! – znecierpliwiłam się.

– Twojego byłego męża, Cezarego. To on chciał cię zabić – powiedziała Betka grobowym głosem.

Zamknęłam oczy i zapadłam w ciemność. Najczarniejszą z czarnych. Nie chciałam przecież tego pamiętać. Rozwód powinien przynieść ulgę, że wszystko już mam za sobą. O ironio! Ileż to razy przekonywałam swoich klientów, że orzeczenie sądu nie stanowi wrót do raję, nie załatwi za nich najważniejszych kwestii. We własnej sprawie popełniłam ten sam błąd co wszyscy – uległam iluzji, że rozstanie przerodzi się w separację, i godzinę po ogłoszeniu wyroku rozpocznę sielankowe życie, usiane wyłącznie dobrymi i przyjemnymi doświadczeniami. Jestem przecież taka mądra! Nie popełnię tych samych błędów!

Teraz fizyczny ból mieszał się z emocjonalnym. Ktoś usiłował mnie zabić. Ktoś chciał pozbawić mnie życia. Komuś zależało na tym, żebym przestała istnieć, nie mogła czuć, myśleć, płakać, wyrażać własnego zdania, cieszyć się latem, wychowywać dzieci, patrzeć, jak rosną i dojrzewają, sadzić kwiatów na balkonie. Ktoś postanowił, że mój czas dobiegł końca. Ktoś bardzo chciał brutalnie wkroczyć w moje istnienie. Ktoś? O, jakże łatwiej byłoby pogodzić się z wiadomością, że tym kimś jest pijany kierowca, nieuważny człowiek, który nieświadomie dopuścił się zaniedbania, że był to obcy, nieznan, nic mnie nieobchodzący mężczyzna!

Gdy otworzyłam oczy, Betka zamieniła się w jakiegoś faceta o mało sympatycznym wyrazie twarzy. W dodatku w policyjnej czapce.

Funkcjonariusz stał nade mną jak kat nad dobrą duszą i pisał protokół. Wszelkie zachęty, żeby usiadł, bo trudno mi zadzierać głowę, a nie lubię mówić w przestrzeń przed siebie, spełżyły na niczym. Policjant na służbie, w dodatku w mundurze, musi wykonywać czynności na stojąco.

– Jak pani pamięta przebieg wydarzenia? – zapytał i przygotował się do notowania.

Bezwiednie wzruszyłam ramionami i od razu przypomniałam sobie o swoim barku.

– Nijak – odparłam. – Nic nie pamiętam. Wyszłam z budynku i kolejny obraz, który przywołuję z pamięci, to szpital.

– Nic pani nie pamięta? Ani gdzie pani wyszła, ani skąd, ani jak nadszedł samochód?

Z której strony? – indagował policjant.

– No nie, mówię panu. Wyszłam z biura, schodziłam po schodach, myślałam o dzieciach i o torcie, otworzyłam drzwi, wyszłam i dalej już nic nie pamiętam.

– Które drzwi pani otworzyła? – dopytywał policjant, cały czas skrupulatnie notując.

– Zewnętrzne – odpowiedziałam. Mówienie sprawiało mi trudność. Tłumaczyłam to sobie fizycznymi obrażeniami, ale docierało już do mnie, że siniaki nie mają większego znaczenia. Dlaczego teraz nie mogłam się wyłączyć i przestać myśleć, reagując mechanicznie? Tyle razy praktykowałam to podczas mediacji. – To znaczy te, które wychodzą na podwórze.

– Zwykle wychodzi pani tamtędy?

– Nie, zwykle wychodzę tymi od strony ulicy – wyjaśniłam cierpliwie.

Czułam narastającą irytację. Niech on już sobie pójdzie!

– To dlaczego tym razem wyszła pani od podwórza? – dociekał policjant. – Spodziewała się pani ataku?

– Proszę pana, gdybym spodziewała się ataku, to w ogóle bym nie wyszła! – zniecierpliwiałam się. – Od strony podwórka mam bliżej do cukierni, a chciałam odebrać tort. Natomiast gdy idę prosto do domu, to otwieram te drzwi, które prowadzą na ulicę. Tam mam zaparkowany samochód.

Policjant wszystko skrupulatnie zanotował. Zapytał mnie jeszcze, czy wiem, kto mógłby być sprawcą i dlaczego, a gdy odpowiedziałam, że nie mam pojęcia, chciał wiedzieć, czy znam niejakiego Cezarego Drewnickiego. Po zanotowaniu, że owszem, ponieważ to mój były mąż, oraz po poinformowaniu mnie, że sprawca zdarzenia prawdopodobnie będzie ukarany w związku z artykułem 177 paragraf 1 kodeksu karnego, oddalił się.

Kiedy wyszedł, pojawiła się pielęgniarka, a gdy ona wyszła, nawiedził mnie niezdarny lekarz.

– Ruch jak na dworcu – mruknęłam pod nosem, a lekarz, zanim mnie zbadał, strącił ze stolika pojemniczki po lekarstwach. – Szkoda, że nie leżę na korytarzu. Przynajmniej drzwiami by nie trzaskali.

Przymknęłam oczy. Praca mediatora uczy dystansu. Ciągła styczność z emocjami na najwyższym poziomie, agresją ze strony klientów, wyzwiskami pod adresem wszystkich instytucji, ze szczególnym uwzględnieniem wymiaru sprawiedliwości, niesłusznymi oskarżeniami o stronniczość i korupcję, zderzenie z bezradnością oraz niedojrzałością wielu osób powoduje, że ci, którzy dłużej wykonują ten zawód, nie są już tak podatni na wysyłane przez otoczenie impulsy. Mediatora z długim stażem niezwykle trudno wyprowadzić z równowagi, zaskoczyć czymś. Ma to dobre i złe strony. Mediatorzy zachowują zimną krew i potrafią przyglądać się sprawom z dystansu, nie wyrażając ocen i opinii. Zarazem jednak tłamszą w sobie spontaniczność, nieuchronnie i nieodwracalnie przyzwyczajają się do nieokazywania emocji, prezentowania siebie w wystudiowanych i obliczonych na uzyskanie określonego efektu pozach. Mediatorzy z czasem obojętnieją, a ich wewnętrzny spokój, mylony z cierpliwością, stanowi syndrom zawodowego wypalenia.

Nie byłam jeszcze na tym etapie. Najlepiej świadczył o tym fakt, że gdy lekarz wyszedł, rozsypując po drodze swoje notatki, bardzo stanowczo i niekoniecznie grzecznie wyprosiłam jakąś zbłąkaną rodzinę, która wparowała do mojego pokoju dokładnie wtedy, gdy zapadałam w drzemkę. Za to komentarza odnośnie do poziomu mojego wychowania wysłuchałam ze stoickim spokojem.

Kolejne dni, które spędziłam w szpitalu, przynosiły nowe informacje, prawdziwy potok informacji. Dowiedziałam się przede wszystkim, że niedługo stąd wyjdę, ale rehabilitacja i dochodzenie do zdrowia potrwać kilka tygodni. Betka uspokoiła mnie, że Basia i Laura, moje

dwie córeczki, pozostają pod opieką moich rodziców, są całe i zdrowe i niebawem je zobaczę. To, że nie odwiedziły mnie w szpitalu, nie stanowiło dla mnie zaskoczenia. Wiązało się z ogromną wrogością, jaką moja matka żywiła do wszystkich lekarzy i pielęgniarek, przedkładając alternatywne metody leczenia nad konwencjonalne. W jej przekonaniu szpitale zostały powołane tylko po to, by niszczyć ludziom zdrowie, a nie je przywracać. Ojciec rzadko przeciwstawiał się matce, żyjąc niejako w swoim świecie wynalazcy i naukowca.

Tym razem ich postawa była mi na rękę. Czulałam, że ten wypadek wpłynął na mnie niekorzystnie, i nie chciałam, by dziewczynki to zobaczyły. Przez ostatnie miesiące, a nawet lata starałam się za wszelką cenę chronić je przed tym, czego doświadczałam. Zależało mi, by dorastały wesole, szczęśliwe, przekonane, że otaczający je ludzie kochają się i szanują. I choć zdawałam sobie sprawę, że nadejdzie taki moment, kiedy prawda o moim rozstaniu z Cezarym dotrze do dzieci, odwlekałam go, jak tylko mogłam najdłużej. W konsekwencji izolowałam się od własnych córek po to, by widywały mnie tylko wtedy, gdy niczego trudnego nie przeżywałam.

Pracowałam coraz dłużej, widując dzieci przed odprowadzeniem ich do przedszkola i krótko później, zanim dotarliśmy do dziadków. Powrót do domu, szybka kąpiel i czytanie przed snem nie zajmowały wiele czasu. Najgorsze były weekendy i dni świąteczne. Nie potrafiłam w pełni otworzyć się na dzieci, czerpiąc większą satysfakcję z tego, że właśnie drzemią, niż z chwil spędzonych na wspólnej zabawie. Przyczyny szukałam w innych, a nie w sobie. Nieudane małżeństwo, chropowata relacja z rodzicami, bardzo obciążająca psychicznie praca. Czy rozwód i wypadek mogły cokolwiek zmienić? Żyłam nadzieją, że tak, ale nie przeszkadzało mi, że ani rodzice, ani dzieci nie przyszli mnie odwiedzić. Ponownie znalazłam na to gładkie wytłumaczenie i znów winni byli inni, nie ja.

Fizyczne obrażenia goiły się szybko. Korzystałam jednak z okazji, by odpocząć od wszystkiego: pracy, dzieci i obowiązków. Gdy ktoś przez kilka lat z rzędu zaprzęgnięty jest w kierat powtarzalnych, codziennych czynności, przestaje odczuwać potrzebę zmiany. Praca staje się najlepszą przyjaciółką, pomaga zapomnieć o tym, co przykre, utrwała w człowieku wyimaginowany obraz doskonale zorganizowanej osoby, która podchodzi do życia na chłodno, bez zbędnych emocji. Niczym robot wykonuje poszczególne czynności, dokładnie i bez opóźnień. Takich pracowników chwali się za zaangażowanie, wynagradza, obarczając bardziej czasochłonnymi i odpowiedzialnymi zadaniami, by w końcu postawić ich na piedestale, z którego jeszcze szybciej ktoś inny, bardziej zaangażowany ich strąci. Wówczas przychodzi refleksja – po co to było?

Jak na ironię, zawód, który wykonywałam, utrwał we mnie przekonanie, że tak trzeba. Wszyscy mogą pozwolić sobie na chwilę słabości, załamanie, depresję, gorszy dzień. Mediatorzy – nigdy. Czy zastanawiałam się wtedy, dlaczego izoluję się także od dzieci? Teraz wiem, że nie. Przyjęłam po prostu, że widoczne na ciele ślady po wypadku mogłyby je przestraszyć, a mnie narazić na kłopot wytłumaczenia, co się stało. Nie chciałam okłamywać córek, więc uznałam, że najlepiej trzymać je od problemów z daleka. Potężny błąd, który jakże często wytykałam swoim klientom!

Policjant, który ponownie odwiedził mnie na oddziale, oznajmił, że śledztwo w sprawie potrącenia zostanie umorzona ze względu na niewykrycie sprawcy. To, że pięciu świadków rozpoznało mojego byłego męża jako kierującego pojazdem, stanowiło zbyt słabą poszlakę. Przyjęłam fakt do wiadomości i postanowiłam nie myśleć więcej o tej sprawie. Był to ogromny błąd, o czym miałam przekonać się już wkrótce.

Betka przejęła wszystkie moje mediacje. Klienci, z którymi byłam umówiona na kolejne dni, złożyli skargi do sądu, każdy oddzielną, utrzymując, że jest to manipulacja z mojej strony, spowodowana chęcią sprzyjania stronie przeciwnej. Na szczęście nie pozbawiło mnie to pracy.

Sprawy spływały z jeszcze większą częstotliwością niż przed wypadkiem i biedna Betka pracowała niemalże bez wytchnienia.

Kontuzjowany Zbyszek wrócił do pracy. Być może spowodował to wypadek z ręką, a może i tak miał to w planach, ale przyjął do pracy pomocnika, a raczej pomocniczkę, Mariannę. Zdaniem Betki Marianna zdecydowanie nie nadawała się do pracy jako kominiarz, bo była zbyt ładna.

– Jeszcze będzie z tego nieszczęście – wyrokowała – ktoś się na nią zapatrzy i spadnie z dachu. Ja ci to mówię.

– Nie mnie mów, tylko Zbyszkowi – odpowiadałam pogodnie.

Znałam usposobienie kominiarza. Lubił ładne kobiety, które przełamywały stereotyp niewieściej słabości. Spotykał się już ze strażniczką miejską, ochotniczką straży pożarnej, taksówkarką i panią, która na lotnisku przerzucała bagaże na taśmę. Wszystkie były młode, szczupłe, raczej drobne i niepospolicie ładne. I ze wszystkimi znajomość kończyła się najdalej po kilku miesiącach. Dokładnie wtedy, kiedy Zbyszek dochodził do wniosku, że wciąż, mimo wszystko, jest mężczyzną i powinien poszukać sobie typowej przedstawicielki słabej płci. Nie umiał się jednak przełamać i umówić na przykład z nauczycielką. No chyba że chodziłoby o nauczycielkę wychowania fizycznego.

Teraz sprawy wyglądały inaczej. Co innego bowiem spotykać się po pracy, a co innego w pracy. Zbyszek wprawdzie zapierał się, że to tylko pomocnica, a nie kandydatka do romansu, ale ogniki w jego oczach, gdy wspominał Mariannę, mówiły same za siebie. Tak twierdziła moja przyjaciółka.

Ostatnia nowina dotyczyła samej Betki. Otóż poznała podczas mediacji niezwykle interesującego pana, z którym od razu połączyła ją niewidzialna nić ponadzmysłowego porozumienia. Pan był świeżo rozwiedziony, w odpowiednim, czyli średnim wieku, nie należał do najszcuplejszych i bawił go rodzaj humoru, który prezentowała przyjaciółka.

– Ale wiesz przecież, że takie relacje to skuchy – mój surowy ton nie spodobał się Betce.

Popatrzyła na mnie krzywo i pokręciła głową.

– Z nim będzie inaczej – wyjaśniła. – Poza tym już jest po mediacji.

Niepisane zasady pracy mediatorów były podobne jak psychologów, psychiatrów czy terapeutów. Pod żadnym pozorem nie należy wchodzić w intymne relacje z klientami w trakcie mediacji. Mediator ma za zadanie wzbudzać zaufanie w ludziach, zjednywać ich sobie po to, by móc nakłonić do poszukiwania innych rozwiązań niż walka wręcz. Często stawałyśmy się obiektem zainteresowania ze strony mężczyzn, którym w ostatnim czasie brakowało kobiecego ciepła, wyrozumiałości i szczerzej rozmowy. Nić porozumienia, którą panowie błędnie interpretowali jako załączek romansu, prowadziła ich poprzez labirynt własnych wyobrażeń do punktu, w którym mogli już obiektywnie oceniać sytuację i podejmować samodzielne decyzje. Był to zwykle ten moment, kiedy mediatorka nie kojarzyła się już ze szczęściem i lekkością ducha, ale należała do przeszłości, obciążonej słabościami, o których każdy chciał jak najszybciej zapomnieć.

Mediatorów się nie poleca. Nie podaje znajomym numeru telefonu. Mediator, po wykonanej pracy, musi zniknąć z pola widzenia, żeby klient mógł zbudować nowe wyobrażenie o sobie jako o kimś, kto nigdy nie poniósł porażki.

Przyglądałam się rozpromienionej Betce, która z wypiekami na twarzy opowiadała o Macieju. Rozpływała się nad jego przyjemnym usposobieniem, męską urodą i trzeźwym spojrzeniem na świat. Imponowała jej jego postawa, pełna optymizmu i dystansu. Pogodzony z losem, pogodzony z życiem. Pogodzony z warunkami ugody. Nie chciałam mącić jej szczęścia, choć nie przekonywały mnie te argumenty. Postanowiłam poczekać z ostrzeżeniami. Gdy tego

typu rozterki dotyczą kogoś innego, a nie nas, rady, co robić, a czego nie robić, są takie proste!

– Jest jedna sprawa, która czeka na ciebie – zmieniła nagle temat Betka. – Sędzia z rodzinnego dopytywała się, kiedy wrócisz do pracy. Zależy jej, żebyś to ty poprowadziła tę mediację.

– To trochę poczeka – westchnęłam. Nie zdziwiła mnie zbyt ta wiadomość. Zdarzało się, że prokuratorzy lub sędziowie celowo odraczali terminy rozpraw, żeby niejako załapać się na ulubionego mediatora. – Wyjdę ze szpitala dopiero pojutrze, więc do pracy wrócę najwcześniej na początku lutego. Czeka mnie jeszcze tydzień rehabilitacji. Mam nadzieję, że wytrzymasz te dwa tygodnie. Muszę dojść do siebie po szpitalnej sielance. Mam nadzieję, że rodzice zgodzą się zaopiekować Basią i Laurą jeszcze przez kilka dni.

Betka rozłożyła ręce w akcie bezradności.

– Cóż ja mogę wobec przemocy! – krzyknęła dramatycznie. – Najwyżej znajdziesz w biurze moje wysuszone truchło, wyczerpane pracą ponad siły.

Betka chciała zademonstrować mi, w jakiej pozycji będzie leżała jako nieboszczka, i usiadła jednym pośladkiem na metalowym krześle, wysuwając przed siebie obie nogi, a ramiona rozkładając na boki. Odchyliła głowę, zamknęła oczy, wywaliła język na brodę i tak zamarła w bezruchu. W tej chwili do sali wkroczyła pielęgniarka. Jedno spojrzenie na Betkę sprawiło, że kobieta krzyknęła i upuściła na podłogę tacę z lekarstwami. Przyjaciółka poderwała się na równe nogi, przewracając z hałasem krzesło. Kiedy do sali wpadł zaniepokojony lekarz, poślizgnął się na rozsypanych pigułkach i wywalił jak długi tuż przed moim łóżkiem.

Przez kolejnych kilkanaście minut pielęgniarka i Betka zajmowały się poturbowanym i zdezorientowanym lekarzem, a ja ryczałam ze śmiechu, pokładając się na łóżku. W końcu ktoś obcuający na co dzień z pacjentami powinien być bardziej odporny na takie wstrząsające widoki.

*

– Będzie nam pani bardzo brakować – powiedział na pożegnanie lekarz.

Zabrzmiało to mocno nieszczerze, tym bardziej że podobno jeszcze dziś nie mógł wygodnie usiąść na krześle i musiał podkładać sobie coś miękkiego.

– Proszę nas odwiedzać – dodał. – Nam tu brakuje rozrywek.

Za progiem szpitala przywitało mnie mroźne styczniowe powietrze i przepiękne słońce. Typowy występujący pod naszą szerokością geograficzną paradoks meteorologiczny polegający na tym, że im więcej słońca, tym zimniej. Pojawił się także Zbyszek. Betka tego dnia siedziała w biurze.

– Zawieźć cię do domu? – zapytał.

Podjechał pod same drzwi swoim służbowym samochodem, który wyglądał jak karawan. Przepastna, czarna furgonetka. U niektórych wchodzących do szpitala i wychodzących z niego widok ten wywoływał zdumienie na twarzy.

– Powinno się jakoś od tyłu podjeżdżać – syknęła jedna pani. – Żeby tak przy ludziach...

– Wsiadaj, nieboszczko! – zagrzmiał Zbyszek i otworzył przede mną drzwi samochodu. – Jam twój Charon, do usług!

Zbyszek podwiózł mnie do domu rodziców. Po jego kontuzji nie było śladu, jak sam twierdził, a tak w ogóle to unikał tematu. Nie dopytywałam więc. Zależało mi, by jak najszybciej zobaczyć się z dziećmi. Pomimo całego dystansu do macierzyństwa kochałam córki i po tak długim czasie rozłąki tęskniłam za nimi.

Dom moich rodziców znajdował się w samym centrum miasta. Stamtąd mogłam spokojnie dostać się taksówką do własnego mieszkania. Nie chciałam narażać przyjaciela na nieuprzejme potraktowanie go przez moją matkę, która – nie wiedzieć dlaczego – nie znosiła

kominiarza. Dziewczynki natomiast przepadały za Zbyskiem. On lubił dzieci i chętnie proponował moim rozmaite rozrywki. Częściej w poczuciu obowiązku niż z czystej przyjemności towarzyszyłam im we wspólnych wyjściach. Cierpiałam, patrząc na nich rozbawionych. Gdy była sama z córkami, świat ograniczał się do nas trzech, w którymś towarzystwie zupełnie nieświadomie prawie natychmiast wyrzucałam siebie na margines, przez co wspólne wycieczki za miasto, wizyty na basenie, zabawy na lodowisku zamieniały się w rodzicielski obowiązek. Szybko robiłam się zmęczona. Teraz odczuwałam we mnie ból, który potęgował znane już uczucie znużenia.

Zbyszek przez całą drogę raczył mnie opowieściami o Mariannie, co zwiastowało bardzo długi i męczący wieczór. Wolałam tego uniknąć, dlatego zdecydowałam, że z domu rodziców wrócimy same.

Zbyszek odmalowywał przede mną wizję kobiety-kota, czarnej pantery i cyrkowej akrobatki w jednym. Biła od niego fascynacja, podziw i odrobina zazdrości, gdy opowiadał o jej wyczynach na dachu. Brzmiało to dość niewiarygodnie, jednak słuchałam z zaciekawieniem.

– Ona potrafi wejść do komina, przeczyścić go od środka, nawet się nie brudząc, potem przeskakuje na następny dach, i robi to samo. Nie przejmuje się ani wysokością, ani grawitacją. Nawet drabiny nie potrzebuje. Lata jak nietoperz.

– A może to jest nowa odsłona Batmana? – zażartowałam. – Taka nasza Batmanka.

– Barmanka chyba – obraził się Zbyszek. – Nie wierzysz mi, a to jest prawda. Ona jest niesamowita. Wczoraj weszła do kominka, bo coś w nim utknęło i żadna kula nie dawała temu rady. W lusterku widzieliśmy, że coś się jest na wysokości około trzech metrów w kominie. Bez drabiny nie dosięgniesz, od góry za wąsko, tylko komin rozbierać. A Marianna tam się dostała, skubana! Po ceglach weszła!

Ogromnie intrygowała mnie postać tajemniczej i niezwykle zwinnej Marianny. Ale ten temat musiałam zostawić na później. Podjechaliśmy bowiem pod dom rodziców. Podziękowałam Zbyszkowi, proponując jednocześnie, by wpadł kiedyś na obiad ze swoją kobietą-kotem. Ucieszył się, pomógł mi wysiąść z samochodu, a gdy w drzwiach willi pojawił się ojciec, pomachał mi na pożegnanie i odjechał.

Przeszłam przez furtkę i spojrzałam na ojca. Jak zwykle rozkojarzony, myślami był już pewnie przy najnowszym wynalazku. Z roztargnieniem podał mi rękę i odsunął się, bym mogła wejść do środka. Laura i Basia z piskiem dopadły mnie już w przedpokoju. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo za nimi tęskniłam. Nawet ból kontuzjowanych miejsc nie mącił mojej radości. Wyściskałam dziewczynki i wtedy zauważyłam matkę w progu przedpokoju.

– Rozbierz się i wejdź – powiedziała takim tonem, jakbym była dzieckiem. – Już dobrze się czujesz? Długo trzymali cię w tym szpitalu, zupełnie nie rozumiem po co. Przecież nic się nie stało!

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam w szafie. Ojciec zniknął w drzwiach gabinetu, najbliższej wyjścia. Zdjęłam buty i ruszyłam w głąb domu.

Matka szła przede mną, wyprostowana i surowa w swojej postawie. W pokoju usiadła na fotelu. Córki ciągnęły mnie za ręce, szczebiocząc jedna przez drugą. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie babci, żeby zamilkły i usiadły na kanapie, jedna obok drugiej.

– My już jedliśmy, ale jeśli jesteś głodna, to w kuchni coś jeszcze zostało – oznajmiła matka oficjalnie.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam takim samym tonem. – Nie będziemy wam już dłużej sprawiać kłopotu. Przyjechałam zabrać dziewczynki do domu, już się dobrze czuję, niedługo wracam do pracy.

Matka prychnęła niczym urażona kotka i spojrzała na mnie w sposób, który doskonale

znałam: lekceważenie pomieszane z politowaniem. Nie powiedziała jednak ani słowa, dając do zrozumienia, że wszystko mamy już dziś omówione. Stałam przed nią i czułam się jak nastolatka, a może nawet mała dziewczynka, której za chwilę oznajmią, jaką poniesie karę za swoje przewinienie. Jej postawa nie wzbudzała we mnie żadnych emocji. Ktoś, kto przyglądałby się tej scenie z boku, uznałby zapewne, że oto spotkały się dwie obce sobie i dość wrogo nastawione kobiety. Może synowa i teściowa, na pewno nie matka i córka. Ale do mnie to nie docierało. Nigdy nie doświadczałam od mojej matki czułości, nigdy nie była wobec mnie tkliwa ani wyrozumiała. Nasze relacje cechował głęboki chłód i dystans, przerywany sporadycznie przeblaskami chwilowej sympatii lub nienawiści. Nigdy nie rozmawiałyśmy szczerze i od serca. Zawsze nastawiona byłam na odbiór jej komunikatów, prostych i suchych w treści. Taka po prostu była. Do moich córek odnosiła się przyjaźniej, jakby cała niechęć skierowana w moją stronę ocieplała się ze względu na fakt, że to dzieci Cezarego. Matka go uwielbiała. Na swój sposób okazywała mu szacunek i przywiązanie. To, na co ja nigdy nie zasłużyłam, co było mi niedostępne, on otrzymał od razu i bez żadnych starań ze swojej strony.

Skinęłam na córki, które spłoszone popatrzyły na babcię, a gdy ta potakująco kiwnęła głową, wstały i grzecznie poszły do drugiego pokoju po swoje rzeczy. Basia zachowywała się, jakby była mechaniczną lalką, a bardziej żywiołowa Laura tym razem pozwoliła sobie na lekkie szuranie kapciami, co zostało natychmiast skorygowane przez babcię ostrym syknięciem. Tych kilka minut oczekiwania wydawało się wiecznością. Stałam w milczeniu, moja matka tkwiła w fotelu, a atmosfera była gęsta niczym śmietana. Dziewczynki wreszcie wróciły, niosąc w rękach swoje plecaczki. Poleciałam im pójść do przedpokoju i się ubrać. Sama spojrzałam przelotnie na matkę i powiedziałam:

– Dziękuję, że zajęliście się nimi. Bardzo mi pomogliście.

– Dzieci są ważne, nie ty – odparła szorstko matka. – Nie interesuje mnie, w co się znów wplątałaś, ale życzyłabym sobie, żebyś opamiętała się wreszcie. Cezary chciałby zabrać dzieci w tym tygodniu na wycieczkę do Egiptu – dodała tym samym tonem. – Przywieź je w czwartek.

– Cezary ma orzeczone kontakty w konkretne dni – odparowałam. – Nic mi nie wiadomo o jego planach, natomiast wiem, że usiłował mnie zabić. Rozumiem, że to nie ma dla ciebie znaczenia! – powiedziałam, zanim zdążyłam pomyśleć.

W jej obecności nigdy nie byłam mediatorem. Nie potrafiłam opanować emocji, stawałam się płaczącą histeryczką. Nienawidziłam tego.

Matka gwałtownie wstała z fotela. Jej oczy płonęły gniewem.

– Nie interesują mnie twoje bzdurne wymysły! – wysyczała. – Cezary to najuczciwszy i najszlachetniejszy człowiek na świecie, w przeciwieństwie do ciebie! To ogromna podłość z twojej strony, oskarżać go o coś tak obrzydliwego, w dodatku w obecności dzieci. Ale po tobie mogę się już wszystkiego spodziewać. Zwłaszcza po tym, co nawygadywałaś w sądzie, jak go oczerniłaś. Na szczęście policja dała wiarę jemu i nam, nie tobie! – Odwróciła się do mnie bokiem, widziałam, jak zaciska pięści. – Jesteś tu zaledwie tolerowana – dodała. – Ze względu na dziewczynki.

– Kiedyś przekonasz się, jaki to drań! – krzyknęłam w rozpacz. Nie potrafiłam już powstrzymać łez, choć zawsze obiecywałam sobie, że nie będę płakać w obecności mojej matki i moich dzieci. – Przekonasz się, gdy zedrze z ciebie skórę i zostawi cię na pastwę losu!

– Precz! – krzyknęła matka. – Wynoś się! Ty podła, niewdzięczna jędo!

Złapałam córki za ręce i wybiegłam. Zimne powietrze otrzeźwiło mnie nieco, przez co przestałam biec na oślep po zaśniewanej ulicy. Zatrzymałam się, a dziewczynki patrzyły na mnie przestraszone. Dostrzegłam w oddali autobus i wskazałam go palcem.

– Nie zdążyliśmy. Trudno, niedługo będzie następny – chciałam, żeby mój głos brzmiał

normalnie, ale wiedziałam, że nie zdołałam ukryć zdenerwowania. Trzęsłam się cała. – To z zimna – uspokajałam dziewczynki. – To z zimna. Urządzimy sobie teraz taką zabawę w zgadywanki. Zza rogu wyjeżdżają samochody, będziemy zgadywać, w jakim kolorze pojawi się następny, chcecie?

Laura przyklasnęła entuzjastycznie, Basia wciąż jeszcze przyglądała mi się z lekkim przestraszeniem.

– No, ja typuję, że będzie czerwony. – Uśmiechałam się tak mocno, że aż policzki zaczęły mi drętwieć.

Za wszelką cenę chciałam odwrócić uwagę dzieci od swojej twarzy. Czasem tak trudno opanować łzy...

*

– Marta, jest taka propozycja, żeby rozpocząć dyżury w sądach – tłumaczyła z przejęciem Betka. – Chodzi o to, by klienci mogli tam spotkać się z mediatorem, porozmawiać, dowiedzieć się, czym to się je i tak dalej. Sędziowie też mogliby porozumieć się z takim dyżurującym mediatorem, poznać go. Nasze zrzeczenie już obstawia część sądów, możemy i my.

Siedziałyśmy w biurze. Ze względu na ferie miałyśmy bardzo mało pracy. Praktycznie nic się nie działo. Dotychczas prowadzone przez Betkę sprawy zakończyły się, a nowe nie spływały. Zamierzałam wyjechać na tydzień z dziewczynkami, znów zostawiając Betkę samą w naszym skromnym gospodarstwie. Wprawdzie wyjazd nie był dla mnie wskazany, ale nie mogłam pogodzić się z myślą, że były mąż postawi na swoim. Pomimo skromnych funduszy podjęłam decyzję, że pojadę z córkami w najbliższą niedzielę na kilka dni w góry. Należało więc zrobić, ile się uda. Przez najbliższy tydzień chodziły do przedszkola, mocno niezadowolone, bo inne dzieci zostały w domach z rodzicami lub dziadkami. Wytłumaczyłam się jak zwykle pracą.

Razem z Betką uznałyśmy, że nadszedł dobry czas, by opracować nową strategię promowania mediacji, postarać się dotrzeć do kolejnych sędziów i prokuratorów, ruszyć z projektem mediacji pojednawczych w szkołach. Zawód mediatora należy bowiem do tych bardziej ryzykownych pod względem stabilizacji ekonomicznej. Nigdy nie można przewidzieć, ile spraw do nas spłynie, czy w ogóle będą, czy przyniosą zysk. Czasem nie wychodziłyśmy z biura, prowadząc spotkanie za spotkaniem, zdarzało się nawet, że prosiłyśmy zaprzyjaźnionego psychiatrę o udostępnienie pomieszczenia, tak wiele spraw i spotkań było do ogarnięcia.

Przychodził też taki czas jak teraz, kiedy wypatrywałyśmy z utęsknieniem jakiegokolwiek zlecenia. Wówczas ogarniały nas wątpliwości, czy ten zawód ma przyszłość, czy zdołamy się z tego utrzymać, czy to sytuacja przejściowa, czy zwiastująca kryzys. W ludziach wciąż bowiem tkwiło przekonanie, że mediator to niepotrzebna przeszkoda na drodze sądowej batalii, kolejna ręka wyciągnięta po pieniądze, ewentualnie kolejna osoba, która będzie pouczać, jak żyć. Przywykłe do ciągłego przekonywania, że negatywna cecha mediacji jest tylko jedna – finansowa, nie byłyśmy w stanie uchronić się od momentów zwątpienia w sens własnej pracy.

Co nas w niej trzymało? Trudno wyjaśnić. Może brak skrępowania sztywnym wymiarem czasu pracy, a może fakt, że pomagamy ludziom wybrnąć z kłopotów. A może też to, że gdy mamy okazję obserwować cudze zmagania z problemami, nasze wydają się nieistotne, łatwe do pokonania?

Betka wciąż należała do ZMS, czyli Zrzeszenia Mediatorów Stałych. Była to organizacja, która za cel stawiała sobie jednoczenie osób zajmujących się mediacją, prowadzenie szkoleń, seminariów, kursów, propagowanie idei mediacji w społeczeństwie i wspieranie mediatorów w ich pracy. W początkowym okresie wszyscy działający na danym terenie mediatorzy zgodzili

się, aby sprawy zlecane przez sądy trafiały do zrzeczenia, które wskaże najwłaściwszego mediatora. Chodziło o to, by dobrać właściwą osobę do danej sprawy oraz by każdy, kto należał do organizacji, miał szansę pracować. Idea była piękna, lecz rzeczywistość okazała się inna. Zarząd zrzeczenia składał się z pięciu osób, które arbitralnie decydowały, kto i jaką sprawę otrzyma. Zlecenia wysokopłatne, łatwe i pozwalające mediatorowi szybko wybić się w środowisku trafiały wyłącznie do członków zarządu bądź wytypowanych przez nich osób. Pozostali mogli czekać nawet kilka lat albo przyjmować sprawy najtrudniejsze i finansowo nieopłacalne.

Nie podobało mi się to i postanowiłam wypisać się z organizacji, ryzykując zawodową banicję. Wolałam już wrócić do pracy w instytucji państwowej niż angażować się w nieuczciwą działalność zrzeczenia. W dużej mierze dzięki Betce prowadziłam mediacje. Ona, choć nie pochwałała postawy zarządu, pragmatycznie podchodziła do sprawy.

– W pojedynkę nic nie zwojuję – mawiała. – A tak to mam przynajmniej dostęp do informacji, wiem, co się w tym bagienku dzieje. Zawsze lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć. No i klient się trafia.

Nie mogłam odmówić jej racji, choć nie byłam w stanie znieść panującego w zrzeczeniu rygoru. Zawdzięczałam więc Betce sprawy, które dla nas obu pozyskiwała. Zrzeczenie organizowało sporo spotkań z przedstawicielami prawników i pracowników socjalnych. Na takich spotkaniach Betka dyskretnie reklamowała siebie i mnie.

Ja starałam się pozyskiwać klientów, prowadząc kursy i szkolenia. Liczyłam, że przyjdzie taki dzień, kiedy klienci będą szukać mediatorów i monopol różnych organizacji się skończy. Nie przyjmowałam do wiadomości, że to się nigdy nie stanie. Paradoks naszej pracy polegał na tym, że im lepiej i efektywniej pracowałyśmy, tym mniej chętnie nas polecano. Nikt nie lubi bowiem świadków swoich porażek, a mediator zawsze kojarzy się z tym, o czym każdy chce jak najszybciej zapomnieć. Dlatego niczym Syzyf wciąż i wciąż musimy przypominać o swoim istnieniu, ale wyłącznie tym, którzy właśnie wpadli w tarapaty. Nie łudzimy się, że ci, którzy po zakończonej sprawie gorąco wyrażają swoją wdzięczność, będą chcieli o nas pamiętać.

Pomysł dyżurowania w sądach uznałam za bardzo dobry. Gdzie, jeśli nie tam, pojawiają się ci, których potrzebujemy. Ogarnęły mnie jednak wątpliwości, czy Zrzeczenie nie zaprotestuje, jeśli pojawię się w jednym z sądów, które umieścili na swojej liście. Przyjaciółka musiała więc dyskretnie rozeznac się w temacie podczas najbliższego zebrania.

– A co z tą sprawą, która miała na mnie czekać? – zapytałam po chwili. Zaparzyłam herbatę i pokroiłam ciasto. – Ta sędzia się rozmyśliła czy jak? Bo nic nie dostałam pocztą.

Betka nałożyła sobie spory kawałek sernika i plując okruchami, wybełkotała:

– Jest, jest. Przesłali ją na nasz adres, poradziłam jej przez telefon, żeby tak zrobili. Jakaś dziwna sprawa, trochę się w niej zorientowałam, bo termin był wyznaczony. Zatelefonowałam do powódki i pogadałyśmy przez chwilę.

Pokroiłam sernik do końca i przyniosłam kubki z parującą herbatą.

– Babcia i dziadek ubiegają się o ustalenie kontaktów z prawie pełnoletnim wnuczkiem, którego babcia co tydzień podwozi na fitness – referowała Betka. – Na mój nos i moje oko nie o niego tu chodzi.

– A o kogo? – Zamieszałam cukier w herbacie. – O psa?

– Nie wiem, czy mają psa. Ale mają córkę, bardzo chorą – ciągnęła Betka. – Kobieta jest przykuta do wózka, w dodatku od jakiegoś czasu nie ma z nią kontaktu.

Przerwałam mieszanie herbaty, bo sprawa mnie zaintrygowała.

– Co to znaczy, że nie mają kontaktu? Wyjechała? Zamilkła na wieki? No? – popędziałam przyjaciółkę, która zaniemówiła, żeby przełknąć. Po chwili, zamiast kontynuować, zaczęła

w skupieniu wydłubywać rodzyнки z kawałka ciasta. – Zostaw te rodzyнки, to nie trucizna. Mów.

– Wyglądają jak zdechłe robaki, brzydzę się – wzdygnęła się Betka. – Więcej nie wiem, bo babcia chciała umówić się na spotkanie, a ja wolałam, żebyś to ty z nią gadała. Kontakt z córką się urwał, bo chyba zięć się w to wmieszał. Zresztą nie wiem. W zeszycie zapisałam numer telefonu, zadzwoń do niej.

Wstałam i sięgnęłam po zeszyt. Zapisywałyśmy w nim wszystkie pilne wiadomości. Odnalazłam właściwy numer i wystukałam go w telefonie.

– Słucham? – usłyszałam dość dziarski, kobiecy głos.

– Witam panią, dzwonię w sprawie mediacji, którą zlecił sąd. Czy rozmawiam z panią...?
– zaczęłam standardowy monolog mediatora. – Możemy porozmawiać?

– Bardzo się cieszę i oczywiście zgadzam na mediację – padły szybkie słowa. – Ale teraz nie mogę rozmawiać. Może przyjadę do pani, to wszystko omówimy?

– No dobrze – zawahałam się – choć wolałabym, zanim pani do mnie przyjedzie, porozumieć się jeszcze z drugą stroną, czyli... – spojrzałam bezradnie na biurko, potem na Betkę w poszukiwaniu podpowiedzi. Przyjaciółka była jednak zajęta pochłanianiem kolejnego kawałka sernika.

– Tu chodzi o mojego zięcia – pomogła mi starsza pani. – Ja nie wiem, czy on się zgodzi, ale i tak chciałabym porozmawiać z panią w cztery oczy.

Ostrożnie zgodziłam się. Mediacja odbywa się pomiędzy zwaśnionymi stronami w obecności mediatora. Spotkania indywidualne są zgodne ze sztuką, ale wówczas, gdy obie strony przystąpiły już do mediacji i o tym wiedzą. Co zrobię, jeśli zięć odmówi udziału? Czego oczekuje ode mnie starsza pani? No cóż, tego miałam dowiedzieć się niebawem.

Gdy żegnałam moją rozmówczynię, do pokoju wszedł Zbyszek. Zobaczył ciasto i wyciągnął rękę uwalaną sadzą.

– Oszalałeś?! – powstrzymała go Betka. – Tym syfem będziesz nam tu sypał? Idź i umyj te łapska!

– One już są umyte! – zaprotestował. – Nie będą czystsze, bo ja jestem kominiarz, nie lekarz!

– Wszystko jedno! – nie ustępowała Betka. – To załóż rękawiczki albo jedz od razu gębą. Nie, zaraz, gębą nie, bo gęba też jest uwalana! No popatrz tylko, jak on wygląda!

– Jak kominiarz! – roześmiałam się. Przywykłam już do widoku czarnych obwódok wokół paznokci Zbyszka. Ponadto był brunetem o ciemnych oczach, który po pracy ubierał się na czarno, więc resztki sadzy na rękach nie stanowiły kontrastu z jego strojem.

– Betka, co ci odbiło, pierwszy raz mnie widzisz czy jak? – oburzył się Zbyszek. – Lepiej powiedz, że sama chcesz wszystko zeżreć!

Zbyszek pracował w swoim zawodzie od prawie dwudziestu lat, a my znałyśmy go od co najmniej dziesięciu. Czarne paznokcie i poczernione wnętrze dłoni stanowiły jego atrybut. Śmiał się kiedyś, że do kominiarskiego fachu przyjmują samych brunetów, żeby nikt nie miał pretensji, że mu włosy zmieniły kolor. Sadza jest wyłącznie czarna, a w dodatku tłusta, co sprawia, że niezwykle ciężko ją usunąć. Dlatego też kominiarz nosi czarny mundur z obowiązkowo trzynastoma guzikami. Powiada się, że prawdziwy fachowiec nigdy go nie zdejmuje, a gdyby zdjął, to pod mundurem ma i tak drugi mundur. Ale prawda jest taka, że pod mundurem kominiarz też jest czarny. Sadza dociera bowiem wszędzie.

– Uspokójcie się, zaraz pójde i wam dokupię – powiedziała pojednawczo.

Zbyszek zajął się czajnikiem, a ja włożyłam płaszcz i wyszłam z biura. Na parterze ogarnął mnie dziwny niepokój. Otworzyłam drzwi wejściowe, które prowadziły na podwórze, i niepokój zamienił się w strach. Stałam jak sparaliżowana, niezdolna do najmniejszego ruchu.

– Czy pani na mózg upadła! Takie zimno, a ona się wietrzy! – ryknął ktoś tuż nad moim uchem. Jakiś mężczyzna odepchnął mnie i z trzaskiem zamknął drzwi. – Jak pani tak gorąco, to niech się pani zamknie w chłodni! – dodał na odchodnym i zniknął za drzwiami narożnego mieszkania.

Wolno weszłam po schodach, a gdy znalazłam się w biurze, ciężko opadłam na krzesło.

– I rozumiesz, on tak na nich naskoczył, że ten komin mieli brudny, że aż zaczęli go przeproszać! – opowiadał wesołym tonem Zbyszek. Betka chichotała, zapychając usta ciastem. – Wykład im zrobił, że brudny komin to zagrożenie. Założę się, że od tamtej pory nie używali kominka! Hej, co się stało? Gdzie ten sernik? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła!

– Może ją napadli i na jej oczach zeżarli ciasto? – zażartowała Betka. – Albo jej kazali je zjeść.

– Nie mogłam wyjść na zewnątrz – wychrypiałam. – Coś mi się stało. W głowę chyba.

Przyjaciele spowaźniali natychmiast i z uwagą zaczęli mi się przyglądać. Betka nawet oświetliła moją twarz lampką, przeciwko czemu stanowczo zaprotestowałam.

– No, odruchy ma prawidłowe – orzekła, siadając na krześle. Nie przestawała jednak mi się przyglądać. – Co jest?

Wzięłam głęboki wdech i z rozpaczą popatrzyłam na przyjaciół.

– Jestem beznadziejna! – wydałam z siebie przeciągłe łkanie i wybuchnęłam płaczem.

*

– Schodzi z ciebie stres związany z wypadkiem – tłumaczył mi cierpliwie zaprzyjaźniony psychiatra, z którym spotkałam się w czwartek, dwa dni po przykrym incydencie. Dwa dni spędziłam w domu. Dwa puste, beczynne dni w towarzystwie zdeorientowanych córeczek, których nie byłam w stanie nawet zaprowadzić do przedszkola. – Trudno powiedzieć, jak długo to potrwa, jaki będzie miało przebieg i czym się zakończy. Każdy reaguje trochę inaczej, ponadto tego typu zdarzenia potrafią uruchomić w człowieku lawinę napięć i rozmaitych wspomnień, które właśnie w ten sposób znajdują swoje ujście. Postaraj się o jakąś formę relaksu, odprężenia, żeby nagromadzone emocje zrzucić jak najprędzej.

Skorzystałam z pomocy lekarza, bo incydent w biurze przeraził mnie nie na żarty. Wprawdzie obserwowałam u siebie napady lęku, kiedy stojąc przed przejściem dla pieszych, widziałam zbliżające się samochody, jednakże paraliżujący strach przed tym, by wyjść z biura, to było coś poważniejszego. Jakby tego było mało, matka zaczęła nękać mnie telefonami, żebym pozwoliła dziewczynkom jechać z Cezarym na ferie do Egiptu. Zupełnie nie podobał mi się ten pomysł, ale osłabiona ujawniającym się stresem, w końcu uległam. Były mąż stanowił zagrożenie dla mnie, ale nie dla naszych dzieci, tego byłam pewna. Nie chciałam również, by widziały mnie w takim stanie, a trudno mi było ukryć w ich obecności drżenie rąk czy przerażenie w oczach. Czułam w głębi duszy, że źle robię, ale obawiałam się jechać samej z małymi dziećmi w góry, gdyż nie mogłam przewidzieć własnych reakcji.

– Moim zdaniem przyda ci się chwila spokoju – tłumaczył psychiatra. – Obowiązki domowe i zawodowe również są źródłem stresu.

– Tak, ale ja nie chcę, żeby z nim jechały – skarżyłam się. – Traktuję to jako porażkę, niesprawiedliwość. Przecież zaatakował mnie, nie mogę myśleć o nim pozytywnie!

– Postaraj się rozgraniczyć te sprawy. Wojna między wami trwa, wyrok sądu jej nie zakończył, ale jako rodzice nie możecie walczyć. Dla dobra dzieci.

Dobro dzieci. Hasło wytrych, którego sama używałam, godząc zwaśnionych rodziców. Dobro dzieci jest oczywiście najważniejsze. Ale co kryje się pod tym pojęciem? Udawanie, że

jesteśmy przyjaciółmi, podczas gdy się nienawidzimy? A może skrajne poświęcenie polegające na tym, że udam, że nie rani mnie jego postawa – dominująca, wyzywająca, podkreślająca, że ma przewagę. Jakże to było trudne!

Przełamalam wewnętrzny opór, poczucie krzywdy i żal, że los zmusza mnie do ustępstw. Dla dobra Basi i Laury, dla mojego dobra. Tak przynajmniej sobie to tłumaczyłam. Skupiona na rozpamiętywaniu krzywd nie zastanowiłam się, dlaczego człowiek, który od kilkunastu dni nie był już prawomocnie moim mężem, usiłował mnie zabić, i czy wciąż tego chce. Zdusiłam w sobie wszystko. Absolutnie wszystko.

*

– Wracamy w niedzielę, za tydzień – oświadczył Cezary, nie patrząc na mnie, tylko na moich rodziców.

Matka uśmiechnięta od ucha do ucha traktowała mnie jak powietrze. Staralam się skupiać uwagę wyłącznie na dzieciach, które w swojej niewiedzy ogromnie cieszyły się na ten wyjazd.

– Szkoda, że nie lecisz z nami – powtórzyła po raz dziesiąty Basia. Laura skakała wokół mnie jak mała piłeczka. – Tak, tak, leć z nami! Nad morze i w góry!

– Ty głupia! – strofowała ją Basia. – W Egipcie nie ma gór, tylko mumie! Z piasku!

– Bawcie się dobrze, wróćcie opalone! – skrzeczała moja matka.

Rozkładała ramiona przykryte grubym poncho to nad dziewczynkami, to nad Cezarym i wyglądała tak, jakby wielka jastrzębia mama chciała zakryć swoje pisklęta.

Czekaliśmy przy punkcie odpraw. Z jednej strony pragnęłam, by jak najszybciej odlecieli, z drugiej myśl, że znów na długo rozstają się z córkami, rozdzierała mi serce. Stałam tam jak kołek albo niepotrzebny bagaż, który za chwilę ktoś usunie. Stałam, bo nie byłam zdolna do innego zachowania.

– Nie musisz tutaj tak sterczeć – zwróciła się nagle do mnie matka. – Idź już!

– Poczekam, aż przejdą odprawę – odparłam. – Chyba mnie nie wyrzucisz z lotniska!

Matka pogardliwie wzruszyła ramionami.

– Podobno boisz się Cezarego! – powiedziała bardzo głośno. Tak głośno, że osoby stojące w pobliżu zwróciły na nas uwagę. – Podobno usiłuje cię zamordować! Nie boisz się, że nagle wbije ci nóż w plecy? Albo zarąbie siekierą?

– Nie mów głupstw! – Nie wiem, jak ona to robiła, ale w ułamku sekundy potrafiła wprowadzić mnie z równowagi.

– Ja mówię głupstwa?! A kto go oczerniał przed sądem?! Kto go oskarżył na policji?! Na twoim miejscu w ogóle bym się tu nie pokazała! Taki wstyd!

Matka mówiła podniesionym głosem i już spory tłumek nam się przyglądał. Cezary stał spokojnie i wydawało się, że to przedstawienie jest mu na rękę. Dziewczynki płasły w pobliżu, jakby niczego nieświadome. Dołączył do nich mój ojciec, który udawał, że tłumaczy im, w jaki sposób skonstruowany jest wózek bagażowy.

– Odprawiam własne dzieci, wolno mi – usiłowałam się bronić, ale serce mi już kołatało.

Odwrociłam się do niej plecami. Chyba nigdy nie zrozumieć, dlaczego ta kobieta pała do mnie taką nienawiścią. Niestety, była moją matką. Znała mnie dobrze i szybko zorientowała się, że tą sceną bardzo mi dokuczyla. Kontynuowała więc słowną napaść, wiedząc, że nie wytrzymam napięcia i ustąpię. Miała rację. Uścisnęłam córki i odeszłam. Nawet się nie odwróciłam. Oczywiście nie wiedziałam, że zobaczą swoje dzieci dopiero za kilka miesięcy.

*

W piątek w biurze pojawiła się pani Stefania, z którą rozmawiałam przez telefon. Była dość energiczną staruszką, która z miejsca przeszła do meritum, nie pozwalając mi nawet wygłosić standardowej formułki na temat zasad i warunków mediacji.

– Moja córka Arleta jest chora na stwardnienie rozsiane – zaczęła pani Stefania, gdy tylko zajęła miejsce przy stole. Gestem odmówiła herbaty i kontynuowała: – Z powodu choroby zmuszona jest poruszać się na wózku. Razem z nią mieszka jej mąż Bogdan i ich syn Maksymilian. Arleta pół roku temu miała wypadek w domu, w wyniku którego doznała wylewu i od tamtej pory jest częściowo sparaliżowana. Dokładniej rzecz ujmując, ma unieruchomioną prawą część ciała, co bardzo utrudnia porozumiewanie się. Nie może również pisać, jest praworęczna. Moim zdaniem nie był to żaden wypadek, tylko pijany zięć zepchnął ją ze schodów. Zgłosiłam sprawę na policję, ale postępowanie umorzono. Od tamtej pory nie mogę widywać się z córką, zięć mnie do niej nie dopuszcza. Martwię się ogromnie, bo ona jest bezbronna. A mój wnuk Maks trzyma stronę ojca. Broni go i staje się agresywny wobec mnie i mojego męża, gdy tylko poruszam ten temat. Ostatnio przestał nawet uczęszczać na zajęcia fitness. Sądzę, że ojciec go zastraszył.

Pani Stefania rozplakała się. Podsunęłam stojące na stoliku pudełko z chusteczkami. W biurze mediatora papierowe chusteczki stanowią niezbędne wyposażenie. Kupujemy je tonami. Gdy staruszka uspokoiła się nieco, kontynuowała, a ja cierpliwie czekałam:

– Założyłam więc sprawę o widzenia z wnukiem, bo mam nadzieję, że dzięki temu wejdę do ich domu i zobaczę się z córką. Wnioskowałam, żeby widzenia odbywały się w miejscu zamieszkania wnuka. Tak doradził mi jeden adwokat. Ale martwię się, co będzie, gdy Maks stanie się pełnoletni. Zięć przeciąga sprawę, bo chyba właśnie o to mu chodzi. Pozostało zaledwie pięć miesięcy. Czy pani może mi pomóc?

Nielatwo jest odpowiedzieć na takie pytanie, choć przy prawie każdej mediacji ono się pojawia. Czy mediator jest od pomagania? Jak mam w tej sytuacji zachować neutralność? Zięć tej pani wyraził zgodę na mediację, ale czego ona ma dotyczyć w ich sytuacji?

– Nie wiem, czy będę umiała państwu pomóc, ale postaram się – odpowiedziałam wymijająco. – Myślę, że powinna pani wnioskować o ustalenie kontaktów z córką. Może zastanowimy się nad wypracowaniem jakiejś formuły spotkania się z nią w domu córki i zięcia?

Starsza pani westchnęła ciężko i pokręciła przecząco głową.

– On się nie zgodzi. On celowo nas separuje. Mój mąż rozchorował się na nerwy z tego wszystkiego i przebywa w sanatorium.

– Spróbujemy, dobrze? – nie ustępowałam. – To raczej absurdalne pisać plan kontaktów dla prawie pełnoletniego człowieka. Przecież to rozwiązanie na chwilę, nawet gdyby się udało. Zresztą chodzi o możliwość widywania córki, nie wnuka, prawda? Ze względu na jej stan zdrowia w grę wchodzi ustalenie spotkań tylko w domu zięcia, nie myślę się? Dlatego uważam, że należy z nim porozmawiać. Proszę mi wierzyć, czasem niemożliwe staje się możliwe.

Starsza pani patrzyła na mnie z powątpiewaniem, ale zgodziła się poczekać na rezultat rozmowy z zięciem. Gdy wyszła, zadzwonił telefon.

– Halo, czy to pani mediator? Tu Fabio Pallantino, Włoch, z prawdziwych Włoch, a nie tych spod Warszawy. Pani mnie dobrze słyszy? Mogę mówić? – Pokiwałam głową w odpowiedzi, ale gdybym nie zrobiła absolutnie nic, nawet nie mrugnęła, pan Fabio pewnie i tak mówiłby dalej. – Ja panią proszę, żeby pani wytłumaczyła mojej żonie, że ojciec jest tak samo ważny dla dzieci jak matka, a może ważniejszy, jeśli matka jest nieodpowiednia. Ja pani za to zapłacę!

– Proszę pana, ja nie wykonuję takich usług... – usiłowałam wderzeć się w ten melodyjny

monolog, ale pan nieprzerwanie mówił dalej. Nie słyszałam, żeby robił przerwę na oddech, po prostu wylewał z siebie kolejne słowa z siłą wodospadu. – Pani to robi, ja wiem. Ja pani wszystko pokażę i pani wysłucha nagrań. Ja te same nagrania dałem do sądu, tam też słuchają. Proszę pani, moje dzieci muszą mieć ojca. Mnie jako ojca. Ich matka znalazła sobie jakiegoś chudego Hiszpana i chce je wywieźć na Majorkę. Ja na to nigdy nie pozwolę i dlatego do pani dzwonię!

Tonęłam, topiłam się, nie mogłam złapać tchu spod fontanny zdań, słów i wykrzykników, którymi raczył mnie pan Fabio. Betka pojawiła się jak zwykle w najważniejszej chwili. Gdy weszła do biura, ja bezradnie dukałam jakieś monosylaby, usiłując wtrącić się choć na chwilę do rozmowy. Nie potrafiłam mu tak po prostu przerwać. Przyjaciółka powstała przez chwilę, posłuchała i w lot pojęła, co się dzieje.

– Umów ich na poniedziałek, od razu oboje, będziesz miała sprawę z głowy – szepnęła, a na głos powiedziała: – Dzień dobry, już jesteście!

– Przepraszam, muszę kończyć – zareagowałam natychmiast. – Zapraszam w poniedziałek o jedenastej, razem, tak, z małżonką. Do widzenia!

Rozłączyłam się i spojrzałam na koleżankę z ulgą.

– Co za gaduła!

– Nie powinnaś pozwalać, żeby wciągali cię w takie dyskusje – wytknęła mi Betka. – Szkoda czasu. Przecież z takiej paplaniny i tak nic nie wynika. Niech wygada się gdzie indziej!

– Łatwo powiedzieć – westchnęłam. – Sama dobrze wiesz, że niektórzy nie robią nawet przecinka w wypowiedzi. Są jak walec drogowy, mówią i już.

– Tym bardziej trzeba to ukrócić! – Betka była najwyraźniej bojowo nastawiona. – Nie można pozwalać na takie traktowanie! – Pokiwałam tylko głową, a przyjaciółka przyjrzała mi się dokładniej. – Co się z tobą dzieje? Nie byłeś taka miętka! To przez ten wypadek?

– Jak było na zebraniu? – zmieniłam temat.

Nie chciałam rozmawiać o swoich problemach, wołałam o cudzych. Bywa, że wydaje nam się, że jeśli nie będziemy przywoływać swoich demonów, to one znikną. Cudze zmartwienia pozwalają wyrobić w sobie przekonanie, że inni mają gorzej, trudniej. Oszukujemy się, że to im należy pomóc przede wszystkim, odsuwając nieprzyjemny moment konfrontacji z własnymi troskami.

Betka wracała z zebrania w Zrzeszeniu. Wiedziałam, że dziś po południu spotkali się na comiesięcznej nasiadówce członkowie zarządu i szeregowi mediatorzy. Podstawowym celem ich spotkań miała być wymiana doświadczeń, ale zwykle zaczynało się i kończyło na odczytaniu nowych zarządzeń opracowanych przez kierownictwo. Ciekawiło mnie, co tym razem wymyślili. Zanim jednak dowiedziałam się czegokolwiek, znów zadzwonił telefon.

– Słucham? – W moim głosie dało się słyszeć lekkie zniecierpliwienie. – Kto mówi?

– Twoja matka – padło w odpowiedzi. W pokoju od razu zrobiło się chłodniej. – Będziesz tak uprzejma i przyjdiesz do nas dziś wieczorem na kolację?

Najchętniej odmówiłabym, tłumacząc się zasypaniem przez zaspę, koniecznością udzielania pomocy zmarzniętym łabędom czy jakąkolwiek inną przeszkodą. Ale ton matki zawsze uruchamiał we mnie automatyzm. Odruchowo odpowiedziałam więc, że przyjdę. Betka krytycznie przyglądała mi się, gdy znów rzucałam monosylabami.

– W nałóg ci weszło to dukanie – powiedziała z niesmakiem. – A może cofasz się w rozwoju? Kto tym razem?

– Matka – mruknęłam.

Betka знаła moją sytuację rodzinną. Matka kilka razy wytknęła jej tuszę, sugerując, żeby mniej jadła.

– Czyli nie tylko ja mam zepsuty dzień – orzekła. Usiadła ciężko na krześle i popatrzyła w dal. – Muszę w sobotę pomalować biuro zrzeszenia. A tak chciałam iść z Maciejem do kina.

Wciąż spięta po rozmowie z matką nie rozumiałam w pierwszej chwili, co przyjaciółka mówi. Znałam ją na tyle dobrze, że informacja o malowaniu biura wydała mi się niedorzeczna. Betka nienawidziła z całego serca pracy w ogródku, na roli, przy sianokosach, sprzątania, a nade wszystko remontów. W jej mieszkaniu kafelki mogły spadać na głowę, tynk sypać się ze ścian i sufitów, podłoga spróchnieć, a Betka nie kiwnęłaby palcem. Tego typu kwestie załatwiał za nią najpierw jej pierwszy mąż, potem drugi, a po nich kolejni partnerzy. Zawsze znalazł się mężczyzna, który za punkt honoru brał sobie przeprowadzenie remontu w mieszkaniu Betki, a ona miała na tyle dużo sprytu i zdrowego rozsądku, żeby rozstać się z delikwentem dopiero wówczas, gdy wykonał zadanie. Komunikat, że teraz ona miałaby pomalować bodaj drzwi, docierał do mnie z opóźnieniem.

– Jak to musisz? – zapytałam z niedowierzaniem. – Kto powiedział, że musisz?

Betka przysunęła do siebie drugie krzesło i położyła na nim nogi. Głowę oparła na zaplecionych na karku ramionach.

– Władza najwyższa, czyli sam najmiłościwiej nam panujący prezes Gruszka – oświadczyła. – Orzekł, że my, nędzni jego poddani, czyli mediatorzy, powinniśmy wykazać się większym zaangażowaniem i owemu zaangażowaniu dać ujście w postaci czynu społecznego. Szanowny pan prezes, jako przodownik, nie mylić z przewodnikiem, naszego ponoć zgranego kolektywu, zaświecił przykładem i napracował się ogromnie, prezentując grafik obowiązków, które w najbliższym czasie należy przyjąć. Mnie przypadł zaszczyt malowania biura.

Rozśmieszył mnie nie tylko sposób, w jaki to mówiła, ale przede wszystkim treść. Zaprezentowała mi równie szyderczy ton.

– W zamian za co masz to zrobić?

– W zamian za: „Dziękuję, koleżanko frajerko, oby tak dalej!” – odpowiedziała Betka, naśladowując sposób mówienia i intonację prezesa.

– Pięknie! A farbę i pędzle kto sponsoruje?

– Ten, kto maluje, rzecz jasna!

– No tak, głupie pytanie – przyznałam. – A inni co robią?

– Inni otrzymali równie ważne i odpowiedzialne zadania – oznajmiła Betka. – Na przykład kolega Skrzypczak został oddelegowany do prac remontowych w kiblach, pardon, w toaletach. Koleżanka Maciejak ma skombinować cegły, wapno i cement, a kolega Piotrowski zajmie się murarką. Panu prezesowi Gruszce, oby z piekła nie wyjrzał, zamarzyło się przepierzenie w salce konferencyjnej. W związku z powyższym koleżanka Jankowiak wraz z koleżanką Bieżyca-Mokrzycką mają wybić otwór okienny w ścianie, zapewne własnoręcznie, bo jakżeby inaczej, jak czyn, to czyn. Wydaje mi się, że na coś takiego potrzeba zgody jakichś władz, wydziału architektury albo spółdzielni, a przynajmniej właściciela lokalu. Ale kto by się przejmował drobiazgami! Natomiast kolega Piekarczyk ma ułożyć parkiet na własny koszt, żeby nie było wątpliwości. Zatem ja z tym malowaniem nie mam najgorzej, sama przyznaj. Tylko pomacham wałkiem.

– Przecież to jakiś idiotyzm! – oburzyłam się. – Kto to finansuje? Naprawdę wy sami? A jeśli ktoś nie zna się na murarce albo układaniu parkietu, to co? Przez noc ma się nauczyć czy jak?

Śmiech Betki zabrzmiał niczym szyderstwo diabła nad grzeszną duszą.

– Jak ktoś nie umie, to musi wynająć takiego, który umie – oświadczyła. – Ma być zrobione, i koniec!

– A jeśli nie? – drażyłam temat. – Jeśli nie pomalujesz tego biura, to co ci zrobią? Pobiją

cię? Wypatroszą?

– Wywalą na zбитy pysk i jeszcze ogłoszą, że jestem nierób, snob i w ogóle wyrzutek społeczny. – Betka zmieniła pozycję, rozprostowując nad głową zdrętwiałe kończyny. – Obiecali, że gdy wykonamy swoje zadania, to będziemy dostawać więcej spraw.

– Akurat! – prychnęłam gniewnie. – Już to widzę! Gruszka wszystko bierze na siebie, a na innych spycha jakieś rozwodówki ze zwolnieniem z kosztów. Znam to, gdy byłam w Zrzeszeniu, tak właśnie robił. Też obiecywał gruszki na wierzbie! Grucha jedna!

– Idę tam – westchnęła Betka, najwyraźniej pogodzona z losem. – Pomożesz mi?

– A mam inne wyjście? – prychnęłam. – Ale jeśli na miejscu okaże się, że nie tylko o malowanie chodzi, ale jeszcze musimy na przykład umyć wszystkie okna albo wytapetować gabinet prezesa, to się zmywam!

– Wykluczone – oświadczyła Betka – nie możemy wyjść przed czasem.

– Bo co? Będą nas łąpać na lasso?

– Nie, ktoś przyjdzie po klucze.

Betka, zdecydowana wykonać zadanie, wymogła na mnie obietnicę połączoną z przysięgą, że jej nie zawiodę i pojawię się w sobotę w lokalu Zrzeszenia. Przyszło mi do głowy, żeby jeszcze zaangażować Zbyszka, a może i tego całego Macieja, z którym była przecież umówiona. Prace fizyczne bardzo zbliżają ludzi, a Maciej jawił się jako ideał absolutny. Przydałby się nam. Napomknęłam więc, że podpytam Zbyszka, a Betka nie odpowiedziała mi wprost, czy proponuje taką rozrywkę Maciejowi.

Nie miałyśmy czasu na rozmowę. W biurze pojawili się umówieni przez Betkę klienci, zebrałam więc swoje rzeczy i wyszłam. Strach, który opanowywał mnie w drzwiach wejściowych, wciąż mi towarzyszył, pokonywałam go, zaciskając usta i oczy. Na ulicy było trochę łatwiej. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu rodziców.

Dom rodzinny zawsze wydawał mi się posępny i trochę złowieszczy. W dzieciństwie wyobrażałam sobie, że mieszkamy w wieży zakłętej przez złego czarownika, a duże drzewo, które rosło od frontu, było zaczarowaną wróżką, starającą się chronić nas przed złymi mocami. Gdy gałęzie drzewa, popychane wiatrem, stukały w moje okno, wierzyłam, że to wróżka daje mi znać o sobie. Kiedy drzewo zostało ścięte, w domu zapanowała dziwna jasność, która nie przyniosła poczucia bezpieczeństwa ani ciepła, lecz brutalnie oświetliła sztuczność i fałsz, które tam panowały.

Moi rodzice stanowili dziwnie dobraną parę. Matka była bardzo wymagająca, wręcz despotyczna, a przy tym zimna i wyniosła. Wydawało się, że celem jej życia jest zwracanie uwagi każdemu, kto popełnił bodaj najmniejszy błąd. Zauważała najmniejsze niedociągnięcie i bezlitośnie punktowała tego, kto pozwolił sobie na lekkomyślność niestarannego wykonania zadania.

Ojciec natomiast prezentował wręcz absolutną obojętność na otaczający go świat. Wiecznie pogrążony w swoim świecie nauki nieustannie obmyślał i doskonalił pomysły, które miały uwolnić ludzkość od wysiłku. Praca naukowa absorbowiała go tak bardzo, że nie zauważał upływu czasu, zapominając często o posiłkach i odpoczynku. Choć bardzo go kochałam, nie mogłam liczyć na jakiegokolwiek wsparcie z jego strony. Nawet gdyby taką pomoc zadeklarował, chwilę później zapomniałby o tym, pochłonięty rozmyślaniami, jak rozwinąć rozpoczęty projekt.

Wychodząc za mąż, łudziłam się, że zdołam uwolnić się od despotycznej władzy matki i wybuduję własny świat, w którym nie będzie miejsca na szykany. Wyprowadziłam się do swojego mieszkania, trzypokojowego, na drugim piętrze, w cichej i zadrzewionej okolicy. Ku mojemu zaskoczeniu Cezary szybko został zaakceptowany przez rodziców, a gdy pojawiły się dzieci, moje życie stało się wręcz bajkowe. Nie musiałam pracować, bo mąż zarabiał doskonale,

w codziennych obowiązkach wyręczały mnie gosposia i niania, moja matka prawie się nie wtrącała, a tylko sporadycznie nas odwiedzając, wypluwała z siebie jad w moją stronę. Wówczas pierwszy raz usiłowałam rozgryźć, dlaczego tak bardzo mnie nienawidzi. Rozmowa zakończyła się gwałtowną sprzeczką. Dowiedziałam się jedynie, że zawiodłam, nie spełniłam jej oczekiwań. Jakich – nie powiedziała – a ja porzuciłam temat, łudząc się, że obecność uwielbianego Cezarego i dzieci zasypie kiedyś tę przepaść emocjonalną, która istniała między nami.

Ale wszystko ma swój kres. Dość szybko odkryłam, że mąż nie stroni od przypadkowych romansów, a doskonała praca polega w dużej mierze na zaciąganiu kolejnych kredytów. Postanowiłam wrócić do pracy. Dziewczynki były już na tyle duże, że mogły uczęszczać do przedszkola.

Zatrudniłam się w miejskim ośrodku pomocy społecznej. W ciągu dnia siedziałam w biurze lub krążyłam wśród podopiecznych ośrodka jako asystentka. Gdy po raz kolejny zostałam wyznaczona do negocjowania z awanturującymi się sąsiadami i następna osoba przyszła do mnie po radę w bardzo delikatnej sprawie osobistej, zaczęłam zastanawiać się, czy moim życiowym powołaniem jest siedzieć przy biurku i przekładać akta, od czasu do czasu wizytując znajome kąty. Czy każdy dostaje od życia ten przywilej, że zamiast zastanawiać się, czym zająć się zawodowo, jaką podjąć pracę, wystarczy, by pogodził się z tym, że to praca wybiera jego?

Oczywiście nie byłabym sobą, gdybym nie spróbowała przynajmniej podążać utartą, zawodową ścieżką, dlatego trwałam w ośrodku w nadziei na awans. Ale niepokorna dusza lub budzący się temperament doprowadziły mnie do podjęcia szalonej decyzji, by zwolnić się z pracy, zrezygnować z bezpiecznej, comiesięcznej pensji i w okresie największego bezrobocia na rynku postanowić, że po Nowym Roku będę negocjatorem.

Negocjator idzie przez zawodowe życie samotnie. Na własną rękę szlifuje swoje umiejętności i uczy się przez cały czas, nieustannie. Teraz to wiem. Wówczas kursy dla negocjatorów polegały wyłącznie na uczeniu ludzi asertywności, czyli mówienia stanowczego „nie” w każdej sytuacji oraz trzymania się raz wyznaczonego celu. Ukończyłam kilka takich kursów i zdałam sobie sprawę, że pora podążyć własną ścieżką. Wybrałam mediacje.

Kurs dla przyszłych mediatorów rozpoczął nowy rozdział w moim życiu. A zaczęło się od negocjacji, kto usiądzie na krześle ustawionym najbliżej okna. Pomieszczenie, w którym zorganizowano szkolenie, było tak małe, że dwanaście osób czuło się jak szprotki zamknięte w puszcze. W dodatku na dworze panował nieziemski upał, kończył się czerwiec i tylko okno dawało szansę na świeże powietrze. Zabawne, bo w takiej sytuacji, niejako mimowolnie, uczestnicy zaprezentowali samych siebie. Ujawniło się, kto jest bardziej dynamiczny, kto asertywny, kto kłótlivy, a kto ustępliwy. Gdy nasza grupka doszła wreszcie do porozumienia, ustalając, że każdy po kolei usiądzie przy oknie na pół godziny, pojawił się prowadzący i bez słowa ulokował się w newralgicznym miejscu, niwecząc wszystkie wcześniejsze ustalenia.

Program zajęć obejmował między innymi ćwiczenia, dzięki którym uda się przekonać absolwentów, że praca ze skłóconymi ludźmi to sama przyjemność. Miód i malina. Prowadzący z przemiłym uśmiechem wprowadzał nas w tajniki sztuki negocjacji, perswazji, wychodzenia z impasu oraz rozładowywania stresu. W teorii brzmiało to znakomicie. Chłoniliśmy wiedzę niczym gąbki, przekonani, że już za parę tygodni świat padnie przed nami na kolana. Wszystko przebiegało zgodnie z planem: zachwyceni uczestnicy, przepelnieni pozytywną energią, która poniesie ich jak na skrzydłach w kierunku zwaśnionych małżonków, niepokodzonych współników i krnąbrnych nastolatków. A my niczym zbawcy dusz uwolnimy wszystkich od napięć związanych z konfliktem.

Podczas jednych z ostatnich zajęć zaproponowaliśmy nieśmiało prowadzącemu, żeby zorganizował dla nas symulację mediacji. Byliśmy gotowi wcielić się w role zwaśnionych stron,

byle tylko poczuć tę atmosferę dochodzenia do sukcesu. Prowadzący lekko się wzbraniał, po czym oznajmił, że będzie lepiej, jeśli pozostaniemy obserwatorami, tymczasem on zaprosi zaprzyjaźnionych, doświadczonych mediatorów, by odegrali przed nami bardzo wiarygodną scenkę. Przystaliśmy na to z ochotą, całość miała odbyć się za dwa dni, na zakończenie zajęć.

We wskazanym czasie pojawiliśmy się o wyznaczonej godzinie. Prowadzącego jeszcze nie było. Spóźniał się. Pojawili się za to zupełnie obcy nam ludzie, kobieta i mężczyzna, którzy zachowywali się dziwnie: byli agresywni, nerwowi i spięci. Uznaliśmy, że to zaprzyjaźniona para mediatorów odgrywa przed nami swoje role. Podziwialiśmy kunszt aktorski tych dwojga, którzy rozkręcali się z każdą minutą. Jako że ustalone było, że pozostaniemy obserwatorami, para wymieniała coraz częściej uszczypliwe komentarze i wrogie spojrzenia, przy naszej całkowitej bierności. Prawdopodobnie milcząca, kilkunastoosobowa widownia pogłębiała jeszcze ich zdenerwowanie, o czym wówczas nie wiedzieliśmy – przekonani, że mamy do czynienia z mediatorami odgrywającymi umówione role.

Nasz mentor przybył spóźniony o ponad godzinę. Goście awanturowali się w najlepsze, a my patrzyliśmy na to w niemym przerażeniu. Para rzucała w siebie niewybrednymi sformułowaniami i była o krok od rękoczynów. Trener popatrzył na nich w zadumie i oświadczył:

– Tak oto wyglądają zwaśnieni małżonkowie, których będziemy starali się pojednać. To nie są ćwiczenia, zapomniałem o tej mediacji. Ktoś ma jakiś pomysł?

Małżeństwo ocalało. Może dlatego, że zostali poddani mediacji przez kilkunastu zaangażowanych mediatorów. Kurs ukończyłam, zostałam wpisana na listę mediatorów i... czekałam na sprawy. Mijał dzień za dniem, nikt w sprawie mediacji nie dzwonił, mąż wyśmiewał się, że bawię się w zarabianie niewidzialnych pieniędzy.

Wtedy zdecydowałam się wstąpić w szeregi Zrzeszenia. Liczyłam, że dzięki temu moja praca mediatora i negocjatora ruszy pełną parą. Owszem, zlecenia pojawiały się, ale bezpłatne. Traktowałam to jako praktykę, zdobywanie doświadczenia, a mąż dalej szydził, że ma tak przedsiębiorczą żonę.

Wtedy poznałam Betkę. Pracowała na rzecz Zrzeszenia dłużej niż ja i otrzymywała wynagrodzenie. Mizernie, ale jednak. Liczyłam więc, że i moja sytuacja się zmieni. Bardzo chciałam zaimponować Cezaremu, udowodnić, że potrafię zarabiać w swoim nowym zawodzie.

Betka opowiedziała mi historię pewnego mężczyzny, który w niezwykle hałaśliwy sposób bawił swoich gości w jednej z droższych restauracji. Dowiedziała się tego od zaprzyjaźnionego policjanta. Owym typem okazał się... mój mąż, który tego dnia powinien w pocie czoła pracować na rzecz firmy należącej do moich rodziców, w której się zatrudnił. W dodatku pracę tę miał wykonywać w odległym o blisko tysiąc kilometrów Budapeszcie.

Podobnych incydentów było wiele. Stale ktoś życzliwy donosił mi, że Cezary awanturował się tu albo balował całą noc tam, ewentualnie spędził noc z... Decyzję o rozstaniu podjęłam wtedy, gdy po raz pierwszy mnie uderzył. Poszło o pieniądze z koperty. Zamierzałam opłacić wakacyjny wyjazd naszej czwórki nad morze i w tym celu przygotowałam gotówkę. Cezary postanowił po swoim rozporządzić tymi pieniędzmi, obiecując, że kiedyś je zwróci. Nie chciałam się na to zgodzić, zaprotestowałam. Dyskusję przeciął cios.

Moja rodzina zareagowała równie agresywnie jak on.

– Gdyby wszystkie pary rozstawały się z powodu jednej przepychanki w domu, w ogóle nie byłoby małżeństw – orzekła matka.

Ojciec na osobności przekonywał mnie, że to przejaw hysterii z mojej strony, widocznie zbyt mocno sprowokowałam Cezarego. Przecież to taki spokojny chłopak.

Rodzice przestali się do mnie odzywać, a dalsza rodzina uważała, że przesadzam.

Wytrwałam jednak w swojej decyzji i po kilkuletniej batalii uzyskaliśmy rozwód. Niestety, część rodziny trwale zerwała ze mną kontakt, a rodzice, którzy zdecydowanie popierali zięcia, odnosili się do mnie chłodno i z pogardą. Cezary był dla nich wyrocznią. On prowadził ich firmę, doradzał im we wszystkich kwestiach życiowych, zajmował się ich sprawami domowymi. Ja istniałam w ich pamięci tylko z powodu dzieci. Laura i Basia stały się moim kołem ratunkowym. Tłumaczenie, że muszę zacząć porządnie zarabiać, by utrzymać siebie i córki, doprowadziło mnie do tego miejsca, w którym byłam teraz. Ogromna determinacja połączona została z poczuciem obowiązku. Obowiązku rozumianego jak rozkaz w wojsku. Wykonać, bez gadania!

Na rodzinną kolację szłam jak skazaniec pod topór. Stół zastawiony był tym, czego nie znosiłam, i matka doskonale o tym wiedziała. Owocami morza: sałatką z krewetek, ośmiorniczkami, kalmarami, przegrzebkami. Dla mnie przewidziano chyba tylko pieczywo. Mogłam domyślić się, że nie chodziło o przyjemne spędzenie czasu w towarzystwie rodziców.

– Moim zdaniem należy przemyśleć kwestię opieki nad dziewczynkami – zaczęła bez zbędnych wstępów matka. Usiadłyśmy przy stole, naprzeciw siebie, niczym rywalki. – Nie dajesz sobie rady, więc dzieci powinny zamieszkać u nas. Nałożyła sobie i ojcu krewetki. Wzięłam do ręki kawałek chleba.

– A można wiedzieć, na jakiej podstawie wysnuwasz wnioski, że sobie nie radzę? – zapytałam, starając się, żeby mój głos brzmiał normalnie.

W środku aż kipiałam z oburzenia. Ręce mi się trzęsły, gdy smarowałam chleb masłem.

– Ktoś, kto leczy się psychiatrycznie, nie jest odpowiednim opiekunem dla małych dzieci – oświadczyła stanowczo matka. – Poza tym dziewczynki spędzają więcej czasu tutaj niż we własnym domu!

– Jestem ich matką – wtrąciłam z naciskiem. – Nie lecę się psychiatrycznie.

– Korzystałaś ostatnio z porady pewnego doktora – ton matki był ostry niczym brzytwa. – Mamy zdjęcia, jak wychodzisz z jego gabinetu.

– Śledzicie mnie?! – oburzyłam się. – Zresztą mam biuro obok gabinetu psychiatry, zatem skąd pewność, że zaglądałam tam jako pacjentka, a nie sąsiadka?

– Nie wiem, to mnie nie interesuje – wysyczała matka. – Będziesz tłumaczyć się przed sądem.

– Jakim sądem, do diabła?! – nie wytrzymałam i uderzyłam pięścią w stół. – Sąd przyznał mi już dzieci, o co wam chodzi?!

– Nie podnoś głosu w tym domu, bo to nie karczma! – skarciła mnie ostro matka. – Nie panujesz nad sobą, co właśnie udowodniłaś! Masz urojenia i zmienne nastroje. Jesteś nieodpowiedzialna. To wystarczające argumenty, żeby nie powierzać ci dzieci. Gdybyś była choć trochę rozsądna, przyznałabyś mi rację.

Matka odłożyła z hałasem sztućce, wstała i podeszła do drzwi. Ojciec spokojnie konsumował kawałek ośmiorniczki.

– Dziewczynki już do ciebie nie wrócą – powiadomiła mnie, odwracając się na chwilę. – Gdy przylecą z Egiptu, zamieszkają u nas, razem z Cezarym.

– Po moim trupie! – krzyknęłam.

Rzuciłam nadgryziony chleb na talerz i wybiegłam, trzaskając drzwiami. Nie zabrałam nawet płaszcz. Już na zewnątrz skryłam twarz w dłoniach i rozpłakałam się. Stałam u progu kolejnej wojny. Nie miałam na to siły. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu. Położyłam się spać, tak jak stałam, w ubraniu.

*

Rozbicie rodziny to dramat dla wszystkich. Nie spotkałam się jeszcze z takim przypadkiem, w którym udałoby się wypracować rozwiązanie, z którego wszyscy byłiby zadowoleni i z uśmiechem opuszczali gmach sądu. Jest to rana, która pozostawia bliznę w sercach rozwodników i ich bliskich. Rozstanie niestety często oznacza w praktyce próbę zerwania relacji ze wszystkimi osobami, które do tej pory stanowiły naturalny krąg najbliższych. Niechęć do byłego partnera przelewa się na jego rodziców, rodzeństwo, znajomych, dalszą rodzinę. Znikają ulubieni wujkowie i ukochane ciotce, bo czas rozpocząć nowe życie. Prawo chroni tylko relacje rodzicielskie oraz dziadków biologicznych. Cała reszta jest na z góry przegranej pozycji.

Tym razem umówiłam się w domu wnioskodawców ze względu na ich wiek, bo byli to starsi ludzie. Zima przyszła zdecydowanie wcześniej, niż się spodziewano, bo... w lutym i zaskoczyła wszystkich. Brnęłam w zaspach śniegu, który wciąż padał. Gdy dotarłam do drzwi domu, przypominałam zapewne wesołego bałwanka z potężnym glutem pod nosem. Ale nie było mi do śmiechu. Od wczoraj gryzłam się tym, czym uraczyła mnie matka.

Mediację zainicjowali starsi państwo, Stanisława i Bogdan, którzy przez kilka lat pełnili funkcję „dziadków zastępczych” dla małoletnich Patryka i Kasi. Rodzice chętnie korzystali z ich pomocy, bo ci byli najbliżej i jako że nie mieli własnych dzieci, chętnie przejmowali opiekę nad cudzymi. Patryk i Kasia lubili staruszków i chętnie u nich zostawali. Stanisława i Bogdan funkcjonowali w ich życiu jako „babcia” i „dziadek”.

Gdy małżeństwo młodych rodziców się rozpadło, bezradni Stanisława i Bogdan na próżno przekonywali, aby nie pozbawiać ich kontaktu z przybranymi wnukami. Nawet gdy matka przeprowadziła się z dziećmi na drugi koniec miasta, pani Stanisława i jej mąż gotowi byli pokonywać długą trasę, by zobaczyć „swoje dzieciaczki”.

Niestety, rozwód nie otworzył młodym wrót do rajów, konflikt między nimi nasilił się, co przełożyło się również na dystans, który wytworzyli wobec dawnych sąsiadów. Oskarżając się nawzajem o nastawianie staruszków przeciw sobie, separowali ich od dzieci coraz bardziej.

Napięta sytuacja w domu spowodowała zaangażowanie wymiaru sprawiedliwości. Przydzielony do tej rodziny kurator szybko zorientował się, że dzieci, zepchnięte na dalszy plan, stanowią jedynie oręż dla rodziców. Jego ostrzeżenia, że jeśli sytuacja nie ulegnie szybko zmianie, to będzie musiał interweniować sąd, nie pomogły. Złożył więc do sądu wniosek o ograniczenie obojgu rodzicom praw rodzicielskich i skierowanie dzieci tymczasowo do rodziny zastępczej. Ponieważ nie chciał narażać Patryka i Kasi na dodatkowy stres, nieświadomy, że Stanisława i Bogdan nie są biologiczną rodziną małoletnich, to ich właśnie wskazał jako tymczasowych opiekunów. Sąd wydał postanowienie i dzieci znalazły się pod opieką swoich „przyszywanych dziadków”. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie użyty w postanowieniu sądu zwrot: „rodzice macierzyści”. Wskutek tego określenia „macierzyści dziadkowie” upomnieli się w sądzie o swoje prawa, oskarżając uzurpatorów o oszustwo. Na marginesie – dziadkowie macierzyści, choć mieszkali w tym samym mieście, widywali dzieci rzadko. Było to spowodowane niechęcią do zięcia.

I pojawił się problem, który sąd bezceremonialnie zepchnął na barki mediatora. A jak wiadomo, dobry mediator ma Judę Tadeusza (patrona spraw beznadziejnych) jako sprzymierzeńca, więc i w tej sprawie rozwiązanie się znalazło. Zanim jednak do niego doszło, brnęłam przez zasy i stałam zmarznięta pod drzwiami.

Starsi państwo zaprosili mnie do środka, gdzie siedzieli już macierzyści dziadkowie i babcie (oprócz tych ze strony matki pojawili się też rodzice zięcia). Usiadłam przy stole, na

którym leżały różne dokumenty, między innymi postanowienie sądu i akty urodzenia. Zanim odtajałam na tyle, żeby czynnie włączyć się do rozmowy, wysłuchałam rzewnych opowieści o tym, jak to jedni dziadkowie (nazwę ich, dla ułatwienia, Zygmuntowie) zasłużyli się bardziej przed drugimi (nazwę ich, dla ułatwienia, Krysiakowie), ponieważ odbierali matkę i jedno z dzieci po porodzie ze szpitala. Krysiakowie wówczas oświadczyli, że za to oni pokryli koszt tygodniowego wyjazdu w góry całej rodziny. Na to Zygmuntowie, że oni byli raz w przedszkolu na przedstawieniu, ale przebili ich Krysiakowie, dumnie podnosząc, że byli w przedszkolu dwa razy i raz na wywiadówce.

Dziadkowie zastępczy nie odzywali się, choć to oni mieli najwięcej do powiedzenia. Dzieci spędzały przecież u nich każdą wolną chwilę, jadły posiłki, czasem nocowały. Gdy zapytałam zgromadzonych, kiedy przyjdą rodzice Patryka i Kasi, zapadła cisza, a wszyscy spojrzeli najpierw na panią Stanisławę, potem na pana Bogdana.

– Miłosz, znaczy się, ojciec dzieci, zabrał je do kina, a Marzenka, czyli matka, nie odezwała się do nas, odkąd jest to postanowienie – powiedział smutno pan Bogdan. – Nie chcieliśmy, żeby dzieci słyszały tę awanturę.

– Jaką znowu awanturę?! – podskoczył pan Zygmunt. – To pan wszczyna awantury! Przed sądem!

– My chcieliśmy tylko, żeby dzieci miały spokój... – powiedziała cicho pani Stanisława, ale zagłuszyli ją pozostali.

– Cudzymi dziećmi się rozporządzili!

– Jak tak można! Rodziców nie zapytali, tylko sami! Dzieci to nie paczki!

Uciszyłam rejwach, ale nie byliśmy bliżej rozwiązania. Wtedy jak grom z jasnego nieba zabrzmiał dzwonek do drzwi. Umarłego by poderwało. Pani Stanisława poszła otworzyć i po chwili wróciła z białą zjawą z wykrzywioną gębą. Zjawa mamrotała coś bezzębnymi dźwiękami i wygrażała wszystkim zabandażowanym kikutem. Przez myśl przemknęło mi, że to duch sprawiedliwości przyszedł nas postraszyć, ale po chwili Zygmuntowie rozpoznali w tej strydze swoją córkę. Bezzębne dźwięki okazały się zmarzniętymi wargami, bo kobieta szła spory kawałek pieszo, a śnieg i mróz zrobiły swoje. To, co wzięłam za kikut, to była ręka w rękawiczce bez palców.

– Gdzie jest ten cham?! – pluła jadem.

Twarz odmarzała jej dziwnie, najpierw z lewej strony się zaróżowiła, a potem kawałek podbródka i czubek nosa. Teraz przypominała złego klauna.

– Pani... – ugryzłam się w język, bo chciałam zapytać, czy miała na myśli swojego byłego męża. A może Stanisławę i Bogdana.

Kobieta rozejrzała się na boki, sypiąc przy tym iskrami, i powtórzyła pytanie. Nikt nie kwapił się z odpowiedzią, więc opatrność postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i przysłała pod drzwi troje bałwanów. Dokładniej rzecz ujmując, dwa bałwanki i jednego bałwana z kwadratową głową w cętki. Gdy zobaczył panią Marzenę siedzącą przy stole, zrobił ruch, jakby chciał się wycofać, ale ja już odtajałam. Wstałam i zaprosiłam go do środka. Byliśmy w komplecie.

Nie będę przytaczać całej rozmowy, która odbyła się między dorosłymi. Dzieci siedziały ze zwieszonymi głowami, bo nie pozwolono im odejść. Na próżno starałam się przy pomocy spokojnej perswazji przywołać obecnych do porządku. W końcu nie wytrzymałam i uderzyłam pięścią w stół.

– Cisza!!! – ryknęłam na całe gardło. – Co to ma być?! Magiel? Sąd Ostateczny?! Kłóćcie się, kto ma rację, zamiast pogodzić dla dobra dzieci! Skupieni jesteście wyłącznie na sobie, wstyd! Od miesiący rodzice dzieci walczą ze sobą, a ich jedynym celem jest jak

najbardziej utrudnić sobie życie. Dziadkowie ojczyści i dziadkowie macierzyści spierają się, kto któremu z dzieci częściej podcierał pupkę w niemowlęctwie. Brawo! Wszyscy żyjecie przeszłością, a patrzeć trzeba do przodu. Uraziło was, że sąd przyznał opiekę obcym ludziom, bo w ten sposób kryształowy wizerunek w waszych oczach został zarysowany. A ja wam mówię, że powinniście tym ludziom na klęczkach dziękować, bo dobrze opiekują się waszymi dziećmi i wnukami. Co by się z nimi stało, gdyby nie oni? Gdzie byliście, babciu i dziadku, gdy dzieci przeżywały rozwód rodziców? Gdzie byliście, kochani rodzice, gdy dzieci płakały po waszym rozstaniu? A wcześniej? Wygodnie było podrzucać dzieci sąsiadom i mieć spokój, prawda? Jak wam nie wstyd!

Moje wystąpienie wywołało lekką konsternację. U mnie też, bo zwykle jestem bardzo opanowana. Ale przyniosło rezultat. Dziadków Zygmunów i dziadków Krysiaków wymiotło w mgnieniu oka, a rodzice, choć niechętnie, spisali ugody. Postanawiali w niej, że ze względu na dobro małoletnich Patryka i Katarzyny Stanisława i Bogdan zostaną ich prawnymi opiekunami, do czasu, gdy rodzice dojdą do porozumienia w kwestii ich wychowania oraz że rodzice nie będą się temu sprzeciwiać w postaci odwołań do sądu.

Uzgodnienie treści ugody zajęło trochę czasu, ale wydawało mi się, że to bardzo dobry prezent dla tej rodziny. Niestety, pomyliłam się. Dzieci dość szybko wróciły do rodziców od państwa Stanisławy i Bogdana, a sama sprawa znów zawisła przed sądem, zainicjowana tym razem przez dziadków.

*

Zbyszek stał przed lustrem i przyglądał się swojemu odbiciu. Patrzył tak od dobrego kwadransa, jakby oczekiwał jakiejś zmiany. Co rusz przesuwiał ręką po brzuchu, starając się go nieco spłaszczyć, ale wystający balonik wciąż był widoczny.

– Szelki – powiedział na głos. – Szelki podniosą spodnie i nie będzie nic widać.

Odwrócił się w stronę szafy, przyjrzał jej z uwagą, po czym podszedł, otworzył prawe drzwi i jednym ruchem zrzucił na podłogę zawartość środkowej półki. Stał przez chwilę nad stertą koszulek, skarpetek i majtek leżących u stóp, otworzył lewe skrzydło i wydał z siebie pomruk zadowolenia. Szelki, których szukał, wisiały na żyłce rozciągniętej po wewnętrznej stronie drzwiczek.

Zdjął marynarkę, założył szelki i przypiął je do spodni. Sprawdziły się jego przewidywania, brzuch wyraźnie zmaleł, zasłonięty częścią spodni. Niestety, nogawki podniosły się, odsłaniając kostki w przykrótkich skarpetach.

Zdusił przekleństwo w ustach i poluzował szelki. Nogawki opadły, skarpety stały się niewidoczne, ale za to ze spodni wystawał brzuch w opiętej koszuli. Zawahał się. Po chwili znów podciągnął spodnie, obnażając kostki.

– E tam, włożę kalosze i nie będzie widać – zdecydował, po czym ubrał się do końca, włożył gumki i wyszedł z domu.

Zbyszek udawał się do pracy. Na miejscu czekali na niego Marianna i dwaj pomocnicy. Zlecenie dotyczyło zatkanego komina, który zamiast dymić górą, zatruwał powietrze w domu. Wysiłki właścicieli, żeby udroźnić przewody kominowe, spełzły na niczym, wezwali więc kominiarzy.

– Idziesz na ryby? – zapytał na powitanie Rysiek, jeden z pomocników.

Przyjrzał się krytycznie szefowi i skrzywił tak okropnie, jakby wypił ocet siedmiu złodziei. Drugi, Mirek, natychmiast przerwał rozmowę z Marianną i oboje lustrowali Zbyszka od stóp do głów.

– Ma dziś padać? Czy to jakaś moda? – zapytał Mirek. Marianna uśmiechała się

półgębkiem. Zbyszek, wyraźnie niezadowolony z zainteresowania, jakie wzbudził, popchnął Mirka w stronę samochodu.

– Ty się lepiej łap za drabinę, a ty za kulę! – zwrócił się do Ryśka. – Znaczący mody się znaleźli! Komin trzeba przeczyścić! Do roboty!

Mężczyźni posłusznie wydobyli sprzęt z samochodu, a Marianna ruszyła w kierunku furtki. Dom typu bliźniak stał na działce otoczonej ogrodzeniem, z jedną bramą i jedną furtką, która teraz była otwarta. Marianna minęła furtkę i zbliżyła się do schodów. Weszła na górę i zastygła przed drzwiami. Najwyraźniej dom miał wspólne wejście do obu części.

– Dzwonić? – upewniła się, gdy Zbyszek znalazł się tuż przy niej.

Mężczyzna zanotował w myślach, że pomocnica ładnie pachnie.

– Możesz zapukać – zgodził się i od razu sam to zrobił.

Odczekali chwilę, a gdy nic się nie wydarzyło, Marianna nacisnęła dzwonek. Rozległo się świergotanie ptaków.

– Szkoda, że chórów anielskich sobie nie zainstalowali – mruknął Zbyszek.

Po chwili drzwi otworzyły się i ukazała się w nich dość kontrowersyjna postać. Ubrana była w sztruksowe spodnie, za duże, lekko opadające, przyciasny i przykrótki sweter, góralski kubrak oraz szalik w paski, obwiązany wokół szyi tak, że zakrywał pół brody. Na głowie sterczała jej czapka z pomponem, a na nogach miała ogromne kapcie imitujące mordki świnek morskich. Zbyszka zamurowało.

– Dzień dobry, tu kominiarze! – rozpoczęła Marianna i uśmiechnęła się zachęcająco.

Postać w kapciach zmierzyła ją od stóp do głów, następnie spojrzała na Zbyszka i zatrzymała wzrok na jego butach.

– Kominiarz w kaloszach? – zabrzmiało powątpiewanie.

– Kto przyszedł? – z wnętrza domu dobiegł damski głos. – Ktoś do mnie?

– Nie, jacyś przebierańcy – odpowiedziała ta osoba i wykonała ruch, jakby zamierzała wycofać się i zatrasnąć drzwi.

– My przyszliśmy udroźnić zatkany komin – wtrącił szybko Zbyszek. – Mogę pokazać legitymację kominiarską.

– Ja nie wzywałam kominiarza! – zdenerwowała się ta postać. – Wynocha mi stąd!

– Szefie, gdzie ustawić drabinę? – odezwał się nagle Mirek, nieświadomy tego, co rozgrywało się przed drzwiami. – Zimno jak cholera!

– Nie zgadzam się na żadne drabiny! – oświadczyło indywiduum. – Jak coś postawicie na moim terenie, to zaskarżę do sądu!

– Nic nie będziemy stawiać, jeśli to pomyłka – zgodził się Zbyszek. – Było wezwanie, to jesteśmy, ale przecież nic na siłę. Skoro pani nic nie wie, to zabieramy się stąd.

Antypatyczna osoba już miała zatrasnąć drzwi, kiedy nagle tuż za jej plecami pojawiła się ewidentnie męska głowa. Bujny zarost na twarzy rozwiewał jakiegokolwiek wątpliwości.

– To do mnie! – wydała radosny okrzyk głowa. – Już myślałam, że panowie, pardon, panie, to znaczy chciałem powiedzieć państwo, nie przyjdą. Zapraszam!

Broda przepchnęła się na front osobliwego kadłuba, odpychając kolorową i mamroczącą postać na bok. W ten sposób została utorowana droga do wnętrza domu, a tym samym zatkanego kominu.

– Może ptak wpadł, ale wówczas śmierdziałoby... – rozważali, stojąc przy kominku, troje kominiarzy i brodaty mężczyzna, który wyjaśnił w międzyczasie, że dom został tak wybudowany, że przypomina syjamskie bliźnięta. Wejście, komin, kotłownię i główne rozprawienie wody ma wspólne. Posesja została testamentem przekazana jemu oraz ciotce, która swoją część zamieszkuje z siostrzenicą.

Co pewien czas to Zbyszek, to Marianna pochylali głowy i zatapiali je we wnętrzu kominka, usiłując coś tam dostrzec. Przyświecali przy tym latarką. Dom był jednopiętrowy i wylot komina nie znajdował się bardzo wysoko, zatem przy odpowiednim poświeceniu latarką wyraźnie widać było kawałek nieba, co oznaczało, że komin powinien być drożny. A jednak nie był. Każda próba rozpalenia ognia kończyła się dymieniem w pokoju. W pewnym momencie Zbyszek postanowił:

– Nic tu nie wyjaśnimy. Trzeba wejść na dach i spuścić kulę. Dzięki temu staniemy się mądrzejsi.

Marianna natychmiast ruszyła w stronę drzwi.

– Poczekaj – zatrzymał ją Zbyszek – ja wejdę, dach jest spadzisty, możesz spaść.

– Poradzę sobie – oświadczyła Marianna, na co Zbyszek pokiwał głową dokładnie tak, jak robili to bohaterowie dawnych westernów, kiedy dopadało ich przeznaczenie. – Nie, Mari – powiedział. – Zrobię to sam, a ty mi będziesz tutaj świecić, okej?

Mirek przystawił drabinę do dachu, który przypominał piramidę. Zbyszek zaczął wchodzić po metalowych szczeblach, z każdym krokiem żałując, że włożył te przeklęte kalosze. Obcas buta zahaczał się co chwila. Gdy był w połowie drogi, spojrzął w okno, które znajdowało się na wysokości jego twarzy. Spojrzął i krzyknął. Stado wron siedzących na dachu rozpierchło się z głośnym krakaniem.

– Co jest, szefie? – zareagował natychmiast Mirek, który trzymał drabinę. – Ducha pan zobaczyłeś?

– Gorzej – odkrzyknął Zbyszek, który wznowił wspinaczkę. – Jakąś marę nocną!

Mara pogroziła mu w oknie pięścią i znikła.

Gdy Zbyszek dotarł na dach, musiał jeszcze kawałek poczołgać się po dachówkach, ale jedno spojrzenie na komin wystarczyło, żeby wiedzieć, dlaczego komin dymi. Wtedy kilka dachówek obsunęło się i noga kominiarza utknęła w niewielkiej szczelinie. A dokładnie utknął obcas kalosza. Zbyszek poruszył nogą, najpierw delikatnie, potem bardziej stanowczo. Oczami wyobraźni widział już siebie zapadającego się w podszycie dachu, z wiszącymi nogami, z których spadają nieszczęsne kalosze, odsłaniając przykrótkie i niestety dziurawe skarpetki. Siła grawitacji jest tak duża, że pękają szelki i spodnie Zbyszka opadają. I na to wszystko patrzy Marianna. Wizja opadających spodni prześladowała go od pamiętnego zdarzenia z Buddą. Opuścił górną część ciała powoli, starając się dosięgnąć do zablokowanej nogi. Bardzo wolno przesunął ręką, widząc, że wystarczy podnieść jedną z dachówek. Gdy prawie dotknął jej palcami, nagle tuż obok wystrzelił w górę właz wejścia prowadzącego na dach, a w nim pojawiła się ta sama upiorna gęba, która straszyla go w oknie, a wcześniej w drzwiach wejściowych.

– Jak pan zepsujesz dach, to będziesz pan odkupywał! – zaryczała gęba, ale Zbyszek już tego nie usłyszał.

Ocknął się dopiero, gdy leżał na ziemi z zamkniętymi oczami, bez jednego buta, i zastanawiał się, dlaczego w przeszłości nie został kelnerem.

*

Kiedy Zbyszek walczył na dachu, dotarłam do biura Zrzeszenia objuczona jak wielbłąd. Dźwigałam bowiem wiadro świeżej farby oraz torbę z kilkoma butelkami rozpuszczalnika. Samochód tego dnia odmówił współpracy i najzwyczajniej w świecie nie chciał zapalić. Postanowiłam, że zajmę się nim w poniedziałek.

Od rana gryzłam się tym, co usłyszałam od matki. Rozpamiętywanie jej słów doprowadziło mnie prawie do rozstroju nerwowego. Zatelefonowałam na policję, gdzie zbyto

mnie stwierdzeniem, że sprawy rodzinne powinnam rozstrzygać sama, bez pomocy policji, że ojciec też ma prawa i tak dalej. Słyszałam już takie opowieści z ust swoich klientów, teraz dotyczyło to także mnie. Czułam się bezsilna. Co robić w takiej sytuacji? Zatelefonowałam do kancelarii prawnej, a tam poradzono mi wynająć detektywa i na własną rękę szukać dzieci. Bardzo chciałam z kimś o tym porozmawiać. Betka nie odebrała telefonu, napisała, że jest w biurze Zrzeszenia i maluje ściany. Musiałam z kimś porozmawiać, narodzić się, zająć czymś, bodaj tym malowaniem biura. Nie pozostawało mi nic innego, jak dołączyć do Betki, a przy okazji podzielić się problemem. Przyszło mi do głowy, żeby poprosić o pomoc Zbyszka, ale nie odbierał telefonu. Wysłałam mu więc esemesa z krótką informacją i prośbą o kontakt.

*

Biuro Zrzeszenia znajdowało się w centrum miasta, w budynku, wokół którego nawet w nocy i święta brakowało miejsc parkingowych. Uświadomiwszy sobie, że najbliższe wolne miejsce dla samochodu znalazłabym prawdopodobnie pod własnym domem, pomyślałam, że nie ma co żałować, że musiałam skorzystać z komunikacji miejskiej. Przystanek był niedaleko wejścia do budynku.

Jechałam zaledwie kilka przystanków. Siedziałam na pojedynczym siedzeniu, obok mnie ktoś stał. Oceniałam, że to kobieta w średnim wieku, postawna. Wiaderko z farbą postawiłam sobie między nogami, torbę z butelkami trzymałam na kolanach. Spostrzegłam, że zbliżamy się do przystanku, na którym zamierzałam wysiąść, dlatego podniosłam siatkę i sięgnęłam do pałaka wiaderka. Żeby je podnieść, musiałam trochę rozsunąć nogi. Lewa zareagowała prawidłowo, ale prawa ani drgnęła. W pierwszej chwili pomyślałam, że noga przymarzała mi do podłogi i będę tak kursować tym autobusem aż do wiosny, ale dość szybko zorientowałam się, że to stojąca przy mnie kobieta przygniotła mi stopę.

– Może mnie pani przepuścić? Wysiadam – powiedziałam w jej stronę, wykonując równocześnie dość jednoznaczny gest, że zamierzam wstać z siedzenia. Baba ani drgnęła. Unieruchomiona kończyzna, torba z butelkami i wiaderko ogromnie przeszkadzały mi w uzyskaniu pionu bez współpracy z tą kobietą. – Proszę pani, proszę się troszkę przesunąć, chcę wyjść – powiedziałam bardziej stanowczo i głośniejszym głosem.

Nie zrobiło to na kobiecie żadnego wrażenia. Wciąż dociskała mi stopę do podłogi.

– Z drogi! – ryknęłam na całe gardło, bo autobus właśnie zatrzymał się na przystanku.

Wyszarpnęłam stopę spod stopy kobiety z takim impetem, że przewróciła się na stojącego za nią mężczyznę, który z kolei omal nie wypadł przez otwierające się drzwi. Ludzie, którzy oczekiwali na przystanku, jak zwykle podeszli tak blisko, że wysiadającym trudno było opuścić autobus. Facet, który omal nie wyleciał na zewnątrz, w ostatniej chwili złapał skórzany uchwyt na metalowym drążku i zawisł jak na lianie. Usiłujący wsiąść zobaczyli mężczyznę w kożuchu, który bujał się na poręczu niczym małpa.

– Panie, to nie cyrk. Wsiadać albo wysiadać – skarcił go jeden z czekających.

Poderwałam się, żeby wysiąść. Ruszyłam z impetem i uderzyłam wiadrem z farbą w metalową poręcz. Wieczko odskoczyło i farba chlusnęła na zewnątrz. Na szczęście nikt nie ucierpiał, ludzie zdążyli uskoczyć. Biała farba pokryła resztki zabłoconego śniegu.

– To rozumiem – pochwalił jeden z pasażerów. – Malowało się kiedyś trawę na zielono, to można i śnieg na biało!

Do biura dotarłam z połową zawartości wiaderka.

– Coś ty taka skąpa? – wytknęła mi Betka. – Odląłeś sobie na później?

– Nie, malowałam śnieg – odparłam. – Taki szary mają przed tym biurem. Betka, słuchaj, mam problem. Boję się, że Cezary porwał dziewczynki.

Betka walczyła z ogromną, foliową płachtą, z którą nie wiadomo, co chciała zrobić. Przykryć podłogę, zabezpieczyć drabinę czy okryć siebie. Miotła się we wszystkie strony, to dmuchając w plastik i go podnosząc, to znów rozkładając przed sobą lub wyrzucając gdzieś w dal. Gdyby występowała na scenie, można by uznać, że to jakaś artystyczna kreacja.

– Betka, słyszysz? – zniecierpliwiałam się. – Cezary zabrał dzieci!

– Tak, wiem – wybełkotała przyjaciółka zakneblowana folią. – Zabrał je do Egiptu!

– No tak, ale potem ich nie odda! – pożałowałam się i przełożyłam wiadro z farbą z ręki do ręki. Nie mogłam go postawić, bo obawiałam się, że zostaną brzydkie kółka na podłodze, która wciąż nie była zabezpieczona. – Prześń bawić się tą folią! Ręce mnie boją!

– Skąd wiesz? – chciała wiedzieć Betka.

– Bo czuję!

– Nie, o tym porwaniu, skąd wiesz? – uściśliła Betka, wciąż zafoliowana.

– Matka mi powiedziała.

– Wierzysz jej?

– Wiesz dobrze, że nigdy nie wierzę własnej matce!

– To czym się przejmujesz? Kiedy oni wracają? Za tydzień? To dlaczego panikujesz? Poczekaj do niedzieli i wszystko się okaże. – Betka zapęłniła się w folii. – Kurczę, Marta, pomóż mi! Diabli nadali z tą folią!

Wykonałam krok w jej kierunku, ale zatrzymałam się, bo wiadro jednak mi ciążyło. Chciałam odwrócić się, żeby gdzieś je odstawić, ale w trakcie wykonywania półobrotu przyszło mi do głowy, że nie mam gdzie, zatem się zatrzymałam. Przełożyłam wiaderko do drugiej ręki i tą oswobodzoną wyciągnęłam, żeby pomóc przyjaciółce. Ona tymczasem pochyliła się, więc trafiłam w powietrze. Siła rozpędu, która zwiększyła się ze względu na obciążenie, pchnęła mnie do przodu. Żeby się nie przewrócić, zrobiłam potężny wypad nogą, tupiąc przy tym tak, że aż echo poniosło. Betka straciła równowagę i się przewróciła. Usiłowała wstać, ale wyglądała przy tym jak wielka larwa w kokonie, która właśnie się przepoczwarza. W pozycji prawie przysiadu złączyłam z ogromnym wysiłkiem nogi, cały czas dzierżąc przekłętą wiadro z farbą. Ktoś patrzący z boku mógłby uznać, że wykonuję taniec rytualny. Pochyliłam się nad leżącą Betką i zabrakło mi koncepcji. Żeby jej pomóc, potrzebowałam dwóch rąk, a jedną miałam zajęta. Odruchowo przesunęłam pałąk na nadgarstek, tak jak zwykle noszę torebkę, i wykonałam ruch w stronę przyjaciółki. Wiaderko przechyliło się w kierunku jej twarzy...

– Stać! Ani się ruszać! – padła nagle ostra komenda. Zastygłam w bezruchu, lekko pochyłona do przodu. – Już idę, lebiegi jedne!

Odważyłam się lekko przekręcić głowę w stronę mówiącego. Uznałam, że jest to na tyle niewielki ruch, że mogę sobie na niego pozwolić. W naszą stronę szedł mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, ubrany w kominiarski mundur. Odruchowo poszukałam guzika. Wyczułam jeden, na bluzce zapinanej pod szyją. Facet minął mnie i przystąpił do oswobodzenia Betki.

– Postanowiłaś zamienić się w posąg? – zaczęła mnie zgryźliwie Betka, która w pionie od razu nabrała animuszu. – Pomnik upamiętniający zmagania mediatorów z remontem?

Wyprostowałam się i od razu poczułam ból w krzyżu i ramionach.

– Jestem wykończona i obolała – poskarżyłam się. – Zanim cokolwiek się tu zaczęło!

– Jestem Mirek – przedstawił się kominiarz. – Zbyszek przysłał mnie do pomocy.

– A sam nie raczył przyjść? – nie zmieniła tonu Betka. – Korona mu by z głowy spadła, gdyby nam trochę pomógł?

– Nie da rady, nie może. On sam spadł. – Mirek pokiwał głową. – Z dachu. Złamał rękę w dwóch miejscach i nogę. Zagipsowali go.

– A może ten twój nowo poznany Maciej raczyłby się zaangażować? – odpowiedziałam

Betce z rozpędu. – Jemu chyba też korona z głowy by nie spadła! O kurczę, jak to z dachu?

Dopiero teraz komunikat do nas dotarł i wydobyliśmy z Mirka szczegóły zdarzenia. Okazało się, że nasz nieszczęśnik zaczepił butem o drabinę, która spadła na niego, powodując dodatkowe stłuczenia. Na szczęście śnieg zamortyzował upadek, więc tylko na złamaniach ręki i nogi się skończyło.

– A musiał wchodzić na ten dach? – zainteresowała się Betka. – Był zatkany?

Zanim upewniłam się, że nie o zatkany dach, ale komin jej chodziło, kominiarz Mirek odpowiedział na pytanie, dość sprawnie zabierając się do pracy. Robił i mówił.

– To była ogromna zagadka – rozpoczął tajemniczo, zdejmując mundur i zawijając rękawy koszuli. – Jakiegokolwiek próby rozpalenia ognia w kominku doprowadzały do dymienia w pokoju. Ale gdy świeciliśmy latarką w górę, to widać było niebo, znaczy się – komin drożny. Więc Zbyszek zdecydował, że nie ma rady, musi wejść na dach i spuścić kulę.

Mirek fachowo pociągał wałkiem po ścianie, jakby był zawodowym malarzem, a nie kominiarzem. Obie patrzyliśmy na niego w zachwycie. A on opowiadał.

– Mówię wam, zgłupieliśmy – wysapał, zmuszony do zadarcia głowy. – Przez komin widać niebo, a my musieliśmy spuszczać kulę, bo nie było innego wyjścia. Dymiło na pokój, więc coś musieliśmy zrobić.

Zanurzył wałek w farbie, wszedł na drabinę i kontynuował:

– Marianna chciała iść na dach, ale Zbyszek zdecydował, że on to zrobi. Chyba się przed nią popisuje. Ten dach był trudny, bardzo spadzisty, bez ław i w dodatku ze starą dachówką. Nawet z przystawieniem drabiny był kłopot, bo dookoła domu usypali sobie wały ze śniegu. Idiotyzm zupełny, odśnieżali ścieżki i hałdy śniegu zostawiali pod ścianą. Jak zacznie topnieć, to im piwnica zawilgotnieje. Wszystko powyżej opaski.

– Co go przeraziło? Na tym dachu? – dopytywała się Betka, najwyraźniej niezainteresowana szczegółami konstrukcji domu. – Jakiś diabeł wyrzwał z komina – czy co?

– Prawie – roześmiał się Mirek, maczając wałek w farbie. – Jedna z właściolek postanowiła obserwować jego pracę przez właz na dachu. A do najurodzawszych nie należała, w dodatku miała takie coś dziwnego na głowie. Jakby banię z ludzkich włosów, ale w dziwnym kolorze. Wstrząsający widok w normalnych okolicznościach, a co dopiero na dachu, i to zniecka!

– No tak, gdy na co dzień ogląda się normalne kobiety, to jakaś mazepa może wytrącić z równowagi – przyznała Betka. – A co z tym kominem? Udało się ustalić?

– Tak – przytaknął Mirek. – Ta dziwaczka przykryła go szkłem, żeby brudy nie leciały do środka, bo kominek jej się zanieczyszczał.

– Co proszę? – nie zrozumiałam, co ten człowiek powiedział.

Kominek miałby zanieczyszczać się czymś, co leci z nieba? A niby czym? Śniegiem, deszczem?

– To wariatka – skwitował Mirek. – Nie brakuje takich na świecie. Chciała mieć czysto w kominku, a nie pomyślała, że dym musi się jakoś wydostać. Całe szczęście, że zasłoniła cały wylot i nie mogli w ogóle rozpać ognia. Gdyby pozostała jakaś szczelina, zaczadzieliby. A przez to szkło z dołu wszystko było widać. Czyste niebo, jak w pysk strzeł. Wymyśliła szybkę, bo nie chciała tracić dziennego światła. Idiotyzm zupełny. Dienne światło w kominku! Dlatego Zbyszek wchodził na dach.

Mirek opowiadał i rozprowadzał farbę. Folia nawet nie wiem kiedy znalazła się na podłodze. Zanim się obejrzelismy, całe pomieszczenie zostało pięknie odmalowane.

– To tak mediujecie? – zainteresował się Mirek po skończonej pracy. – Cztery ściany, krzesła i stół? I nic więcej? Jak w areście?

Pomieszczenie rzeczywiście było skąpo umeblowane i sprawiało przygnębiające wrażenie. Na dość dużej przestrzeni stały pośrodku meble, a nad wszystkim zwieszała się duża, biała lampa.

– Owszem, jest jeszcze jasno świecąca lampa, spójrz. Na ociągających się. – Betka nie mogła pozbyć się zgryźliwego tonu. – A jak już podpiszą ugode, to ich jeszcze przez tydzień trzymamy w zamknięciu, żeby nie przyszło im do głowy się rozmyślić.

Szybko posprzątałyśmy po malowaniu i pora była jeszcze wieczorowa, więc uzgodniliśmy, że odwiedzimy kontuzjowanego Zbyszka, który wedle szacunków Mirka powinien być już w domu. Zabrałyśmy się z nim samochodem. Ten ktoś, kto miał odebrać klucze od Betki, nie pojawił się, więc zabrała je ze sobą.

Zbyszek mieszkał w niedużej kawalerce w przedwojennej kamiennicy. Jego mieszkanie składało się z pokoju, aneksu kuchennego oraz wnetki, w której miał łazienkę. Całość była dość skromna, jeśli chodzi o powierzchnię, ale Zbyszek zbierał stare lampy naftowe. Jego kolekcja zajmowała każdy kąt, przepiękne, przedwojenne okazy zwisały z sufitu, a kolekcjonerskie cacka otrzymane w darze lub przywiezione z podróży stały lub wisały dosłownie wszędzie. Łazienka, która powstała z wydzielenia z lokalu kawałka podłogi do sanitarnego użytku, ze zrozumiałych względów była malutka. Na powierzchni zaledwie sześciu metrów kwadratowych zmieszczono niedużą wannę, która pełniła także funkcję umywalki, sedes i taboret. Na ścianach zawieszono półki, a na nich, oprócz przyborów do mycia i prania, stały lampy. Całość sprawiała dobre wrażenie, choć odrobinę przytłaczała liczba sprzętów.

Zbyszek został przewieziony do domu karetką. Mieszkał na parterze, a drzwi do jego mieszkania znajdowały się naprzeciw drzwi wejściowych do budynku, pielęgniarki zatem szybko uporali się z transportem i odjechali. Zbyszek usiadł na krześle, zagipsowaną nogę umieścił na stołeczku, a ramię w gipsie oparł o stół. Marianna, która towarzyszyła mu w powrocie do domu, ogarnęła kawalerskie mieszkanie jednym spojrzeniem.

– No dobra, zaraz dam ci coś do jedzenia i wezmę się do sprzątnia – oświadczyła.

Zbyszek poruszył się niespokojnie. Wychodząc z domu, nie przewidywał akrobacji na drabinie zakończonych unieruchomieniem w gipsie, dlatego też nie przejmował się leżącymi na ziemi i łóżku rzeczami. Gdzie spadło, tam zostało, sprzątnie się, gdy będzie zawadzać. Wedle takiej zasady prowadził swoje skromne gospodarstwo. Nie miało to zastosowania jedynie do lamp.

– Zostaw, później się ogarnie – powiedział nieśmiało, ale Marianna już kucąła, żeby pozierać części jego garderoby.

– Jakie później? – zaprotestowała. – Jeszcze potkniesz się o jakąś szmatę i będzie nieszczęście. Gdzie masz pralkę? To wszystko jest brudne!

Zbyszek nie miał pralki. Nie uważał dotąd, że to niezbędny w tym domu sprzęt. W jego przekonaniu koszule brudziły się po pięciu dniach, mundur po miesiącu, a bielizna i skarpety po trzech. Zatem co dwa tygodnie formował pokaźną paczkę rzeczy przeznaczonych do uprania, którą zawoził do mieszkającej dwa skrzyżowania dalej znajomej. Miała małe dzieci, więc i pralkę. Zawoził jej paczkę z brudami, odbierał z upranymi rzeczami, płacił za usługę mniej niż w pralni. I tak to działało.

Teraz wahał się, co powiedzieć Mariannie, która trzymała w rękach jego brudy i rozglądała się za pralką.

– Nie mam pralki – powiedział odważnie. – Piorę wszystko za rogiem. Tu jest ciasno, jak widzisz.

– Aha – mruknęła Marianna i zastygła niezdecydowana, co z robić z naręczem rzeczy. – To tu je położę tymczasem – powiedziała w końcu, bo Zbyszek milczał.

Odłożyła rzeczy na brzeg łóżka i podeszła do stołu, na którym stał kubeczek z resztkami zastygłej zupy w proszku, nadgryziony bochenek chleba, napoczęte masło w papierku i opakowanie po kefirze.

– To też zostaw – poradził Zbyszek. – Chleb cały czas się je, w kubku zrobię sobie zupę, a kefir to się później wyrzuci.

– To może chociaż ci kubek umyję? – zaproponowała niepewnie Marianna.

Ugryzła się w język, kiedy spojrzała w kierunku zlewu. Cała lewa komora zajęta była przez lampy, a w prawej stał ogromny garnek z przykrywką.

– A po co? – zdziwił się Zbyszek. – Przecież to samo w nim rozrobię. W szufladzie są torebki z zupami, wszystkie mają ten sam smak. Tylko mogłabyś wstawić wodę.

Czajnik stał na kuchni. Marianna podniosła go i po ciężarze poznała, że jest pusty.

– Nalej wody w łazience, bo tutaj są lampy – polecił Zbyszek.

W łazience jedyny kran znajdował się nad wanną. Dziewczyna bez złych przeczuć odkręciła zimną wodę i po chwili wyglądała, jakby przed chwilą wzięła prysznic. W ubraniu.

– Hej, kran trochę szwankuje, uważaj! – rzucił w przestrzeń Zbyszek.

Marianna postawiła czajnik na gazie i usiadła na krześle naprzeciw Zbyszka. Wycierała twarz i ręce ręcznikiem, a kominiarz usiłował podrapać się pod gipsem. Przedramię miał złamane w dwóch miejscach: w nadgarstku i okolicach łokcia. Żeby ręka właściwie się zrosła, zagipsowano ją w pozycji zgiętej, na kształt litery L. Zbyszka swędziało dokładnie pośrodku, czyli tam, gdzie nie mógł się dostać.

– Cholera z takim czymś – denerwował się, gdy trzeci patyczek od szaszłyka utkwiał mu pod gipsem. – Nawet po nosie nie mogę się spokojnie podrapać!

Marianna rozłożyła ręcznik na krześle i podeszła do szefa. Pogładziła go delikatnie po nosie, potem po czole i przejechała palcami po włosach. Zbyszek zamknął oczy i pomyślał, że w zamian za takie doznania gotów jest codziennie skakać z dachu. W tej chwili jednak zagwizdał czajnik. Kominiarz podjął natychmiastową decyzję, że gdy tylko odzyska sprawność, zaraz zakupi czajnik bezprzewodowy. Taki, który sam się wyłącza. Dziewczyna przerwała bowiem głaskanie i zajęła się czajnikiem. Zakręciła gaz i rozejrzała się za szklankami i herbatą. Na blacie kuchennym nic nie znalazła. Otworzyła jedną szafkę, potem drugą i wciąż nic. Wysunęła szufladę i krytycznie przyjrzała się zawartości.

– Równie dobrze mógłbyś jeść trociny. Może nawet lepiej byś na tym wyszedł – powiedziała z przekąsem, oglądając plastikową torebeczkę z zupką instant. – Nie mogę znaleźć herbaty. W lodówce nic nie masz. Może coś ci ugotuję?

Zanim Zbyszek zdążył odpowiedzieć, otworzyła drzwi lodówki. W środku, poza jednym surowym jajkiem, czterema butelkami piwa i kawałkiem spleśniałej kiełbasy krakowskiej, nie było nic.

– Jutro coś ci przywiozę – postanowiła Marianna. – Nie możesz tak żyć.

Pokroiła chleb i posmarowała go masłem, a jajko ugotowała na twardo. Postawiła przed Zbyszkiem talerz z jedzeniem i uśmiechnęła się zachęcająco.

– No to chociaż piwo mi daj – westchnął Zbyszek. – Za kółko przecież nie wsiądę.

Marianna spełniła jego życzenie. Atmosfera była miła, jednak rozmowa się nie kleiła. Zbyszek czuł się zażenowany swoim unieruchomieniem, a dziewczyna nie mogła znaleźć sobie zajęcia w skromnym gospodarstwie kominiarza. Zainteresowała się lampami, o których Zbyszek zaczął jej w przejęciu opowiadać.

Tymczasem my dotarliśmy na miejsce. Przed domem kominiarza Betka zaproponowała, żeby po drodze zrobić zakupy, bo unieruchomiony Zbyszek będzie miał z tym kłopot. Wstąpiliśmy więc do jednego z supermarketów. Przypomniałam sobie, że nasz przyjaciel nie

dysponuje czajnikiem nowej generacji i za każdym razem trzeba czekać, aż woda zagotuje się w czajniku z gwizdkiem. Później parzy się palce, usiłując zdjąć rozgrzany gwizdek. Udałam się więc do alejki z artykułami AGD. Wybór czajników był ogromny, mniejsze i większe, we wszystkich kolorach i fasonach, świecące i metaliczne. Przyglądałam się im przez chwilę, a ponieważ nie mogłam przypomnieć sobie, jaki wystrój ma kuchnia Zbyszka, zdecydowałam się kupić czajnik średniej pojemności, biały, bez ozdób. Włożyłam go do koszyka i odwróciłam się, żeby poszukać swojego towarzystwa. Wtedy usłyszałam poirytowany głos Betki:

– Musiałabym doszczętnie zgłupieć, żeby włączyć się po sklepie w sobotę wieczorem tylko po to, żeby sobie kółkiem pokręcić! – handryczyła się na cały głos.

Szybko znalazłam Betkę i Mirka. Przyjaciółka aż się trzęsła z emocji, a Mirek chichotał pod nosem. Korzystając z okazji, że Betka skupiła się na rzodkiewkach, dyskretnie zapytałam go, co się stało. Szeptem odpowiedział mi, że przechodzili alejką z rowerami. Jeden z nich był ustawiony na podwyższeniu w taki sposób, że koła nie dotykały podłoża. Jakieś dziecko zaczęło więc kręcić kołami. Betka zwróciła mu uwagę, że to niebezpieczne, bo jeśli nieopatrznie wsadzi palce w szprychy rozkręconego koła, to może być nieszczęście. Równocześnie wyciągnęła rękę, żeby to koło zatrzymać. Zobaczył to pracownik sklepu i zwrócił jej uwagę, że dorosła kobieta, a bawi się w tak nieodpowiedzialny sposób. Dziecka, rzecz jasna, dawno już nie było w pobliżu. Betkę oburzyło posądzenie, że przyszła do sklepu, żeby pokręcić sobie kółkiem od roweru. Zgryźliwie dodała, że owszem, lubi takie prymitywne rozrywki, bo jest tępa i często dłubie palcem w nosie. Gdy podchodziliśmy do kasy, konwulsje spowodowane powstrzymywaniem śmiechu szarpały Mirkiem i mną. Betka obraziła się na nas śmiertelnie i ostentacyjnie się nie odzywała.

Rozbawieni dotarliśmy do domu Zbyszka. Drzwi zewnętrzne nie były domknięte, a Mirek zaproponował, żeby nie denerwować kolegi dzwonieniem, tylko po prostu wejść do środka. I tak zrobiliśmy. Naszym oczom ukazał się Zbyszek majestatycznie osadzony na sedesie, z wycelowaną w nas nogą w gipsie, a prawą ręką, także zagipsowaną, wykonujący niepełne zgięcie. Brakowało tylko drugiej ręki, żeby gest Kozakiewicza był kompletny. W drugiej ręce Zbyszek trzymał rolkę papieru toaletowego i kłął, na czym świat stoi.

– Zbyszku, nie chcieliśmy przeszkadzać... – zaczęłam, bo Betce i Mirkowi odjęło mowę.

Mirek wpatrywał się w swojego szefa z otwartą buzią.

– Psiakrew! Niech to jasny piorun strzeli! Wszyscy diabli nadali! Jasny gwint! – żołądkował się Zbyszek. – Po jaką jasną cholere kleją to tak mocno! Żeby człowiek nie mógł normalnie skorzystać! Zębami mam szarpać czy jak?!

Okazało się, że nie mógł poradzić sobie z nienapoczętą rolką papieru. Krawędź była zbyt mocno zaklejona i biedny Zbyszek, który usiłował jedną ręką trzymać rolkę i odwinąć papier, męczył się z tym strasznie.

– A co mają zrobić ludzie bez rąk! – utyskiwał, nawet wtedy, gdy pomogliśmy mu z papierem. – Powiesić się chyba!

– Ci bez rąk nie korzystają chyba z papieru... – wymamrotała Betka, dotąd milcząca. – A ty nie chciałbyś zrobić tego... no... swoich spraw załatwiać bardziej kameralnie?

Zbyszek poczerwieniał na twarzy i pociągnął znacząco nosem.

– Łazienka jest za krótka, chciałem powiedzieć za mała i drzwi się nie domykają, przez tego cholernego kulasa! – odparł, pukając w gipsową nogę. – Dobrze, że Marianna sobie poszła, bo gdybym musiał w jej obecności...

– W naszej jak najbardziej możesz, nie krępuj się! – odzyskał humor Mirek. – Takie piękne powitanie nam zgotowałaś. A jeśli komuś coś przeszkadza, to możesz mu gest Kozakiewicza zrobić od razu!

– Żebym ja tobie czegoś tą ręką nie zrobił! – zdenerwował się Zbyszek. – Nie przywalił ci w ten głupi ryj na przykład. Akurat jest wzmocniona i mogę walić!

– Uspokójcie się – postanowiłam zainterweniować, bo Zbyszek wyglądał, jakby miał eksplodować, a wciąż siedział na sedesie. – Wyjdziemy na klatkę schodową, w tym czasie Zbyszek zrobi swoje i jak skończy, to nas zawoła.

Mój pomysł zyskał aprobatę, więc tak zrobiliśmy. Kilkoro sąsiadów przyglądało się nam podejrzliwie, gdy staliśmy przy drzwiach, nasłuchując. Przez kilka minut, które wydały się długimi godzinami, panowała cisza. Potem coś huknęło i zabrzęczało.

– Zleciał z tego klopa, rozbił gips i pół mieszkania przy okazji – orzekł Mirek.

Betka delikatnie zapukała. Nic. Cisza.

– Mówię wam, że spadł na pysk i leży teraz w gruzach z gipsu – przekonywał Mirek.

Oczami wyobraźni widziałam Zbyszka czołgającego się do drzwi między skorupami i opadającym pyłem.

– No to wchodzimy! – zdecydowałam i nacisnęłam klamkę.

We trójkę wcisnęliśmy się równocześnie do ciasnej kawalerki. Zbyszek siedział już na krześle przy stole, opierając ramię w gipsie o blat.

– Sami się obsłużcie, bo ja nie mogę – oświadczył na nasz widok. – Diabli nadali ten gips!

*

Przygody Zbyszka i Betki odwróciły trochę moją uwagę od tego, co usłyszałam w piątek od matki. W poniedziałek zjawiłam się w biurze dopiero około dziesiątej, po drodze wstąpiłam do kancelarii prawnej, by zasięgnąć porady prawnika. Jego zdaniem sprawa była trudna. Sąd postanowił wprawdzie, że to ja powinnam sprawować bezpośrednią opiekę nad dziećmi, ale nie pozbawił ani nie ograniczył byłego męża w jego władzy rodzicielskiej. O porwaniu można było mówić dopiero po pewnym czasie, a oświadczenie mojej matki – jego zdaniem – nie musiało polegać na prawdzie. Pozostawało więc czekać. Betka zaczynała pracę tego dnia po południu. Liczyłam na chwilę rozmowy z nią.

Nagle ktoś bardzo energicznie otworzył drzwi. Do pokoju wszedł wysoki, mocno opalony brunet, który widząc mnie, wyrzucił przed siebie prawą rękę i krzyknął bardzo głośno:

– Pallantino! Dzień dobry! Dobrze, że pani przyszła! Bałem się, że mediacji nie będzie! – domyśliłam się, że to połowa spodziewanej włosko-polskiej pary. Pan zjawił się prawie godzinę za wcześnie. Nie lubiłam takich niespodzianek, bo choć nie prowadziłam w tej chwili żadnego spotkania, te kilkanaście minut zamierzałam wykorzystać w inny sposób. Od czwartku usiłowałam dodzwonić się do Bogdana Krywicza, zięcia pani Stefanii. Wczoraj wieczorem otrzymałam esemes, że możemy porozmawiać w poniedziałek około dziesiątej. Nadejście pana Pallantino trochę komplikowało sprawę.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Proszę usiąść. Umawialiśmy się na jedenastą, zatem pozwoli pan, że jeszcze do kogoś zatelefonuję.

Pan Fabio usiadł na krześle i przez chwilę trwał w ciszy. Wystukałam numer i czekając na połączenie, obserwowałam gościa. Włoch był wyraźnie zdenerwowany. Stale zaplatał i rozplatał palce, wiercił się na siedzeniu, jakby miał robaki albo nie potrafił zatrzymać wzroku na jednym punkcie. Strzelał oczami we wszystkich kierunkach, co jakiś czas zerkając nerwowo w moją stronę.

Po kilku sygnałach odezwał się w telefonie automat. Rozłączyłam się i wybrałam numer ponownie. Być może pan Bogdan nie zdążył odebrać. Tymczasem mój gość wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

Znow słyszałam automat, postanowiłam więc napisać wiadomość.

– Moja żona już poszła? – spytał nagle Włoch. – Już pani z nią rozmawiała?

– Nie, powinna pojawić się o jedenastej – odparłam, kończąc pisanie esemesa.

– Powinna pani z nią porozmawiać – dodał Pallantino. – Żeby ona była spokojna.

– Za chwilę przyjdzie, mam nadzieję – powiedziałam, patrząc z wymuszonym uśmiechem na mężczyznę. – Proszę usiąść. Jest za kwadrans jedenasta.

– Ona nie wie, czego chce, i mnie dręczy cały czas – rozkręcał się Włoch. Wyglądało na to, że mediację rozpoczniemy nieco wcześniej, od rozmowy indywidualnej z nim samym. – Ona szuka nowego ojca dla mojego dziecka, a przecież dziecko już ma ojca!

– No dobrze. – Odłożyłam telefon i gestem pokazałam panu, żeby usiadł.

Na siedząco łatwiej się rozmawia. Dobrze wiedziałam, że emocje nie pozwolą temu człowiekowi usiedzieć spokojnie, a przetrzymywanie go w takim stanie jeszcze przez piętnaście minut mogłoby doprowadzić do awantury na samym początku spotkania. Bezpieczniej było pozwolić, aby dał ujście żalom choć w części, zanim oficjalnie zaczniemy.

– Może powie mi pan, o co chodzi? Dlaczego znaleźliście się w sądzie? O co toczy się spór?

– Ja nie wiem, co to spór – skonsternował się pan Pallantino, ale posłusznie usiadł. – Moja żona ma kochanka. I niech go ma, ja się nie wtrącam. Ale dlaczego ten cham chce zabrać mi dziecko?! Ja jestem ojciec i on nie będzie na moje miejsce!

– Rozumiem, że pana żona chce się rozwieść, bo związała się z innym mężczyzną, zabrała ze sobą dziecko i pan czuje się w tej sytuacji niekomfortowo? – podsumowałam, a pan Fabio najpierw potakująco kiwał głową, przy ostatnich zaś słowach stanowczo zaprzeczył, tak że omal głowy sobie nie urwał.

– Nie. Dziecko jest u mnie. Ona w ogóle się nim nie zajmuje. To ten łobuz chce!

– Nie rozumiem – przyznałam. – Obcy mężczyzna walczy o prawa do pańskiego dziecka?

– Jak to walczy? – zdenerwował się Włoch. – On pójdzie do sądu?! Jakim prawem?!

Wzięłam głęboki wdech, bo sprawa zaczynała się lekko komplikować.

– Panie Fabio – zaczęłam spokojnie. – Niech mi pan powie, kto i w jakiej sprawie złożył wniosek do sądu?

– No pani powiedziała, że ten bydlak! – zareagował natychmiast pan Pallantino.

– Bydlaka zostawmy na chwilę w spokoju – zaproponowałam. – Skupmy się na tym, co dzieje się między panem a żoną.

– Ja go nie mogę zostawić, bo on chce być ojciec dla mojego dziecka! – rozkręcał się gość.

– Jak ja mogę go zostawić?! Co pani, oszalała?! Ten bydlak?!

Praca mediatora nie należy do najłatwiejszych na świecie. Bywa, że zanim dowiem się, o co tak naprawdę chodzi, mija sporo czasu. Tym razem obawiałam się, że włoski temperament może być zbyt trudny do opanowania, dlatego na wszelki wypadek dyskretnie zerknęłam, czy nóż do krojenia ciasta został schowany do szuflady.

– Dobrze, dobrze. Dojdziemy i do niego – mówiłam, starając się zachować spokój. – Ale najpierw muszę dowiedzieć się, co dzieli pana i żonę i o co toczy się główna sprawa. Dlaczego rozmawiają państwo za pośrednictwem sądu? Czego ma dotyczyć mediacja? W przeciwnym razie nie będę umiała państwu pomóc.

Moja przemowa podziałała uspokajająco. Włoch usiadł mocniej na krześle, znowu pokiwał głową na znak aprobaty, po czym wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy.

– Ja pokażę pani, co się dzieje – oświadczył, stukając palcem w okienko komórki. – Ja mam całą dokumentację. Wszystkie nagrania opisane. W komórka tylko z ostatniego tygodnia, ale to taki podgląd. Żeby pani widziała. O, proszę.

Zanim zdążyłam zareagować, pan uruchomił nagranie. Rękę z trzymanym w niej telefonem wyciągnął w moim kierunku tak gwałtownie, że omal nie podbił mi oka. Usłyszałam krzyki, wzajemne wyzwiska i płacz małego dziecka w tle. Następnie trzaskanie drzwiami, dźwięk tłuczonego szkła i głośny szloch kobiety. Obraz był mi niedostępny, bo pan Pallantino trzymał telefon przed moim biustem. Ale i to wystarczyło, żeby nabrać do całej sprawy ogromnego dystansu. W chwili gdy Włoch przeszukiwał telefon w celu odnalezienia i odtworzenia mi kolejnego nagrania, do pokoju weszła jego żona.

– Zapraszam. – Wskazałam kobiecie krzesło przy stole.

Usiadła naprzeciw swojego męża, sztywna, wyniosła i wyraźnie bojowo nastawiona. Była to dość wysoka brunetka niezwykle elegancka, ubrana w białą-czarną szachownicę, narzuconą na biały golf i białe spodnie. Długie, białe kozaki eksponowały zgrabne nogi. Zawsze zastanawiałam się, jak to się dzieje, że w dżdżysty dzień, gdy na ulicach zalega błoto pośniegowe, tego typu kobiety zawsze zachowują nieskazitelną biel ubrania i obuwia.

Nowo przybyła otworzyła torbę, poszperała w niej przez chwilę, po czym położyła na stole równie elegancki jak ona telefon w srebrnej obudowie. Następnie znów zatopiła rękę w torebce i wyjęła drugi aparat – dla odmiany złoty.

– Proszę poczekać, jestem jeszcze nieprzygotowana do rozmów – oświadczyła chłodno.

Odstawiła torbę na krzesło stojące obok i zajęła się telefonami.

Rozpoczęłam, pomimo jej rozkazu, monolog mediatora: obowiązkowy element każdej mediacji.

– Proszę państwa, mediacja to szansa na znalezienie rozwiązania, które będzie satysfakcjonujące dla wszystkich. Nie mówimy tu o kompromisach, lecz o porozumieniu będącym wstępem do zakończenia konfliktu. Mediacja jest dobrowolna, co oznacza, że na każdym etapie mogą się państwo z niej wycofać, poufna, co oznacza, że rozmawiamy w tym wąskim gronie i nagrywanie, stenografowanie czy jakiegokolwiek inne utrwalanie naszych rozmów jest niedozwolone i nie może stanowić dowodu w sprawie. Mnie obowiązuje ścisła tajemnica, z której tylko państwo oboje jednocześnie możecie mnie zwolnić. Mediacja jest odformalizowana, proszę pamiętać, że ja nie jestem sędzią, a nasze spotkania nie służą ustaleniu, kto i w jakim zakresie ponosi winę. Umawiamy się, że będziemy starać się rozmawiać spokojnie, z poszanowaniem drugiej osoby, czyli bardzo proszę sobie nie ubliżać, nie podnosić głosu, nie atakować słownie, a tym bardziej fizycznie. W takich sytuacjach będę zmuszona interweniować.

Dążymy do tego, by ustalić warunki porozumienia, które we współpracy z państwem spiszę i opracuję. Projekt ugody mogą państwo konsultować z pełnomocnikami lub innymi osobami. Uzgodniony tekst, opatrzony państwa podpisami, wyślę do sądu, który zweryfikuje go pod względem zgodności z prawem, wykonalności i zrozumiałości. Zatwierdzona przez sąd ugoda otrzymuje rangę ugody sądowej i staje się tytułem egzekucyjnym. Jeśli będą państwo mieli jakieś pytania w trakcie, proszę je śmiało zadawać. Uprzedzam, że treść rozmów indywidualnych pozostaje tajemnicą w takim zakresie, w jakim państwo o tym zdecydują. Czy mają państwo jakieś pytania?

– Ja mam, jedno – odezwał się pan Pallantino. – Czy pani czytała akta i dokumenty? Bo to jest ważne, żeby pani знаła wszystkie informacje.

– Nie, z aktami mogę się zapoznać, gdy zajdzie taka potrzeba, ale sądzę, że państwo mogą powiedzieć mi w skrócie, na czym polega problem, i skupimy się na szukaniu rozwiązań – moja odpowiedź wyraźnie nie zadowoliła obydwójga.

Ona zmarszczyła brwi z dezaprobatą, a on wzniosł oczy do nieba z wyrzutem.

– Niemożliwa! To nie tak może być! – emocjonował się Włoch. – To jest cała dokumentacja, co ta pani żona wyprawia w domu!

– Zgadzam się, wszystko jest dokładnie opisane – dodała lodowatym tonem pani, akcentując słowo „wszystko”. – Ostatnie wydarzenia w szczególności!

– Jakże ostatnie?! Jakże?! – zdenerwował się jej mąż. – To podłość! Widziałas, że ja nie mogę nic wysłać!

– Mam to głęboko...

– Proszę państwa – przerwałam rozwijającą się kłótnię. – Spokojnie. Zaraz do wszystkiego dojdziemy, ale zacznijmy od początku. Kto założył sprawę o rozwód i dlaczego? W jakich kwestiach nie mogą się państwo dogadać? O co toczy się spór?

Zaczęli mówić równocześnie. Padały oskarżenia i inwektywy, przekrzykiwali się i grozili sobie. Zapomniane przez chwilę telefony poszły w ruch. Pan przystawiał telefon pani do ust, a ona na zmianę a to robiła mu zdjęcia jednym aparatem, a to usiłowała nagrywać drugim. Przyglądałam się tej energicznej parze w milczeniu. W mgnieniu oka zniknęła elegancja pięknej kobiety, która teraz nie przebierała w słowach, klnąc jak szewc. Jej mąż był tak rozemocjonowany, że zaczął mówić dziwnym językiem, który stanowił mieszankę słów polskich, włoskich i nie wiadomo jakich.

– Gdy wróciłam do domu w czwartek, to chciałeś mnie podpalić! – krzyczała klientka. – Nie wypieraj się, bo czułam benzynę w pokoju. A potem latałeś za mną z zapalniczką!

– Bo wykręciłaś korki! – ryczał mężczyzna. – Lumiere nie była! Benzino się wylały z botajki, którą placieres w przezpokoju, specjalnie, żeby nalało do moi scarpri!

– A kto chciał mnie zabić w nocy?! Nie ty?!

– *Ho appeso il quadro al muro*, uwiesiłem pejzaż na murze, ale ona trzasnęła portami i oblużowało. Pejzaż spadł w nocy na głowę, ale przecież nic się nie stało! *Non l'ho fatto apposta!*

– Nie naumyślnie, tylko jak?! Właśnie, że naumyślnie!

– A ty mi zaogniłaś kałbasa z cipulką!

– Sam sobie spaliłeś, bo szukałeś ładowarki do telefonu i zostawiłeś kielbasę na gazie! Trzeba było mnie nie nagrywać!

– Tak?! Ty za to cały nagrywasz i jak cię prosiłem, żebyś mi dała to nagranie, to nie chciałaś!

– I musiałeś pisać wniosek do sądu, żebym udostępniła ci nagranie, moje własne! To chore jest zupełnie! Jesteś chory umysłowo!

– Sama jesteś chora! Dziecko nie może wivać z taką matką. Ten gach też jest chory!

– A pewnie, że chory! Jak wyrzuciłeś go na dwór bez butów, to się przeziębził! Przez ciebie, ty potworze!

– Bo te jego buty *puzzolente! Molto puzzolente!*

– Sam jesteś *puzzolente!* Nie myjesz się przez kilka dni!

– *Lei non mi ascolta mai, quando parlo* – poskarżył się Włoch. – Ja mówię, że on nie jest ojciec dla moje bambino, a ona, że ja śmierdzą!

– *Perche ti sei arrabiato?*¹ – zaczęła dla odmiany po włosku kobieta. – *Perche raccontai ta bugia dopo l'altra?*²

Pan najwidoczniej postanowił udzielić odpowiedzi w postaci rękoczynu, uznałam więc, że pora to przerwać.

– *Voi siete molto nervosi. Si prega di calmarsi o rompere la mediazione!*³ – powiedziała stanowczo, co sprawiło, że oboje natychmiast umilkli. – Nie zależy mi na wysłuchiowaniu kłótni, więc jeśli chcą sobie państwo pokrzyczeć, to zapraszam na zewnątrz. Nie interesują mnie żadne nagrania, oskarżenia czy pomówienia. Proszę powiedzieć, co chcą państwo między sobą ustalić, i ja państwu pomogę. Ale w takich warunkach nie da się pracować. – *Mi esprimo chiaramente.*⁴

Moja przemowa podziałała na polsko-włoską parę niczym kubeł zimnej wody. Uspokoił się i przestali krzyczeć, co wcale nie oznacza, że nagle zaczęli współpracować. Podczas blisko dwugodzinnego spotkania udało mi się ustalić, że oboje chcą rozwodu. Ona, ponieważ poznała i pokochała innego człowieka, on, ponieważ nie może znieść myśli, że jego żona go zdradza. Byli zgodni, że ich półtoraroczną córeczką powinna zajmować się przede wszystkim matka, do czasu aż dziecko podrośnie. Jednakże pan Pallantino nie chciał słyszeć o współudziale w wychowywaniu jego latorośli obcego mężczyzny. Dlatego też stanowczo odmawiał wyprowadzenia się ze wspólnego mieszkania, pomimo że sytuacja materialna, w której się znajdował, pozwalała bez najmniejszego problemu wynająć lub kupić cokolwiek i gdziekolwiek.

Małżonkowie więc mieszkali razem, czyniąc sobie nawzajem rozmaite przykrości, które niezwykle skrupulatnie dokumentowali za pomocą telefonów, aparatów fotograficznych i dyktafonów. Doszło nawet do tego, że oboje wynajęli detektywów, którzy śledzili każdy ich krok i zdawali codzienną relację swoim zleceniodawcom. Z całą pewnością nikt na kuli ziemskiej nie był tak obserwowany jak tych dwoje.

Pamiętam film z Meryl Streep i Dustinem Hoffmanem w roli głównej. Poruszającą historię pary, która pogubiła się w życiu, rodziców, którzy na nowo musieli zdefiniować siebie w tej roli, przeżyć rozwód, rozstanie, wojnę w sądzie. Finałowa scena filmu dawała jednak widzowi nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone, że choć werdykt jest niesprawiedliwy, nie tak powinno się to potoczyć, że jest nadzieja...

Każdy mediator marzy, aby mediacja, której przeprowadzenia się podjął, zakończyła się sukcesem. Co oznacza sukces dla mediatora? Moim zdaniem sytuacja, w której strony – początkowo bardzo skłócone i wrogo do siebie nastawione – zaczynają ze sobą rozmawiać, to właśnie jest udana mediacja. Proces, który zachodzi w ludziach i skutkuje zmianą ich postawy, reakcji czy konkretnym działaniem, to efekt dobrej pracy mediatora oraz pracy tego człowieka nad samym sobą.

Mediatorzy nie powinni bawić się w cudotwórców, którzy z każdej mediacji wychodzą, niosąc ugodę na tarczy. Ugoda to ukoronowanie pracy stron, nie mediatora. Z mojego punktu widzenia sporządzenie ugody dla stron, które nie są jeszcze gotowe, aby realizować postanowienia tam zawarte, to kruche zwycięstwo i często krótkotrwałe. Powinno się zatem namawiać strony, aby przede wszystkim odpowiedziały sobie szczerze na pytanie, na czym im najbardziej zależy, dlaczego w tej sprawie tak zaciekle walczą, dlaczego ten konflikt tak mocno ich dotyka i tak bardzo boli. Jak chcieliby zmienić rzeczywistość oraz czy są absolutnie przekonani, że zaproponowana przez nich zmiana zakończy sprawę. Jeśli na końcu tego procesu pojawi się tekst porozumienia lub ugody, to istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że takie porozumienie czy ugoda przetrwają, a nawet doprowadzą do sytuacji, gdy strony nie będą już potrzebowały ani sądu, ani mediatora, żeby zmieniać niektóre postanowienia.

Po pierwszym spotkaniu zrodziła się we mnie nadzieja, że uda się doprowadzić do polsko-włoskiego pojednania. Na razie jednak byłam w tym odosobniona. Ustaliliśmy termin kolejnej mediacji i para wyszła. Tego dnia nie spodziewałam się nikogo poza Betką, która miała przyjść po południu. Pukanie do drzwi ogromnie więc mnie zaskoczyło. W progu stał mężczyzna średniego wzrostu, szpakowaty, dość szczupły, gładko ogolony, w okularach, o którym nic więcej nie dałoby się powiedzieć. Absolutnie idealnie przeciętny. Może tylko robił wrażenie bardzo wykwintnego.

– Dzień dobry, czy zastałem Elżbietę? – zapytał uprzejmie.

– Nie ma jej, będzie później – odpowiedziałam tym samym tonem.

Mężczyzna zachwiał się, jakby nie zdecydował do końca, czy wejść i kontynuować rozmowę, czy wycofać się i odejść. Kiwał się tak w przód i w tył, po czym sięgnął ręką do

kieszeni.

Przeszło mi przez myśl, że zamierza rzucić monetą. Jeśli wypadnie reszka, to zostanie, jeśli orzeł, to pójdzie, ale on wyjął telefon komórkowy.

– Elżbieto, jestem – powiedział do aparatu. – Oczekuję cię.

Betka zapewne coś powiedziała, bo mężczyzna odpowiedział: „Dobrze, tak może być” i się rozłączył. Potem popatrzył na mnie badawczo. Przestraszyłam się, że oczekuje ode mnie jasnowidzenia albo umiejętności czytania w myślach i teraz powinnam zrobić coś, co właśnie uzgodnili.

– Może herbaty? – zapytałam pośpiesznie, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Gość odwrócił się do mnie tyłem, następnie zdjął płaszcz, powiesił go na wieszaku i w milczeniu zbliżył się do okna. Ja tymczasem zastanawiałam się, co takiego niestosownego było w moim pytaniu. Za bardzo się spoufaliłam czy co?

– Właśnie parzę dla siebie, mogę i dla pana – dodałam zachęcająco.

Wzięłam do ręki czajnik i przechyliłam nad kubeczkiem. Wtedy uświadomiłam sobie, że zalewam ostatnią torebkę i więcej herbaty nie mam. Nie spodziewałam się gościa i zamiar uzupełnienia zapasów chciałam zrealizować później. Może jednak nie będzie chciał pić herbaty? Może odmówi...

– Poproszę – powiedział złośliwie, jakby czytał w moich myślach. – Chętnie się napiję.

Zastygłam. Powinnam wyjąć torebkę z kubka i zalać ponownie w drugim? Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby dowodził protokołem dyplomatycznym albo co najmniej był majordomusem królowej brytyjskiej, a ja dysponowałam tylko jedną torebką herbaty i w dodatku zaznaczyłam, że chcę się jej napić.

– Lubi pan mocną? Mogę wyjąć torebkę, zanim zaparzy się za mocno?

– Tak, dziękuję, odpowiada mi mocniejsza.

Zawstydzona, że nie dysponujemy porcelaną Royal Dulton, gotowa zbesztać za to niedopatrzenie Betkę przy najbliższej okazji, postawiłam przed gościem kubek z herbatą i cukiernicę w postaci elegancko odwiniętej papierowej torby.

– Bardzo pana przepraszam – powiedziałam z grymasem imitującym uśmiech. – Takie tu mamy jeszcze polowe warunki, bo od niedawna zajmujemy lokal i nie zdążyłyśmy się jeszcze urządzić.

Mężczyzna popatrzył na mnie zdziwiony.

– Myślałem, że Elżbieta pracuje tu od roku – powiedział i sięgnął po torebkę cukru.

Nie podałam łyżeczki, za którą zaczął się rozglądać.

– No właśnie, zaledwie od roku – bąknęłam bez sensu, bo przypomniałam sobie, że jedyna dostępna łyżeczka leży na stole.

Używana, bo rano jadłam nią jogurt. Łyżeczki do herbaty znikają niczym kamfora, szybciej niż długopisy. Doszło do tego, że każda z nas nosiła w torebce własną łyżeczkę, używaną później przez cały dzień. Nasi klienci rzadko korzystali z poczęstunku, a jeśli nawet, to zwykle prosili o wodę. Zrezygnowałyśmy więc z zasilania biura w łyżeczki. Teraz wytworny gość trwał w niezręcznym oczekiwaniu, niepewny, czy ma zamieszać w kubku palcem, czy zrezygnować ze słodzenia. Wybrał to drugie. Odstawił torebkę, a ja udałam, że nie rozumiem sytuacji.

– Betka, to jest chciałam powiedzieć, Elżbieta, zaraz przyjedzie? – zapytałam grzecznie.

Usiadłam obok gościa i jak nigdy nie wiedziałam, co zrobić czy powiedzieć.

– Tak, pojawi się w ciągu godziny – odparł gość i przełknął kilka łyków gorzkiej herbaty.

– Pani nie pije?

– Tak, oczywiście, zapomniałam – zdawałam sobie sprawę, że robię z siebie idiotkę,

i żywiłam cichą nadzieję, że nie wpłynie to na jego stosunek do mojej przyjaciółki.

Domyślałam się bowiem, że to Maciej, nowy obiekt uczuć Betki, pomimo że mężczyzna się nie przedstawił. Wstałam, podeszłam do kuchenki, nalałam sobie do szklanki samego wrzątku i usiadłam przy stole. Gotowa byłam zapewnić, że piję bardzo słabą herbatę, tak cieniutką, że nawet woda się nie zabarwiła.

– Wykonują panie bardzo odpowiedzialną pracę – powiedział. – Niełatwo jest godzić ludzi.

– To prawda – potwierdziłam. – Czasem nawet bardzo trudno, zwłaszcza gdy nie chcą się pogodzić. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Marta Kołodziej.

– Maciej Kostrzycki. A często tak bywa? – Uśmiechnął się.

– Zdarza się – odpowiedziałam uśmiechem. – Przychodzą do mediatora w nadziei, że rozwiąże za nich wszystkie problemy. Całkiem nierzadko ludziom wydaje się, że mediatorzy to wróżki, które potrafią zaklinać rzeczywistość albo czynić cuda. Względnie zaczarują tę drugą osobę, żeby ustąpiła.

– A mediatorom nie wolno czarować? – droczył się pan Maciej. – Znacie się przecież na manipulacji!

– No cóż – westchnęłam. – Wolno, tylko czy warto? Można postarać się i zmanipulować osobę, namawiając ją, żeby ustąpiła, bo obiektywnie rzecz biorąc, tak jest dla niej lepiej. Tylko że później ten ktoś wcale tak nie myśli. Nie wierzy, że mediator chciał pomóc, ale przyjmuje, że działał na zlecenie przeciwników.

– No dobrze, ale praca mediatorów nie może sprowadzać się do notowania stanowisk stron! Przecież wówczas nie różnilibyście się od zwykłego skryby. Jaki miałyby to sens? Nigdy nie korciło pani, żeby lepiej wykorzystać swoje umiejętności?

– Nie. Rozwiązania narzucane odgórnie traktuje się jak przykry obowiązek, a własne zobowiązanie jak wyzwanie. Nie lubię niczego narzucać innym.

– Przecież nie ma nic złego w tym, że ludzie chcą skorzystać z okazji. Słabszy przegrywa, silniejszy wygrywa. Odwieczne prawo natury, które ma swój sens. Nie chodzi mi o stosowanie przemocy, ale zwykłego sprytu.

– Cel uświęca środki, a okazja czyni złodzieja, tak? – Spojrzałam na niego wyzywająco.

Kostrzycki wytrzymał moje spojrzenie i odparł:

– Ja stosuję raczej zasadę, żeby nie przegapić okazji. Każdy ma swój rozum. Skoro nie wykorzystuje go, by zadbać o własny interes, to jego sprawa. W pani jest ogromny potencjał, pani Marto – dodał po chwili. – Szkoda, że go pani nie dostrzega.

– Jakaś odpowiedź? – roześmiałam się.

– Nie będę pani nic ułatwiał – spoważniał Maciej. – Każdy jest kowalem własnego losu. Nie uważa pani, że to zabawny paradoks: ludzie oddają swój los w ręce sądów, a potem latami odwołują się od wyroków, które okazały się dla nich niekorzystne, zamiast postąpić konsekwentnie i podporządkować się orzeczeniu?

– Taka jest natura człowieka: zdjąć z siebie odpowiedzialność za podjętą decyzję, bo zawsze można wyrazić swoje niezadowolenie. W końcu to ktoś inny, nie ja, popełnił błąd. W przypadku dobrowolnej i świadomie zawartej ugody nie można tak postąpić.

– Ale tacy klienci też się trafiają?

– Owszem, i jest ich całkiem sporo. Często wystarczy uświadomić ludziom, gdzie popełniają błąd, by starali się więcej tego nie robić.

– A jak pani to robi?

– Opowiadam przypowieści.

Maciej przyjrzał mi się uważnie.

– Jakie na przykład?

– Takie, które pozwolą ludziom wyciągnąć właściwe wnioski – westchnęłam. – Gdy powie im się wprost, że źle postępują, obruszą się, obrażą, może nawet zerwą mediację. Nikt nie lubi, gdy mu się wytyka potknięcia. Ale jeśli usłyszy opowieść o kimś, kto znalazł się w podobnej sytuacji, to może w zakamarkach duszy odnieść się do siebie to, co przytrafiło się bohaterowi historii. I podczas kolejnego spotkania proponuje się nowe rozwiązanie, które wymyśliło się samemu.

Maciej pokiwał głową na znak aprobaty i wypijając łyk herbaty, zaproponował:

– Opowie mi pani jedną z tych przypowieści?

– Pan nie przyszedł do mnie z problemem. – Uśmiechnęłam się. – Jaką historię mam panu opowiedzieć?

– Może coś o braku zdecydowania? – nie ustępował gość. – Ciągłej niepewności, czy ostatnia decyzja jest tą najwłaściwszą? A może warto jeszcze poczekać, poszukać? Skąd wiadomo, że za zakrętem nie czeka lepsza przyszłość?

– Tak. Znam taką historię. – Pokiwałam głową. – Dość często ją opowiadam. To opowieść o drzewie.

Maciej odstawił kubek, położył zaplecione ręce na stole i przyjął pozycję wyczekującą. Usiadłam jak rasowy mediator i zaczęłam opowiadać:

– Było sobie drzewo. Rosło na polu. Było całkiem duże, od wielu lat stało sobie i rosło. Co roku zasypiało na zimę, a wiosną rozprostowywało gałęzie i rozpoczynało wysiłek związany z zawiązaniem pąków, wydaniem na świat listków, potem kwiatów i owoców. Drzewo było szczęśliwe, że może rozpościerać się nad polem i dawać cień i owoce jeżom, które mieszkają blisko korzeni. W koronie drzewo gościło ptaki i wiewiórki, dzięki którym codziennie wiedziało, co dzieje się na świecie. Drzewo było szczęśliwe.

Pewnego dnia na polu pojawił się człowiek. Popatrzył na drzewo i spodobało mu się, że jest takie duże i rozłożyste i że daje taki wspaniały, chłodny cień oraz smaczne owoce. Człowiek usiadł pod drzewem, a ono przytuliło go do siebie i zapoznało z ptakami, wiewiórkami i jeżami oraz nakarmiło owocami.

„Wspaniałe miejsce! – rozmarzył się człowiek. – Wybuduję tu dom. Przy tym drzewie”.

Człowiek wybudował więc dom, który stanął bardzo blisko drzewa. I drzewo było szczęśliwe. Po pewnym czasie człowiek postanowił dobudować werandę, która stanęła obok drzewa. Drzewo przytuliło werandę do siebie, zasłoniło ją przed deszczem i wiatrem, ocieniło. Wtedy po raz pierwszy człowiek okazał niezadowolenie. Nie podobało mu się, że drzewo tak mocno przyjaźni się z werandą. Dobudował więc poddasze i na dachu werandy urządził balkon.

Drzewo ocieniło balkon, zasłoniło go przed deszczem i wiatrem, ale człowiek był jeszcze bardziej niezadowolony. Narzekał, że drzewo kradnie mu światło słoneczne, zabiera za dużo miejsca, przygarnia zbyt wiele ptaków i wiewiórek do siebie, śmieci opadłymi płatkami kwiatów i liśćmi, szumi złowieszczą podczas burzy, że daje robaczywe owoce.

Drzewo zmartwiło się, ale pozostało na swoim miejscu. Usiłowało przyciągnąć do siebie gałęzie oraz wydało mniej liści i kwiatów, by nie przeszkadzać człowiekowi, ale ten wciąż narzekał. Gdy nadeszła zima, drzewo pomyślało:

„Poczekam do wiosny. Gdy się obudzę, to urosnę i wtedy moje gałęzie będą już tak wysoko, że nie będą nikomu przeszkadzać ani niczego zasłaniać”.

I drzewo poszło spać. Ale nigdy się już nie obudziło. Zimą człowiek ściął drzewo. Gdy to uczynił, postawił nogę na pniu i powiedział:

„No, nareszcie spokój z tym drzewem!”.

Gdy przyszła wiosna, ptaki nie przyleciały, wiewiórki nie zachrobotyły, jeże nie

zatuptały. Nikt już nie zasłaniał słońca i nie śmiecił płatkami kwiatów ani liśćmi. Człowiek był szczęśliwy. Usiadł na balkonie i marzył. Gdy przyszło lato, Matka Natura zalała wrzątkiem esencję ziemi. Człowiek zszedł z balkonu i schował się do domu. Ale w domu też było duszno i gorąco. Człowiek był niezadowolony. Sprzedał więc dom i wyjechał w poszukiwaniu lepszego miejsca do zamieszkania. Najchętniej w pobliżu dużego drzewa.

Gdy skończyłam, zapadła cisza. Maciej zamyślił się i taki zamyślony przesiedział aż do nadejścia Betki. Ja również nie czułam potrzeby, by mówić coś więcej. Kostrzycki wzbudzał we mnie nieufność. Nie czułam się dobrze w jego towarzystwie, choć nie umiałabym powiedzieć, co dokładnie mnie dystansowało. Odnosiłam mgliste wrażenie, że ze mnie kpi, że punktuje moją naiwność.

Tego dnia ścisnął mróz, jak to czasem bywa w lutym. Betka wkroczyła do pokoju mocno zaróżowiona, opatulona niebieskim szalem i ciepłą, wełnianą czapą. Wyglądała zabawnie, nawet uroczo ze szronem pod nosem. Maciej uśmiechnął się do niej uprzejmie, a ja szybko poderwałam się, żeby zrobić jej herbatę.

– Chodź, siadaj, odtajesz trochę – powiedziałam, kręcąc się koło czajnika i nagle wpadłam na pomysł. – Kochani, pobiegnę i kupię kawałek ciasta. – Nie dodałam, że przy okazji herbatę.

Oboje uśmiechnęli się, Betka nerwowo, a Maciej dyplomatycznie, a ja szybko wyszłam.

Na ulicy odebrałam telefon od Zbyszka.

– Cześć, o co chodzi z dziewczynkami? – zaczął od razu. – Wybacz, ale dopiero teraz odczytałem wiadomość. Co się dzieje?

Wyjaśniłam mu sprawę w dużym skrócie, bardziej skupiając się na informacji uzyskanej na policji i od prawnika. Zbyszek wysłuchał mnie cierpliwie, a potem powiedział:

– Faktycznie, głupia sytuacja. Jeśli będziesz robić raban, uznają, że jesteś histeryczką. Z drugiej strony może tak być, że facet porwał dziewczynki, a twoja matka mu w tym pomogła. Cholera, diabli wiedzą, co robić!

Przyznałam przyjacielowi rację. Pomimo ogromnego niepokoju tkwiłam w impasie, zmuszona czekać na to, co się wydarzy. Zbyszek wyraził się jeszcze dość niegrzecznie na temat mojej rodziny, po czym zmienił temat.

– Słuchaj, znasz tego gościa, z którym spotyka się Betka?

Zawahałam się. Co mogłam o nim powiedzieć? Że nie zrobił na mnie dobrego wrażenia?

– Poznałam go dziś, ale wydał mi się dziwny – wyznałam ostrożnie. – Nie umiem powiedzieć o nim nic konkretnego. Grzeczny, uprzejmy, poprawny, a jednak cały czas trzymałam się przed nim na baczności. Nie wzbudził mojego zaufania.

– Betka go do mnie przyprowadziła, cholera wie po co – wtrącił Zbyszek. – Nie spodziewałem się gości i głupio wyszło, bo siedzieliśmy przy pustym stole. Masz rację, dziwny i sztywny, jakby kij połknął. Betka wpatrzona w niego jak w obraz, ale ten gość mi się nie podoba!

– No cóż – westchnęłam, pchając drzwi sklepu – to facet Betki, nie mój i nie twój.

Może gdy są sam na sam, inaczej się zachowuje.

Pożegnałam się ze Zbyszkiem, włożyłam telefon do kieszeni i ruszyłam w głąb sklepu.

Nie zwróciłam uwagi, że ludzie, których mijam, dziwnie mi się przyglądają. W taki mróz nie powinno się chodzić z gołą głową, jednak nie tylko ja nie miałam czapki.

Minęłam kilka takich osób, nawet jednego łysego faceta, a mimo to oglądano się tylko za mną. Z całą pewnością nie było na mojej twarzy wąsów, nie buchał mi ogień z pyska i nie powiewały baloniki przyczepione do fryzury. Co takiego mogło przykuwać ich uwagę? Nie moja uroda przecież!

– Czyżby teraz przyszła pora na internę? – huknął mi ktoś nad uchem, gdy stałam w ogonku do kasy.

Odwrociłam się. Za mną stał lekarz, który opiekował się mną w szpitalu.

– Nie rozumiem, dlaczego na internę? – Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli chodzi pani w kapciach na mrozie, to zapalenie płuc gwarantowane! – Lekarz pokiwał głową, a przy okazji stracił kilka batoników z półki. – Ale muszę przyznać, że pasują do płaszcza.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o czym mówi. Spojrzałam na siebie i zobaczyłam na nogach czerwone kapcie zamiast kozaków. Pięknie korespondowały z moim czerwonym płaszczem.

– Skleroza. Skleroza i starcza demencja – parsknęłam. – Ciekawe, o czym jeszcze zapomniałam?

– O pieniądzach – wtrąciła się kasjerka. – Czekam.

– Już, już. – Szybko sięgnęłam do kieszeni i uświadomiłam sobie, że nie wzięłam portfela.

Sytuacja wydała mi się zabawna, choć kasjerce nie było do śmiechu.

– Pani sobie żarty robi? – zwróciła się do mnie wrogo. – Ja nie mam czasu na wygłupy! Siedzę tu od czterech godzin!

– Pożyczę pani – zaofiarował się lekarz. – Odda mi pani przy najbliższej wizycie.

– W sklepie?

– Nie, w szpitalu. Powinna pani pokazać mi swoje żebra.

Przyjęłam pożyczkę, udobruchałam kasjerkę i umówiłam się z lekarzem na środę. Problemy jakby na chwilę przygasty, a ja pogałam z zakupami, oczywiście zwracając na siebie uwagę kolejnych przechodniów.

W biurze zastałam tylko przyjaciółkę.

– Maciej już sobie poszedł? – zdziwiłam się.

Koleżanka popatrzyła na mnie rozpromienionym wzrokiem.

– Musiał – wyjaśniła. – Interesy. Ale niedługo się zobaczymy. Zaprosił mnie na kolację.

– Bacia, co ty o nim właściwie wiesz? – dopytywałam się. – Tak konkretnie.

– Jest wspaniały, odpowiedzialny, bardzo pracowity – wyrecytowała Betka. – Prowadzi kilka firm, ma rozliczne kontakty. To człowiek na poziomie, poznałaś go przecież.

– Tak, jest całkiem do rzeczy – przyznałam. – Można z nim sensownie porozmawiać.

– Owszem, jest taki przesadnie poprawny – kontynuowała Betka. – Nawet na chwilę nie może się rozkrochmalić – wyznała Betka. – Myślisz, że pasujemy do siebie? – zamyśliła się. – On jest taki idealny. W domu wszystko ma poukładane, nawet skarpetki prasuje w kancik.

– Już byłaś u niego w domu? – zdziwiłam się, ponieważ wiedziałam, że przyjaciółka traktuje bliskie relacje z mężczyznami bardzo poważnie.

Odwiedzenie kogoś w domu było równoznaczne z przejściem od zwykłej znajomości do bardziej zaawansowanej. Taki krok zwykle poprzedzała rozmowa, w której Betka dzieliła się ze mną swoimi planami. Tym razem dowiadywałam się o wszystkim *post factum*.

– A tak jakoś wyszło – zmieszała się przyjaciółka, choć w moim głosie nie było ani cienia pretensji, raczej zdziwienie. – Maciej często wyjeżdża, stale jest zajęty. Sprawy potoczyły się szybciej niż zwykle.

– Co o nim wiesz? – powtórzyłam.

Przyjaciółka lekko się zaczerwieniła, odchrząknęła i dopiero po chwili odpowiedziała na moje pytanie:

– Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, czym się zajmuje. Powiedział, że nie jest żonaty, rozwiódł się kilka lat temu, nie ma dzieci. Uwielbia mazurskie jeziora, nawet zapraszał mnie na weekend do domku w lesie. Podobno jeden z jego dobrych przyjaciół dysponuje całkiem ładną chałupką.

– Bacia – przerwałam. – Jak długo się znacie? Nie poznaję cię, zawsze byłaś taka ostrożna, a teraz... Odniosłam wrażenie, że jest taki... przezroczysty, nic konkretnego nie mogłabym o nim powiedzieć. Z jednej strony dobrze, a z drugiej... Człowiek bez wad?

– On jest skryty – przyznała Betka z ociąganiem. – Trzeba dać mu więcej czasu. Jesteś przewrażliwiona i dlatego wszyscy wydają ci się podejrzani. No właśnie, co z dziećmi, wiesz coś więcej?

– Nic się nie zmieniło – spochmurniałam. – Czekam i martwię się.

– Nie martw się na zapas – powiedziała z naciskiem Betka. – Cezary to drań, ale dzieci kocha i na pewno ich nie skrzywdzi!

– Ale mnie nie będzie oszczędzał – stwierdziłam. – Boję się, że coś wymyślił i moja matka mu w tym pomogła. Wiesz, zapowiedziała już, że odbierze mi dziewczynki, bo nie nadaję się na matkę, jej zdaniem.

– To jakaś piramidalna bzdura! – obruszyła się przyjaciółka. – Dlaczego ta kobieta tak ci dokucza? Charakter charakterem, ale moim zdaniem za tym kryje się coś więcej! To nie jest normalne, żeby matka tak zwalczała własne dziecko!

– Odkąd pamiętam, czuła do mnie niechęć, trzymała mnie na dystans – powiedziałam. – Tylko Cezarego kocha, uwielbia wręcz. Nawet do mojego ojca nie odnosi się z taką czułością jak do byłego zięcia. Gdy dowiedziała się, że wniosłam sprawę o rozwód, nie odzywała się do mnie przez tydzień!

– Pamiętam – przyznała Betka. – W sądzie zeznawała przeciwko tobie, ale na nic to się nie zdało. Sąd przyznał opiekę nad dziećmi tobie, więc nie rozumiem, po co znów wraca do tego samego. Może boi się, że wyjedziesz i straci kontakt z wnuczkami?

– A dokąd niby miałabym się udać? – Wzruszyłam ramionami. – Nie mamy żadnej rodziny. Albo wymarli, albo się poobrażali, na jedno wychodzi. Zresztą nie mam zamiaru nigdzie jechać. Ona wolałaby, żeby to Cezary był jej dzieckiem. Może pragnęła chłopca, a urodziła się dziewczynka, i z tym nie może się pogodzić? Nie wiem, mogę się tylko domyślać. Ona ze mną przecież nie rozmawia na takie tematy. Tylko do mnie mówi, nigdy nie słucha!

– No tak. – Pokiwała głową przyjaciółka. – Przykre. Ale o dzieci się nie martw, na pewno wrócą całe, zdrowe i zadowolone z wycieczki. Być może matka i ten cały Cezary celowo wzbudzają w tobie niepokój, żeby ci dokuczyć. I tylko o to chodzi.

– Nie wiem – westchnęłam. – Betka, proszę cię, uważaj z tym Maciejem. Może to dusza człowiek, a może jakiś łobuz. Cezary też na początku wydawał się idealny.

– Ja nie jestem tobą! – wytknęła mi przyjaciółka. – Znam się na ludziach. Maciej to nie Cezary!

Naszą rozmowę zakończył telefon od pani Stefanii. Kobieta powiadomiła mnie, że zięć ostatnio codziennie wieczorem wyjeżdża z domu. Z żoną zostaje pielęgniarz, na którym starsza pani nie pozostawiła suchej nitki. Twierdziła, że w przeszłości miał zatargi z prawem, nadużywał alkoholu i jest bardzo porywczy.

Nie siedziałam dłużej w biurze. Atmosfera nieco zgęstniała. Ponadto pojawili się klienci Betki, uznałam więc, że mogę iść do domu.

Po drodze rozmyślałam nad tym, co powiedział mi Kostrzycki. Potencjał, którego nie wykorzystuję? W mediacji nie ma miejsca na zmuszanie ludzi do czegokolwiek, wykorzystywanie ich łatwowierności. Przeciwnie, wszystko powinno być transparentne,

wyraźne, oczywiste. Co ten człowiek miał na myśli? Widzieliśmy się pierwszy raz w życiu, a sprawiał wrażenie, jakby doskonale orientował się, kim jestem. Może przez to czułam się tak niepewnie w jego towarzystwie.

*

Następnego dnia państwo Pallantino stawili się prawie punktualnie.

– Proszę pani – rozpoczął Włoch. – Moja żona musi mi zapłacić pieniądze i nie wyprowadzić się. Oficjalnie. To ja się zgodzę na rozwód. Jak nie, to ja żądam, żeby udostępniła nagranie z soboty.

– Wolne żarty! – zaprotestowała pani Pallantino. – Na głowę upadł, osioł!

– Chwileczkę – przerwałam, bo mężczyzna mnie zaskoczył. – Pani ma się nie wyprowadzać? A za co te pieniądze? Bo nie rozumiem.

Zanim uzyskałam odpowiedź, państwo zaczęli się kłócić. Pan wymachiwał telefonem przed nosem pani, a pani groziła mu agresywnym adwokatem. Oboje mówili równocześnie. Łagodne próby perswazji nie przynosiły rezultatu. W końcu straciłam cierpliwość i uderzyłam dłonią w stół.

– Dosyć tego!!! – wrzasnęłam na całe gardło. – Uspokójcie się wreszcie! Co was opętało?! Dorośli ludzie, a zachowują się, jakby wyszli z piaskownicy! Siadać i mówić po kolei i do rzeczy, a jak nie, to wynocha!

Odwróciłam się do nich plecami i zobaczyłam, że w drzwiach stoi jakiś mężczyzna. Zapanowała niezręczna cisza, którą po kilkudziesięciu sekundach przerwał Włoch.

– Ja powiem, co ja chcę, ale na osobności. Indywidualnie.

– Dobrze – podchwyciłam. – Zrobimy tak: przyjdą państwo do mnie oddzielnie, umówimy się zaraz i porozmawiamy spokojnie i na temat. Potem zorganizujemy kolejne wspólne spotkanie i może wówczas uda nam się normalnie porozmawiać.

Oboje przytaknęli i bardzo szybko wyszli. Przybysz wciąż stał w drzwiach. Gestem wskazałam mu wolne krzesło. Usiadł. Ponieważ cały czas milczał, zaczęłam:

– W czym mogę pomóc?

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, przysunął sobie pod nos kilka dokumentów, które pobieżnie przejrzał, wreszcie sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów.

– Proszę tu nie palić! – zareagowałam natychmiast, mimo to już po chwili kilka razy mocno się zaciągnął. Wypuszczając z ust kłęby dymu, przyglądał mi się.

– Pani mediatorka, tak? Ostro tu u pani, nie ma co – powiedział. – Charakterna z pani kobitka.

– Pan przyszedł w konkretnej sprawie czy tak sobie? – starałam się, żeby mój głos brzmiał ostro i stanowczo.

Mężczyzna był wysoki, mocno zbudowany i bardzo pewny siebie. Uświadomiłam sobie, że jestem sama w mieszkaniu, Betka wyszła, gdy przyszli Włosi, i być może pokaże się, ale nie wcześniej niż za godzinę, bo wie, że mediuję. W sąsiednich pokojach też już nikt nie pracował. Tymczasem palacz rozparł się na krześle i spokojnie palił papierosa, strącając popiół bezpośrednio na stół.

– W konkretnej – padła drwiąca odpowiedź. – Mojej. Krywicz jestem. Nie wiem, po co zawraca mi pani głowę, ale przyszedłem, żeby teściowa nie mogła oczernić mnie przed sądem. Pani spisze jakiś protokół czy jak?

Mężczyzna robił bardzo nieprzyjemne wrażenie. Wprawdzie mediator nie powinien nikogo oceniać, tym bardziej na podstawie wyglądu, jednak aparycja pana Bogdana Krywicza

oraz sposób jego zachowania i mówienia nie wzbudzały sympatii. Czułam, że w jego sprawie mogę zacząć działać wbrew zasadom, uprzedzając się do człowieka, którego widziałam pierwszy raz w życiu. Z drugiej jednak strony intuicja podpowiadała mi, że w żaden sposób go tym nie krzywdzę. Przeciwnie, powinnam mieć się na baczności.

– Owszem, protokół będzie po zakończonej mediacji – odparłam. – Pan zgadza się na mediację?

Krywicz zakaszał, wypuszczając nikotynowy dym.

– Mediować? Z teściową? Przecież to jaszczurka! Czego ta baba ode mnie chce? Wtrącała się cały czas do naszego małżeństwa, a teraz, gdy żona jest chora, to robi ze mnie pijaka i oprawcę!

– Dlaczego nie pozwala pan jej zobaczyć się z córką? – postanowiłam kuć żelazo, póki gorące.

– Bo ją denerwuje – odpowiedział natychmiast Krywicz. – Przychodzi i sący jad do jej ucha. A moja żona jest przewrażliwiona, nie wychodzi do ludzi i inaczej na wszystko reaguje! Dlaczego ta jędza nie zostawi nas w spokoju?!

– Proszę się nie unosić – powstrzymałam go. – Sprawę zlecił sąd w nadziei, że uda się nam wszystko uzgodnić. Nie ma potrzeby denerwować się, porozmawiajmy. Ja przecież nie znam całej sytuacji.

– Ta krowa na pewno pani nagadała na mnie – nie ustępował pan Bogdan. – Że jestem pijak i dziwkarz i biję żonę. Ona mnie nienawidzi, nawet syna chce nastawić przeciwko mnie!

– Wystąpiła o prawo widywania się z wnukiem, ale zależy jej na spotykaniu się z córką. Martwi się o nią, pana to dziwi? Przecież to matka.

– Ona chce nas kontrolować, tylko na tym jej zależy. – Krywicz zapalił kolejnego papierosa. – Ja nie mam czasu na jej gierki, niech pani jej to powie. Ja mam co robić i niech ona się wreszcie odczepi!

– Zgodzi się pan na wspólne spotkanie?

Krywicz zaciągnął się i popatrzył w okno. Coś przetrawiał w myślach i analizował. Po chwili odwrócił głowę w moją stronę i powiedział:

– Tak, ale tylko na jedno.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, mężczyzna wyszedł równie szybko, jak przyszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, otworzył je ktoś następny.

– Bo ja sobie chciałem przedłużyć, proszę pani – oznajmił niewysoki facecik w czapce.

– Proszę uprzejmie, jeśli to pana uszczęśliwi – zgodziłam się natychmiast.

Po rozmowie z państwem Pallantino i Krywiczem powoli schodziło ze mnie napięcie. Facecik stał w drzwiach, jakby oczekiwał inicjatywy z mojej strony. Ale ja tylko patrzyłam pytająco. Po chwili milczenia powiedział wreszcie:

– To pani mi przedłużyć? Bo nie wiem, czy czekać.

Oślupiałam. Co i jak mam mu przedłużyć? Siłą woli?!

– Ja panu nic nie przedłużę! – oświadczyłam stanowczo. – Pan chyba pomylił biura!

– Przecież pytałem! – zdenerwował się mężczyzna. – Pytałem, czy mogę przedłużyć, a pani powiedziała, że tak!

– Przecież nie mogę panu zabronić! – zirytowałam się. – Niech pan sobie wydłuża, przedłuża, skraca i robi, co tylko zechce, ale nie ze mną!

– Dom wariatów! – obraził się facet. – Najpierw mówi, że zrobi, potem nie zrobi. Co za ludzie, jak rany!

Zamknął drzwi. Nie zdążyłam nawet opuścić wzroku na papiery, kiedy znów ktoś wszedł. Tym razem to żona Włocha.

– Ja zapomniałam pani powiedzieć, że mąż jest nieobliczalny – zaczęła od progu. – To łobuz i łajdak. I łazęga. Niech pani mu nie wierzy.

– Proszę pani, ja nie mam powodu nie wierzyć ani wierzyć nikomu ponad miarę. To nie moja sprawa. Jeśli mnie okłamacie, ugoda będzie nietrwała. Ja nie wydaję żadnych sądów ani opinii.

Powiedziałam to jednym tchem. Kobieta najwyraźniej nie tego oczekiwała, bo machnęła ręką i wyszła. Trwałam w oczekiwaniu, kto pojawi się następny. Tego dnia najwyraźniej odbywał się w biurze przegląd osobliwości.

Następny był Zbyszek. Łupnął gipsem w drzwi, których skrzydło odbiło się od szafy i przyłożyło mu w zdrowy łokieć. Zbyszek zaklął więc na powitanie i pokuśtykał do środka. Wstałam i podsunęłam mu krzesło. On jednak pokręcił przecząco głową.

– Nie będę się rozsiadał, bo potem nie mogę wstać – oświadczył. – Przyszedłem tylko na chwilę, bo na dole czeka w wozie Marianna. Słuchaj, myślałem o tym, co mi powiedziałaś. Może wynajęcie detektywa to niegłupi pomysł. Popytam ludzi, ale pewnie będą potrzebne jakieś zdjęcia.

– Oczywiście, poszukam. – Uśmiechnęłam się do niego. – Zamierzałam poczekać do końca tygodnia i wtedy zacząć działać, ale może nie zawadzi zrobić coś wcześniej.

– Betka dzwoniła do mnie wieczorem – mruknął Zbyszek. – Chyba z randki, ale nie mogłem się zorientować. W ogóle była jakaś dziwna. Ten cały Maciej przewrócił jej w głowie!

– Zbyszku, czy ty jesteś zazdrosny? – Zmarszczyłam brwi. – Sądziłam, że spotykasz się z Marianną?

– Jakie tam zazdrosny?! – zdenerwował się kominiarz i zaczął się zbierać. Gips bardzo utrudniał mu poruszanie się. – Potem wszystkie przybiegacie po pomoc! Ale jak ostrzegam, że coś mi się nie podoba, to od razu, że jestem zazdrosny! Zawracanie głowy z wami!

Poburczał jeszcze trochę i pokuśtykał do drzwi. Ledwo zdążył się do nich zbliżyć, ktoś zapukał. Do pokoju wkroczył kolejny człowiek. Popatrzył na Zbyszka, potem na mnie, wyraźnie się wahał.

– Ja w sprawie przedłużenia – wymamrotał. – Jeśli można, to od ręki.

Zbyszek wykonał półobrót z wyprostowaną nogą i zmierzył przybyłego wzrokiem. Potem popatrzył na mnie i znów na mężczyznę.

– A co pan chce sobie przedłużać, jeśli można zapytać? – zwrócił się do niego bardzo dziwnym tonem, prawie szeptem.

Facet chyba się przestraszył, bo szybko uciekł. Może pomyślał, że po przedłużeniu tak się chwilowo wygląda.

– Dorabiacie sobie na boku? – spytał mnie Zbyszek.

– Nie wiem, o co chodzi, tak jest dziś cały dzień. – Wzruszyłam ramionami. – Przychodzą tu jacyś ludzie i żądają przedłużenia. Nie wiem czego. Istny dom wariatów.

– Aha. – Zbyszek pokiwał głową. – To daj znać, jak się dowiesz. Gips zdejmują mi za trzy tygodnie, to też przyjdę wtedy na przedłużanie. Przyda się. Wiesz, Marianna. Aha, wpadnij jutro wieczorem do mnie, Beca też się zapowiedziała, pogadamy spokojnie. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo i po chwili go nie było.

Zapanowała cisza. Nie na długo, bo przerwał ją dzwonek telefonu.

– Zapomniała pani o dzisiejszej wizycie? – usłyszałam w telefonie głos znajomego lekarza.

Byłam w szpitalu w zeszłym tygodniu. Badanie wypadło pomyślnie, ale lekarz zlecił jeszcze prześwietlenie żeber. Nie czekałam na wynik, ale umówiliśmy się na dzisiejsze popołudnie. Przez to całe zamieszanie kompletnie wypadło mi to z głowy.

– Ależ skąd! – skłamałam. – Mam niewielkie opóźnienie, ale już jadę!

*

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, gdy przyglądałam się Zbyszkowi, który nieporadnie krzątał się po swoim gospodarstwie. Siedziałyśmy z Betką na kanapie, piłyśmy herbatę i czujnie obserwowaliśmy przyjaciela. Biedak miał ogromne trudności z operowaniem wyłącznie lewą ręką, jednakże uparł się, że będzie czynił honory pana domu, a my mamy siedzieć i się relaksować. Siedziałyśmy więc, ale gorzej było z relaksem, ponieważ co chwila robiłyśmy unik przed gipsowym ramieniem Zbyszka. Gdy stawiał talerz z ciasteczkami na stole, prawą ręką strącił wazonik, a gdy zmierzał do kuchni, zahaczył nogą o taboret, który przewrócił się z hukiem. Pomyślałam wtedy, że mam szczęście do nieporadnych mężczyzn.

– Przypominasz mi lekarza ze szpitala – powiedziałam wesoło. – On też ma pięć nóg i rąk i nad żadną nie potrafi zapanować. Dziś trzykrotnie strącił narzędzia ze stołu, a później wylał na siebie kawę. Na szczęście zimną.

– A jak twoje wyniki? Wszystko dobrze? – zainteresowała się Betka.

– Tak, fizycznie już w porządku. Tylko jeszcze lęki mi pozostały.

– Jakie lęki? – chciał wiedzieć Zbyszek.

Lokował się właśnie na kanapie, tuż obok mnie, i przewrócił ramieniem kwiatek w doniczkę.

– Przed utratą życia – odpowiedziała zgryźliwie Betka. – Chyba posprzątam ci dom, Zbyszkule. Tak dokładnie. Zostawimy łóżko, szafę, stół i jedno krzesło. Reszta won. Inaczej zabijesz siebie albo kogoś, kto tu przyjdzie.

Zbyszek zamierzał coś jej odpowiedzieć i w tym celu wykonał skręt ciała w lewo, a wtedy jego prawe ramię znalazło się tuż przed moją twarzą.

– Ona to powiedziała, jej przyłóż, a nie mnie! – zareagowałam ze śmiechem, bo pozycja Zbyszka pozwalała przypuszczać, że zaatakował mnie gipsem. – Boję się przechodzić przez ulicę, mam uraz na widok zbliżających się samochodów.

– To zrozumiałe, wypadek zdarzył się całkiem niedawno, a w dodatku sprawca uniknął kary – orzekła Betka. – To jeszcze pozostałości po szoku, za jakiś czas pewnie miną.

Mam nadzieję, bo pokonuję teraz setki kilometrów dziennie, chodząc dookoła. – Pokiwałam głową. – A teraz jeszcze to porwanie. Ja mam głębokie przekonanie, że one nie wrócą!

– A ja mam głębokie przekonanie, że przesadzasz – skwitowała przyjaciółka.

Tego dnia nie rozmawiałyśmy wiele. Koleżanka umówiła aż trzy pary na mediację, a w przerwach między spotkaniami nie odrywała telefonu od ucha, czule szczebiocząc z Maciejem.

– To chyba normalne, że się martwi – zaatakował ją Zbyszek. – Dzieci wyjechały, matka straszy ją, że nie wrócą, z mężem miała na pieńku. Każdy by się martwił.

– Trzeba poczekać na rozwój wypadków – oświadczyła Betka. – Fakty się liczą, a nie domysły. Maciej uważa, że jeśli pozbedziemy się z życia zbędnych spekulacji, to przekonamy się, jak szybko można osiągnąć sukces.

– Maciej chyba pozjadał wszystkie rozumy. – Zbyszek się skrzywił. – Taki mądrała z niego?

– Wie więcej od ciebie! – odgryzła się Betka. – Prowadzi interesy na światowym poziomie, a nie, jak co poniektórzy, babrze się w cudzej sadzy! To wspomniały człowiek!

– Gratuluję, wreszcie trafiłaś na swój ideał – odparował Zbyszek. – Oby ci tylko oczu nie

wypaliło od patrzenia w ten blask doskonałości!

– Jesteś zafowany, zaśniedziały stary kawaler – podsumowała Zbyszka Betka. – Nie wiem, jak Marianna z tobą wytrzyma!

– Mariannę zostaw w spokoju! – wyskoczył Zbyszek i uderzył gipsem w ścianę. – To najporządniejsza dziewczyna na świecie! Nie to co ten cały Maciej!

– A czy ja mówię, że nieporządna! – odgryzła się Betka. – To ty jesteś bałaganiarz. I taki zmurszały pień, o który można się potknąć. Taki, co to złośliwie będzie leżał na ścieżce, żeby dokuczyć!

– Już dobrze, przestańcie – starałam się ugasić ich emocje. W końcu to z mojego powodu się pożarli. – Zbyszek jest przewrażliwiony, bo ogranicza go gips. Ja też nie mam najlepszego nastroju, wszystkim to się udzieliło.

– Jego beton ogranicza – mruknęła Betka. – W głowie.

– Sama jesteś beton – fuknął Zbyszek. – Betonowa płyta. Jeszcze się przejedziesz na tym całym Macieju!

Betka i Zbyszek kiedyś się spotykali. Stanowili niezwykłą parę, nie tylko dlatego, że ona przewyższała go wzrostem o głowę. Nieustannie się kłócili, przez co wiele osób nie wróżyło im wspólnej przyszłości. Tymczasem pewnego dnia zaczęli zgadzać się we wszystkim i to właśnie doprowadziło do rozstania. Gdy teraz zaczęli się kłócić, nie odnajdywali już dawnego ognia w wyrzucanych słowach, ale zwyczajnie sobie dokuczali. Tak jakby mimo wszystko pozostał w nich żal za coś wspianiałym, co nieuchronnie utracili, a za czym oboje bardzo tęsknili.

– Do pięt mu nie dorastasz – syknęła przyjaciółka. – Wczoraj zabrał mnie do eleganckiej restauracji, takiej z egzotycznym jedzeniem. Zamówił jakieś danie, nazwa po chińsku, ale brzmiała ładnie. I wyobraźcie sobie, przynieśli mi konstrukcję zbudowaną z czegoś, czego nie umiałam rozpoznać, ale wszystko pięknie ułożone na plasterku szynki, a pośrodku oko.

– Jak to, oko? Czyje? – zdziwiłam się. – Całe oko?!

– No przecież nie kawałek! – zirytowała się Betka. – Nie wiem czyje. Jakieś oko, pewnie zwierzęce. No, gałka oczna.

– I co? Zjadłaś ją?!

– No i tu pojawił się problem – Betka zawiesiła głos, a ja natychmiast wyobraziłam sobie samotne oko, które przyjaciółka podniosła na łyżce, a ono do niej porozumiewawczo mrugnęło.

– Domyślam się! – ponagliłam ją, bo wizja była cokolwiek makabryczna.

– Ale nie taki! – Betka nerwowo zamachała rękami. – Chodzi o to, że to oko było położone na tym chruście z czegoś. To wyglądało jak piramida zrobiona z wiórków usmażonych na oleju. Tak, jakby ktoś bardzo cienko poszatkował ziemniaki, potem wysuszył je na wiór i ułożył w stos. I pośrodku tego stosu leżało to przeklęte oko.

– No i w czym problem? – Nie rozumiałam. Oko nie mrugało, uspokoiłam się. – Ten stos się ruszał czy co?

– Głupia jesteś – podsumowała mnie Betka. – To było bardzo delikatne. Wyciągnęłam jeden włoszek i już sypała się reszta. Wysokie to było na dwadzieścia centymetrów. Bałam się, że jeśli wezmę oko, to całość się zawali i naśmiecę.

Wreszcie zrozumiałam, o co chodziło przyjaciółce. Dla niej większym przeżyciem byłoby okazać wobec Macieja brak staranności przy jedzeniu niż skosztować oko. Zbyszek aż trząsał się ze śmiechu, ale Betki to nie uraziło.

– No i co zrobiłaś? – nie mogłam doczekać się odpowiedzi.

– Powiedziałam, że mam uczulenie na białko. Oko to w końcu białko, nie? I wtedy okazało się, że ten chrust to smażone mleko.

– Co takiego?!

– Mleko. Smażone mleczne kożuchy. No wiesz, te zasychające na ugotowanym mleku glutu wrzuca się do oleju i wyciąga takie sianko. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że jest bardzo dobre. Spróbowałam. Ale Maciej nie pozwolił mi więcej tego tknąć, bo mleko to przecież białko!

– No i co zjadłaś?

– Bycze jądra.

– Co proszę?!

– Bycze jądra. Maciej uznał, że takie białko mi nie zaszkodzi.

– Naprawdę zezarłaś bycze jądra?! – Zbyszek przestał się śmiać i popatrzył na Betkę z niedowierzaniem.

Ona głębiej usiadła, wygładziła rękami spódnicę i przygryzając dolną wargę, popatrzyła na nas wyzywająco.

– No przecież nie wiedziałam na początku, co jem – powiedziała hardo. – Po tej historii z okiem zamówił coś innego, uzgodnił to nawet z kucharzem. Bałam się, że znajdą mi takie „odbiałkowane” oko, ale przynieśli kawałek mięsa, nawet smaczny, to zjadłam. Potem Maciej powiedział mi, co to było.

– Przecież mięso to też białko!

– Ale to jest podobno mniej szkodliwe!

Patrzyłam z niedowierzaniem na przyjaciółkę, do tej pory bardzo zasadniczą w wielu kwestiach. Teraz przekonałam się, że jest gotowa zjeść bycze jądra, żeby tylko dobrze wypaść w oczach mężczyzny, który zawrócił jej w głowie. Objawił się niczym księżę z bajki.

Zbyszek udawał, że opowieść Betki nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Aż się boję zapytać, co jedliście na deser – mruknął.

– Truskawki – odparła Betka.

– Takie zwyczajne?

– Zwyczajne, bez nóżek i rączek!

– Podziwiam cię, ja bym chyba nie mogła z kimś takim wytrzymać. – Popatrzyłam na Betkę z uwagą. – Cały czas się pilnować, nieustannie zastanawiać, czy dobrze trzymam widelec, czy nie za szeroko otwieram usta, czy równo idę.

– Czy na obiad nie zaserwuje mi byczych jąder! – dorzucił Zbyszek. – Ktoś tu popadł w przesadę!

– Lepsza taka przesada niż inna – oświadczyła dumnie Betka. – Maciej jest osobą na poziomie i moim zdaniem warto dążyć do lepszych zachowań, a nie gorszych. – Tu spojrzała wymownie na Zbyszka. – Zresztą mamy już trening w pracy. Czy nie pilnujesz się przy klientach?

– To co innego, to jest odruch. Ale poza pracą? Maciej pewnie i gnój widłami umie przerzucać z gracją!

– Odczep się – obrazila się Betka. – Lepiej zapytaj tego tu lebiegę, jakie on sztuki wyprawia!

Spojrzałam na Zbyszka, który zaczerwienił się po same uszy i nagle postanowił, że zrobi herbatę. Gdy gramolił się, Betka cedziła słowa:

– Otóż nasz wspaniały przyjaciel kominiarz lata z tym gipsem i robi zamieszanie. Wczoraj, gdy wracałam od Macieja, wstąpiłam do niego, przekonać się, jak sobie radzi. Okazało się, że nie ma go w domu. Zatelefonowałam więc i dowiedziałam się, że właśnie nadzoruje swoich pracowników.

– Z tą nogą?! – zdziwiłam się.

Zbyszek strącił kubek do zlewu.

– Otóż to! – podkreśliła Betka. – Wożą go furgonetką, z tyłu, bo nie mieści się w żaden

sposób na przednim ani tylnym siedzeniu. Musiałby leżeć. Więc pakują go pod drabinę i jedzie. We wtorek, gdy dojechali do klienta, to obaj pracownicy poszli ustalić, co i jak. Zbyszek został w środku, ale nie wiedział, co się dzieje, zaczął się denerwować i kłać jak to on. No i wtedy jakiś facet otworzył tylne drzwi furgonetki, żeby im pomóc. I osłupiał. Rozumiesz, zagipsowany facet leży na podłodze, przygnieciony drabiną i klnie, na czym świat stoi. A zapytany, kim jest, odpowiedział, że kominiarzem.

– No tak – roześmiałam się. – Kominiarz na służbie. Jedną nogę i jedną rękę ma przecież sprawną.

– Pewnie – kontynuowała Betka. – I ten głupek, to znaczy obecny tu Zbyszek, kazał się wyjąć i postawić, bo chciał nadzorować robotę. A oni, czyli jego pracownicy, postawili go w ogródku, obok krasnala i śnieżnego bałwana. A wiesz, był ubrany w mundur, tylko cylindra mu brakowało...

– Idźcie już sobie! – zareagował Zbyszek.

Wesoła opowieść Betki sprawiła mu wyraźną przykrość. Zauważyłam to, gdy odwrócił się od kuchenki i udając, że śmieje się razem z nami, zamachnął się zagipsowaną ręką. Betka dotknęła jego czulej struny. Pogodny nastrój prysł niczym bańka mydlana.

– Oczywiście, już idziemy – podniosłam się pierwsza. Przyjaciółka siedziała kilka sekund dłużej, ale też wstała. Na jej twarzy malowały się żal i zmieszanie. – Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Już na zewnątrz zapytałam, co Betkę ugryzło. Popatrzyła na mnie ponuro i wyjęła z torebki papierosy. Nigdy przy mnie tego nie robiła, nawet nie wiedziałam, że pali.

– Dlaczego tak mu dokuczasz? – zgłosiłam pretensję. – Przecież on jest w porządku!

– Wrobili mnie, parszywe świnię – wybełkotała, trzymając papieros w ustach. Wiał wiatr i nie mogła go zapalić. – Rozumiesz, wrobili w takie gówno, że mówić się nie chce. Cholera, pal się wreszcie.

Odczekałam, żeby się zaciągnęła. Była ogromnie zdenerwowana. W takiej sytuacji wszelkie komentarze typu: „Od kiedy palisz?!” albo „Co się stało, że palisz?” czy nawet: „Papierosy niczego nie dadzą poza rakiem!” były pozbawione sensu. Musiało wydarzyć się coś naprawdę poważnego, skoro Betka w ten sposób odreagowywała. Postaliśmy przez chwilę na chodniku, uderzane podmuchami zimnego wiatru. Luty żegnał się w wyjątkowo przykry sposób, było ponuro, zimno i wietrznie.

– Chodź do samochodu, pogadamy – przerwała milczenie Betka.

Wsiadłyśmy do jej auta. Odpaliła silnik, żeby nagrzać wnętrze. Papieros na szczęście został na mrozie.

– Sądziłam, że jeśli wywiążę się z zadania i pomaluję to cholerne biuro, to odcepia się ode mnie i będę mogła spokojnie pracować – zaczęła Betka, patrząc gdzieś w dal przez zaparowaną szybę. – Ale tym gnojom było mało.

– Nie mów, że teraz musisz odnowić willę prezesa! – wtrąciłam.

Betka nie poruszyła się nawet.

– Nie. Teraz mam pełnić funkcję wiceprezesa. Żeby to jasny piorun strzelił!

Betka powiedziała to takim tonem, jakby wymagali od niej co najmniej oddania nerki albo połowy serca, ewentualnie wyrażenia zgody na dożywotnie utrzymywanie wszystkich członków Zrzeszenia.

– Mam być w zarządzie, razem z tymi oszustami – kontynuowała. – Rzecz jasna, nie po to, by pławić się w luksusie razem z nimi, ale żeby nadzorować pracę zrzeszonych mediatorów. Psiakrew, narzekam, bo wiem, jak jest, i teraz jeszcze mam innych zaprzęgać do roboty. Może jeszcze mam ich batem poganiać?! Takie świństwo mi zrobili!

Patrzyłam na Betkę ze współczuciem. Zarząd Zrzeszenia od jakiegoś czasu bez litości wykorzystywał szeregowych członków organizacji. Z doniesień Betki wynikało, że byli zmuszani do pracy jako wolontariusze, której wymiar znacznie przekraczał możliwości przerobowe kogokolwiek. Przeciężny mediator jest w stanie przeprowadzić około piętnastu mediacji w miesiącu. Zakładając, że każda z nich wymaga przynajmniej pięciu dwugodzinnych spotkań, tego typu zajęcie zamienia się w pełnoetatową pracę. Nikt z nas nie powinien odbywać więcej niż czterech spotkań ze względu na psychiczne obciążenie. Nikt nie powinien spotykać się codziennie, konieczne były jedno- lub dwudniowe przerwy. Tymczasem wedle zaleceń Zrzeszenia mediatorzy winni byli spotykać się z klientami niemal bez przerwy. Oczekiwano, że przez ręce każdego z nich przejdzie co najmniej dwadzieścia spraw w miesiącu. Co gorsza, mediatorzy zmuszeni byli uczestniczyć w obowiązkowych, odpłatnych, cokuwartalnych szkoleniach, które prowadzili członkowie zarządu. Jednorazowy koszt takiego szkolenia wynosił ponad trzy tysiące złotych, czyli tyle, ile można było zarobić przez trzy miesiące. Wedle zasad mediatorzy otrzymywali tylko trzydzieści procent sumy uzyskanej z przeprowadzonych mediacji, czyli zwykle około tysiąca złotych miesięcznie na rękę.

Obecność Betki w zarządzie oznaczała jej zgodę na te skandaliczne warunki, z którymi tak walczyła. Natomiast odmowa otwierała drogę do bezpośredniego jej szykanowania, stanowiła bowiem afront. Tym samym Betka znalazła się w potrzasku.

– Nikt tej pańszczyzny nie odwalił, tylko my – ciągnęła zrozpaczona Betka. – Naharowałyśmy się razem z tym Mirkiem od Zbyszka, a teraz okazuje się, że to była podpucha. Obrzydliwa prowokacja. Nikt nic nie zrobił, tylko ja, więc jako najbardziej zasłużona zasłużyłam na nagrodę, psiakrew. Awans, jak pragnę zdechnąć! Że ja się nie zastanowiłam, dlaczego nikt nie zgłosił się po te klucze! Ślepa komenda! Idiotka do kwadratu!

– Możesz wejść do zarządu i zamiast wykorzystywać ludzi, przyciskać zarząd – zaproponowałam.

– Nie dam rady – westchnęła ciężko. – Oni mają większość, zawsze mnie przegłosują, a potem powiedzą, że zawsze byłam z nimi, tylko teraz fikam. Wiesz, jak to jest. Dostałam zgodę na dyżury w sądzie, to ludzie przyjmują, że już mam lepiej od nich. Szambo, świństwo okropne.

– To wypisz się stamtąd, jakoś damy sobie radę – pocieszyłam ją.

Ale Betka pokręciła głową.

– Nie, za wcześnie. Dyżury będą od kwietnia, jeśli teraz zrezygnuję, to wszystko odwołają, a trzeba się tam zaczepić, pokazać.

– Damy radę – powtórzyłam.

Przyjaciółka zamyśliła się nad obłoczkiem dymu, który poleciał do góry.

– Trzeba iść na szkolenie do Zrzeszenia – przerwała milczenie. – Wpisałam na listę nas obie. Lepiej być niż nie być.

– Becia, ja nie mam... – zaczęłam, ale przyjaciółka zgmiotła zdecydowanym ruchem papieros w popielniczkę i przekręciła kluczyk w stacyjce, żeby włączyć nawiew.

– Nie masz wyboru – powiedziała z naciskiem. – Te szkolenia są obowiązkowe. Prześlę ci esemesem adres i termin. Podwieźć cię gdzieś?

– Nie, mam auto – odparłam. – Dobrze. Do jutra.

Wysiadłam z samochodu i patrzyłam przez chwilę, jak odjeżdża. Odwróciłam się, żeby odnaleźć swój samochód, i wtedy zobaczyłam w oknie Zbyszka. Stał i patrzył w naszą stronę. Gdy Betka odjechała, przesunął zasłonkę.

*

– Co to jest mediacja? Komu służy mediator? Czy można pogodzić ludzi, którzy nie chcą nawet na siebie spojrzeć? Tego typu pytania wciąż słyszymy my – mediatorzy. Co to za zawód? Czy w ogóle istnieje? Co tacy ludzie potrafią? Skąd biorą się mediatorzy? – pytał retorycznie uśmiechnięty wykładowca.

Wpatrzono w niego twarze przyszłych mediatorów pozostały nieporuszone. Wszyscy czekali na błyskotliwą i dowcipną odpowiedź.

– Mediacja to szansa – kontynuował prowadzący. – To nadzieja, wybawienie i pomoc, której nie zaoferował do tej pory nikt. Absolutnie nikt. Czasem nazwą was czarodziejami, magami, cudotwórcami, aniołami przybyłymi z niebios. Tak, kochani, będziecie szli między zwaśnionych z misją naprawiania świata...

– Musimy tego wysłuchiwać? – szepnęła mi do ucha Betka. – Wydaje się, że podobne egzekutywy mamy już zaliczone.

– Cicho, na pewno zaraz się rozkręci i będzie porównywał mediatorów do upadłych aniołów – zachichotałam pod nosem.

Uczestniczyliśmy w obowiązkowym kursie dla mediatorów, zorganizowanym przez Zrzeszenie. Władze organizacji doszły bowiem do wniosku, że każdy, kto interesuje się mediacją, powinien przynajmniej raz do roku odświeżyć wiedzę i wziąć udział w kursie podstawowym. Na sali, która mogła pomieścić ze trzydzieści osób, siedziała blisko setka. Panował niemiłosierny zaduch, bo uczestnicy zajęli także parapety i o otwarciu okien nie można było nawet marzyć. Kurs prowadził jeden z członków zarządu osławionego Zrzeszenia, niejaki Błażej Małoznański, który roztaczał przed zebranymi cudowną, niebiańską wręcz wizję pracy mediatora.

Gdy przyszliśmy z Betką, żeby złożyć obowiązkowy podpis na liście obecności, po czym dyskretnie się oddalić, prezes Zrzeszenia nagle wyrósł tuż za naszymi plecami.

– Dobrze, że praktykujący mediatorzy raczyli zaszczycić nas swoją obecnością! – ryknął na całe gardło, dzięki czemu od razu skupiło się na nas prawie dwieście oczu. – Niektórym wydaje się, że wszystko już wiedzą, wszystko potrafią i żadna wiedza dodatkowa nie jest im potrzebna.

Prawie setka par oczu świdrowała nas na wylot.

– No tak – odezwała się Betka. – Zgodnie z zarządzeniem najmiłościwiej nam panującego prezesa przyszliśmy, żeby nadrobić braki w edukacji. Czy po kursie otrzymamy certyfikat? Trzeci już zresztą?

Prezes Gruszka zaczerwienił się, odchrząknął i bąkając coś o konieczności zweryfikowania bardzo ważnych danych, szybko odszedł. Nie miałyśmy wątpliwości, że odwrócony do nas plecami zaklął sobie pod rzadkim wąsem.

– Niestety, żyjemy w takiej rzeczywistości, że państwo brata się z monopolistą w imię tak zwanej lepszej jakości, w wyniku czego musimy płacić daniny, które teraz nazywają się opłatą za obowiązkowy kurs doszkalający – dodałam półgębkiem. – Nie narzekaj, mediator musi być cierpliwy i wytrwały. Wytrzymamy. Dla mnie dużo gorsza jest świadomość, że marnuję czas. Trzy sprawy leżą mi odłogiem, nie wiem, co zrobić, żeby odzyskać dzieci, a o innych sprawach nie wspomnę! Masz zegarek? Ile jeszcze tego paplania?

– Ponad pół godziny – odparła Betka. – Ależ on przynudza!

– Co chcesz? – znów zachichotałam. – Pan Błażej w życiu nawet pół mediacji nie przeprowadził! Ale jest za to pasjonatem nauki, jak przedstawił go prezes Gruszka. Słuchamy więc pasjonata!

Pasjonat Małoznański roztaczał właśnie przed uczestnikami wizję pracy mlekiem i miodem płynącej, która przynosi wyłącznie satysfakcję i uwielbienie ludzi za to, że ratuje się

ich przed samozagładą. Nawet nie wiem, kiedy moje myśli odplynęły do jednej z rozpoczętych niedawno spraw.

Była to doskonała odskocznia od zmartwienia, które dręczyło mnie już miesiąc. Dziewczynki nie wróciły do domu, słuch po nich zaginął. Matka unikała kontaktu ze mną, ojciec udzielał wymijających odpowiedzi, a policja przyjęła zgłoszenie i na tym poprzestano. Detektywi, do których się zgłosiłam, roztaczali przede mną cudowne wizje natychmiastowego odzyskania dzieci w zamian za bajońskie sumy, którymi nie dysponowałam. Jeden przyjął skromną zaliczkę i zniknął. Ogarniała mnie bezdenne rozpacz.

Zbyszek rozluźnił kontakt. Był teraz zajęty Marianną i rozpoczynającym się sezonem na czyszczenie kominów.

– Kochani! – przedarł się do mojej świadomości głos prowadzącego Małoznalskiego. – Mediacja nie jest niczym trudnym, jeśli mediator to profesjonalista. Klienci pójdą za nim w dym, ogień albo w przepaść za nim skoczą! Dobry mediator jest jak ojciec lub matka dla swoich podopiecznych – nie pozwoli im zbłądzić!

Betka parsknęła śmiechem i choć szturchnęłam ją łokciem w bok, uczestnicy kursu popatrzyli na nas nieżyczliwie i z pretensją. Błażej Małoznalski zszedł z katedry i zbliżył się do nas.

– Może panie szanowne chcą się wypowiedzieć? – Jego głos był słodki i jednocześnie nasączony jadem. – Każdy wykład niezwykle ubogacają komentarze lub spostrzeżenia słuchaczy. Zapraszam zatem, zapraszam.

W pierwszej chwili zamierzałam przeprosić, skulić się i dotrwać do końca zajęć, nie odzywając się słowem. Nauczyłam się, że czasem lepiej milczeć niż niepotrzebnie rozpętać wokół siebie burzę. Mediator powinien myśleć strategicznie. Lecz czy przez całe życie, w każdej chwili jesteśmy mediatorami? Czy nawyki pozostają w nas na zawsze?

– Chętnie – usłyszałam swój głos. – Jeśli pan pozwoli, odniosę się do kilku poruszonych przez pana kwestii.

*

– Ale go objechałaś! – Betka po raz trzeci słodziła kawę, a ja patrzyłam tępo przed siebie. Wykład Małoznalskiego trochę wyprowadził mnie z równowagi.

– Jak można wygadywać takie głupoty! – uniosłam się. – Mediator jako zbawca świata i wybawiciel od problemów! Rozwód lekarstwem na całe zło! Sądy niepotrzebne! W ogóle nic nie jest potrzebne, powinno się wyposażyć mediatorów w pałki i karabiny maszynowe, a jeszcze szybciej by to wszystko poszło. Po co się z kimś handryczyć tygodniami, kiedy można zastosować jeden, niezawodny argument i już się ma sto procent skuteczności!

– Miałaś rację – stwierdziła Betka i upiła trochę kawy. – Fuj, okropna. Za słodka.

– Czy mogę się dosiąść? – zagadnęła nas młoda kobieta.

Skinęłam głową, a Betka wstała, żeby nalać sobie nowej kawy. Kobieta przedstawiła się jako asystentka rodziny, Marzena Gałązka. Na kursie pojawiła się z polecenia przełożonej. Liczyła na to, że nauczy się rozmawiać z trudnymi podopiecznymi.

– Coraz więcej kobiet i mężczyzn nie ma pojęcia, jak rozmawiać ze sobą, jak rozwiązywać konflikty i przełamywać impasy. Egzaltacja związana z wchodzeniem w nowy stan cywilny szybko mija i pary są bezradne wobec pierwszego kryzysu. Przewagę mają te osoby, które mieszkają ze sobą przed ślubem, ponieważ zyskały okazję do przećwiczenia różnych sytuacji. Lecz z drugiej strony pojawia się u nich syndrom wypalenia, znużenia związkiem – mówiła pani Gałązka. – To wywołuje frustrację, którą rozładowują alkoholem i pięścią. Potem problem rozlewa się na pracę i inne relacje międzyludzkie. Nie trzeba długo czekać na rezultaty.

– Owszem. – Nie bardzo rozumiałam, co mediacja ma wspólnego ze sfrustrowanymi alkoholikami. – Ale nie mediuje się, gdy występuje przemoc.

– Wiem. – Urzędniczka się uśmiechnęła. – Miałam na myśli to, że powinno się z urzędu wysyłać małżonków i rodziców z problemami na takie kursy jak nasz.

– Ale problem ujawnia się dopiero po jakimś czasie. – Skrzywiłam się. – Profilaktycznie nikt nie pójdzie do terapeuty, żeby zabezpieczył go przed ewentualną podatnością na frustrację!

Pani Gałązka popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby to mnie jako pierwszą należało skierować na taki kurs. Zwłaszcza po tym, gdy skrytykowałam Małoznalskiego. Jednak kontynuowała:

– Drugi problem, który sygnalizują moi koledzy i koleżanki, to zbyt późna pomoc udzielana zwaśnionym parom. Dziś łatwiej udać się do adwokata i założyć sprawę o rozwód niż podjąć próbę ratowania związku. Odbijanie się od kolejnych drzwi zniechęca małżonków. Skądinąd deklaracje o nadrzędnej wartości współdziałania na rzecz rodziny wobec prawa jednostki do szczęścia uykają lub błędą, gdy brakuje konkretnej rady i wsparcia. Dlaczego tak szybko zachęca się pary do szukania nowych partnerów, zamiast ratować to, co narodziło się między nimi? Pani słusznie zauważyła, że mediator powinien zachęcać ludzi do pojednania, a nie do rozstania.

– Źle mnie pani zrozumiała – przerwałam jej, być może zbyt ostro. – Uważam, że to nie mediator, adwokat czy psycholog powinni decydować o tym, czy para powinna się rozstać, czy nie. To jest suwerenna decyzja stron, którą ocenia sąd. Gdy ludzie dojdą do przekonania, że to jedyne dobre wyjście z sytuacji, a sąd przyzna im rację, to tak ma być. Czasem trzeba coś stracić, by na nowo budować. Błędem jest przyspieszać ten proces, ułatwiać, skracać. Bo ludzie pod wpływem emocji podejmują wiele decyzji, których później gorzko żałują. Naczelnym zadaniem mediatora jest im to uświadomić.

– A co wtedy, gdy nadal nie będą wiedzieli, co zrobić? – nie ustępowała Gałązka.

– Wtedy muszą pogodzić się z faktem, że ktoś za nich zadecyduje – odparłam, wstając. – Bierność oznacza przyzwolenie. Świat nie znosi próżni. Jeśli ktoś nie umie korzystać z wolności, w tym jednego z jej przywilejów, jakim jest możliwość decydowania o sobie, musi pogodzić się z faktem, że wolność będzie mu ograniczana.

– A jeśli ktoś tego nadużywa, wykorzystując łagodność lub łatwowierność drugiej osoby? – dążyła pani Gałązka.

– Wtedy... – zawałam się, bo nagle coś sobie uświadomiłam – wtedy należy szukać silnych sprzymierzeńców. Czym innym jest słabość wyrażana przez bierność, unikanie, wycofanie, a czym innym słabość w starciu z bezwzględną siłą i przemocą. Sprawiedliwość nie musi i nie powinna odwoływać się do przymusu. Mamy przecież rozum, inteligencję i wyobraźnię. Sile pozostaje do dyspozycji tylko pięść.

Gdy Betka wróciła, przerwa dobiegła końca i pani Gałązka pośpieszyła na salę. Popatrzyłam na przyjaciółkę i powiedziałam:

– Przewaga leży w rozumie, nie w sile. Odzyskam moje dziewczynki. A Małoznalskiego mam głęboko w nosie!

Dotarło do mnie, że sytuacja, w której się znalazłam, była rezultatem moich poczynań. Nieustanny lęk przed wyimaginowaną siłą matki i jej pupila, Cezarego, przytłaczająca odpowiedzialność za wszystko, cokolwiek się stało – to wszystko sprawiło, że uciekałam w pracę i stworzone przez siebie iluzje, nie dostrzegając prawdy. Wolałam zasłaniać się zmęczeniem, stresem, brakiem czasu, zamiast zmierzyć się z demonami przeszłości. Pozwoliłam, by człowiek, który mnie skrzywdził, zabrał mi dzieci, bo karmiłam się wydumanymi teoriami o kredycie zaufania do drugiego rodzica. Bo ich nie skrzywdzi! Skoro z taką łatwością mógł krzywdzić

mnie, skąd pewność, że wykaże się subtelnością w stosunku do Basi i Laury! Bo fizycznie nic im nie zrobi?

Byłam świetnym mediatorem, a wypracowane przez lata mechanizmy obronne – niespotykany wręcz dystans do brutalności, agresji czy dziwactw – pozwalały mi wykonywać tę trudną pracę i się nią cieszyć. Lecz mnie samej nic nie dały. Niczego nie nauczyły, nic nie zmieniły i przed niczym nie uchroniły. Uświadomiłam sobie, że osobista mediacja dopiero przede mną.

*

Kurs zorganizowany przez Zrzeszenie bardzo dużo mi dał. W ciągu kilku dni uruchomiłam wszystkie kontakty prywatne i zawodowe, rozesłałam wiadomości, że szukam pomocy w odzyskaniu córek, że złożyłam sprawę do sądu, i szukałam pomocy na własną rękę. Ustaliłam, że Cezary nie pojawił się w domu rodziców od powrotu z Egiptu, najprawdopodobniej wyjechał z dziewczynkami za granicę. Starłam się dowiedzieć jak najwięcej. W firmie rodziców uzyskałam poufną informację, że Cezary zaczął negocjacje handlowe z holenderskim koncernem chemicznym. Od miesiąca przebywał w Amsterdamie. Postanowiłam dowiedzieć się więcej i pojechać tam, by śledząc go, dotrzeć do dziewczynek.

Praca stanowiła odskocznię. Pozwalała na chwilę oderwać się od dręczących myśli i dawała nadzieję, że wśród wielu osób pojawiających się w naszym biurze znajdzie się ktoś, kto okaże się pomocny. Od czasu do czasu zyskiwałam jakąś podpowiedź, radę lub sugestię. To wszystko dawało złudzenie prowadzonych na dużą skalę poszukiwań dziewczynek. Złudzenie, bo w istocie nikt poza mną ich nie szukał. A moje możliwości były ograniczone.

Tego dnia czekał mnie dwugodzinny dyżur w sądzie – nowa forma docierania do klientów, narzucona nam przez Zrzeszenie. Betka prowadziła mediację poza Warszawą, więc ja przyjeżdżałam ten obowiązek.

Pojechałam do sądu, weszłam do budynku i rozejrzałam się. Byłam tu pierwszy raz. Długi korytarz ciągnął się z drzwiami do sal rozpraw, pokojów sędziów, sekretariatów wydziałów i wielu innych pomieszczeń. Trafiłam w końcu do pokoju mediacji, numer 32, na piętrze budynku, tuż za wielką szafą i jeszcze większą kratą. Maleńki korytarzyk, który tam prowadził, został opatrzony ogromnym napisem: „Do Prezesa Sądu”, i pewnie z tego powodu przez dwie godziny dyżuru pies z kulawą nogą do mnie nie zajrzał. Postanowiłam, że następnym razem wezmę ze sobą opasłą lekturę, i udałam się do portierni, żeby oddać kluczyk. I tam dopadła mnie sekretarka wydziału trzeciego, rodzinnego, która z wypiekami na twarzy wysapała:

– Po całym sądzie biegam i pani szukam! Gdzie się pani podziała? Mam sprawę dla pani, do mediacji. Tu są akta!

Wynotowałam potrzebne dane, oddałam dokumenty i wyszłam z sądu. Nagle poczułam w sercu żar. Po drugiej stronie ulicy maszerowały dzieci w wieku przedszkolnym, prowadzone przez panią na spacer. Dziewczynki i chłopcy maszerowali grzecznie, trzymając się za ręce, a ja wpatrywałam się ze szczególną uwagą w jedną z dziewczynek, bardzo podobną do mojej Basi. Zachwiałam się. Przed upadkiem uchroniło mnie silne, męskie ramię.

– A, to pan – wymamrotałam.

Podtrzymał mnie lekarz, który opiekował się mną w szpitalu. Od spotkania w sklepie i później w przyszpitalnej przychodni upłynął miesiąc. Przyjrzałam mu się uważniej. Był wysoki, bardzo szczupły, krótko ostrzyżony, co utrudniało ustalenie koloru jego włosów. Na twarzy miał ciemny ślad zarostu, który maskował dołeczki w policzkach i na brodzie.

– Robert – przedstawił się mężczyzna i pokazał w uśmiechu piękne, białe zęby. – Pozwoli pani, że będę nad nią czuwał?

Uwolniłam rękę z uścisku i odsunęłam o krok. Po raz pierwszy od ponad roku pomyślałam o kimś, że jest przystojny, atrakcyjny i że może mi się podobać. Trudny związek z Cezarym zablokował we mnie tę część kobiecej natury, która odpowiadała za zainteresowanie płcią przeciwną. Ostatnie przeżycia nie pozostawiły przestrzeni na pojawienie się przy mnie towarzysza życia. I nagle, w jednej chwili poczułam, że jestem w błędzie. Ta przestrzeń istniała, potrzeba także, lecz brakowało mi odwagi, by do tego się przyznać.

– Marta Kołodziej – odpowiedziałam. – Pozwolę, by pan nade mną czował. Jak zamierza pan to zrobić?

– Robert – powtórzył, a ja zarumieniłam się lekko. – Wiem, jak masz na imię, ale odniosłem wrażenie, że mnie nie pamiętasz. Jestem lekarzem.

– Aha, to wszystko wyjaśnia – roześmiałam się.

W tej samej chwili Robert zachwiał się i spadł z krawężnika prosto w kałużę, w której ja wcześniej omal nie wylądowałam. Brudna woda ochlapała jego spodnie i buty. Roześmiałam się w głos i nie wiedząc kiedy, zauroczyłam się tym najbardziej niezdarnym z niezdarnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam.

Przedpołudnie, które razem spędziliśmy, oraz zapowiedź wspólnego wieczoru, przyjemnie mnie nastroiły. Czułam się swobodnie w jego towarzystwie. Na tyle dobrze, że opowiedziałam o swoich zmartwieniach. Robert okazał się doskonałym słuchaczem. Cierpliwym i uważnym. Rozmowa z nim przyniosła mi ten rodzaj ukojenia, które pozwala na chwilę odetchnąć. Nie zapomnieć, lecz nabrać niewielkiego dystansu do trudnych spraw, dzięki czemu poczułam się o wiele lepiej.

Po powrocie do domu zatelefonowałam do klientów, których dane wynotowałam w sądzie.

– Czy ta kanalia już się zgodziła? – przerwała mi pani Magdalena, powódka w sprawie. – Bo jeśli on się zgodził, to ja się nie zgadzam!

– Tego nie wiem, proszę pani – odpowiedziałam spokojnie. – Postanowiłam najpierw skontaktować się z panią. Czy chciałaby pani dowiedzieć się więcej? Coś wyjaśnić?

– Tak – buchnęło w słuchawce. – Proszę mi wyjaśnić, jak to jest, że złożyłam do sądu wszystkie dokumenty, dowody, papiery, z których wynika niezbicie, że mój mąż to wyjątkowej klasy menda i kanalia, a sąd, zamiast od razu wydać wyrok, bo przecież sprawa jest jednoznaczna, wysyła nas do mediacji! Co my mamy ustalać?! Ja wiem, że mam rację, i jeśli on to potwierdzi, to uznam, że mediacja ma sens.

– Proszę się zastanowić – kontynuowałam. – Mediacja to szansa, nie przymus. Nic pani nie straci poza czasem, a mediacja z założenia jest dynamicznym i szybkim procesem. Jeśli dojdzie pani do wniosku, że nic się nie zmieniło i nie ma na nic szans, to wrócą państwo do sądu i zaczną od tego etapu, w którym sąd przerwał. Przecież i tak trzeba poczekać do kolejnej rozprawy, którą sąd wyznaczył w październiku. Może warto ten czas wykorzystać nie tylko na zbieranie dowodów.

Po dłuższej wymianie zdań (tych samych zresztą) zgodziła się spotkać. Termin miałyśmy ustalić później, gdy potwierdzę, że małżonek też przystąpił do mediacji.

Nie zwlekając, zatelefonowałam do jej męża.

– Czy dzwoniła pani do mojej żony? – przerwał mi obcesowo. – Na pewno się nie zgodziła, ta cholera zajadła! A ja się zgadzam, na złość jej zrobię i się zgodzę!

– Pana żona też się zgadza – powiedziałam pogodnie. – W takim razie może ustalimy termin? Kiedy panu pasuje? Przed południem, po południu? Może w poniedziałek?

– Wszystko mi jedno, może być poniedziałek – pan nieoczekiwanie stracił rezon i prawie bez życia udzielał mi odpowiedzi.

– Która godzina?
– No, nie wiem, może dziesiąta? A gdzie?
– To o dziesiątej, w poniedziałek, adres wyślę panu esemesem i potwierdzę jeszcze termin. Do widzenia.

Pani oczywiście termin nie pasował. Stwierdziła, że lepszy będzie wtorek o osiemnastej. Nie miałam wątpliwości, że w poniedziałek o dziesiątej mogłaby się stawić, ale przecież nie zgodzi się na termin ustalony najpierw z mężem. Na szczęście zapytałam jego o termin alternatywny i pasował mu wtorek o osiemnastej.

Rozłączyłam się, odłożyłam telefon i poszłam do łazienki. Odświeżająca kąpiel i przygotowanie do wyjścia dodały mi energii. Przypomniałam sobie, że przyjemnie jest umawiać się na randki.

*

Robert zatrzymał się przed budynkiem. Oparł się o maskę samochodu i uszkodził przy tym lusterko boczne. Jego wrodzona niezdarność wywoływała we mnie rozczulenie pomieszanе z rozbawieniem. Nie przeszkadzało mi, że wciąż coś mu upadało, o coś się przewracał. Stale zapominał, gdzie co położył.

– Nie wiesz, gdzie podziałem kluczyki? – mamrotał, obmacując się od góry do dołu. – Przed chwilą tu były.

– Leż na siedzeniu. Pod twoją pupą – odpowiedziałam z uśmiechem.

Robert sięgnął i je znalazł, po czym dziobnął deskę rozdzielczą, usiłując trafić do stacyjki.

– No to jedziemy! – Uśmiechnął się do mnie, gdy umieścił kluczyk we właściwym miejscu. – Mam dla ciebie niespodziankę. Nie było to łatwe, ale udało się! Dostałem kontakt do świetnego detektywa, który mógłby pomóc w twojej sprawie. Specjalizuje się w odnajdywaniu zaginionych osób. Podobno jest fachowcem. To były wojskowy czy policjant, ktoś taki.

– Cudownie, dziękuję. – Cmoknęłam Roberta w policzek. Zarumienił się lekko i kontynuował:

– Spotkamy się w restauracji, ponieważ jest właśnie na etapie przenoszenia się do nowej siedziby, w innym mieście. Zgodził się spotkać jeszcze dziś, bo jutro wyjeżdża.

– Nie wiem, czy stać mnie na profesjonalnego detektywa – zmartwiłam się. – Ale myślałam o tym. Policja odmówiła wszczęcia poszukiwań bez decyzji sądu lub prokuratury, a mnie zabija ta beczyność.

– Nie martw się o koszty – uspokoił mnie Robert. – Wszystko jest załatwione. Po prostu uwierz, że się uda.

Pokiwałam głową, wierząc głęboko, że tak będzie. Że doświadczenie z wypadkiem zapoczątkowało lawinę zdarzeń, które jednak doprowadzą mnie do tego momentu w życiu, w którym będę mogła cieszyć się nim w pełni. Z mężczyzną u boku. Może najpierw moja droga musi być zawiła...

W restauracji czekał na nas łysy mężczyzna w skórzanej kurtce. Sprawiał wrażenie typa spod ciemnej gwiazdy i w pierwszej chwili nie wzbudził mojego zaufania. Przywitał się najpierw z Robertem, zamienili kilka zdań, a następnie zwrócił się do mnie.

– Kiedy ostatni raz widziała pani dzieci i jak były ubrane?

– To było mniej więcej... – zaczęłam powoli, starając się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły.

Detektyw położył ręce na stoliku i powiedział ostrym tonem:

– Żadne mniej więcej. Ja muszę wiedzieć na pewno. Pani zanotuje – podsunął mi serwetkę, a z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął długopis – wiek, wzrost, znaki szczególne

dziewczynek. W co były ubrane, gdy widziała je pani ostatni raz, co zabrały ze sobą w walizce, ulubione potrawy, zwyczajnie, imiona kolegów i koleżanek. Czy dzieci miały przy sobie jakieś zabawki. Dalej, z kim pani były mąż utrzymuje kontakty. Czy wyjeżdżał za granicę, jeśli tak, to kiedy i dokąd. Proszę wypisać jego przyjaciół, gdzie pracował i tak dalej. Wszystko. Im więcej, tym lepiej.

– Dobrze, postaram się – przytaknęłam, starając się nadażyć za szybko mówiącym detektywem.

– Potrzebuję aktualnych zdjęć dziewczynek – dodał tym samym tonem. – Kontakt do pani. Najlepiej komórkę, pod którą jest pani zawsze dostępna. Kto jeszcze wie o sprawie?

– Moi rodzice, przyjaciółka Betka, czyli Elżbieta Białek, mój znajomy, Zbigniew Janeczek, kominiarz, znajomy Betki, Maciej Kostrzycki, no i panie w przedszkolu, policja.

– Policja podjęła jakieś działania?

– Nie, uznali, że sąd powinien rozstrzygnąć, czy doszło do uprowadzenia.

– Założyła pani sprawę w sądzie?

– Tak.

– Dobrze. Czy przychodzi pani do głowy jakiś motyw?

– Moja matka wspominała, że chciałyby, aby mój były mąż zamieszkał w ich domu razem z dziewczynkami. Straszyla, że będą usiłovali pozbawić mnie władzy rodzicielskiej.

– Raczej nierealne – uznał detektyw. – A dlaczego panią zastraszali? Ma pani jakieś porachunki z rodzicami? Jakaś zemsta?

– Nie mam pojęcia – przyznałam szczerze. – Relacja z matką należy do bardzo trudnych. Nie lubimy się, mówiąc wprost. Ale dotychczas moi rodzice opiekowali się dziećmi, gdy pracowałam. Mają mi za złe, że rozwiodłam się z Cezarym, zwłaszcza matka. On może być wściekły, bo uraziłam męskie ego, to ja odeszłam od niego, a nie on ode mnie. Ale nie mam zielonego pojęcia, ani dlaczego usiłował mnie zabić, ani dlaczego uprowadził dzieci. To wszystko nie ma sensu. Po rozwodzie dalej pracuje w firmie moich rodziców, a sąd ustalił zasady jego widywania się z córkami. Po co to wszystko?

– Szantaż? Pieniądze? – dopytywał się detektyw.

Pokręciłam przecząco głową.

– Moi rodzice i były mąż dysponują znacznie większymi środkami niż ja. Nie wiem nic niezwykłego na ich temat. Naprawdę nie rozumiem, co się dzieje.

– Coś się jednak dzieje – przyznał detektyw. – Postaram się ustalić, o co chodzi oraz gdzie przebywają pani dzieci. – Mężczyzna napisał na serwetce numer do siebie, po czym popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Wynoszę się ze stolicy, ale proszę się nie martwić, będziemy w kontakcie.

– Muszę zapytać o koszt oraz sposób rozliczenia. To dla mnie bardzo ważna sprawa, nie jestem milionerką.

– Proszę się nie martwić – uspokoił mnie detektyw. – Dam pani znać, gdy coś ustalę. Jeśli pani sobie przypomni to wszystko, o czym mówiłem, proszę dzwonić. Na razie odmeldowuję się i ruszam rozeznaczyć teren.

Detektyw wstał, my także. Pożegnaliśmy się. Gdy poszedł, spojrzałam na Roberta, który do tej pory milczał.

– Dobry fachowiec – odezwał się. – Wydobędzie je, choćby spod ziemi!

*

– Jakaś paczka do ciebie – poinformowała mnie Betka, gdy następnego dnia pojawiłam

się w biurze. Całą noc spędziłam na spisywaniu potrzebnych informacji dla detektywa. – Tam leży.

Wzięłam do ręki sporą kopertę zaadresowaną przez Fabia Pallantino. W środku znalazłam dwie płyty CD.

– Co za przekłeta sprawa! – powiedziałam, wznosząc oczy ku niebu. – Ktoś naprawdę mnie przeklął. Już nigdy nie odczepią się ode mnie i do końca życia będę zmuszona śledzić urozmaicone życie państwa Pallantino!

Betka na chwilę oderwała się od komputera, wzięła do ręki jedną z płyt i zachichotała.

– No co ty! Obejrzymy sobie filmik przy cieście i herbatce. W domu możesz sobie to wyświetlać zamiast serialu.

– Rodzinny show w najgorszym wydaniu! – prychnęłam pogardliwie.

Mediację zakończyłam jakiś czas temu, mimo to zarówno pan, jak i pani Pallantino regularnie przesyłali mi nagrania, które dokumentowały rzekomo nieodpowiedzialne, agresywne i w ogóle skandaliczne zachowanie współmałżonka. Ich sprawa rozwodowa ciągnęła się, bo oboje uparcie składali coraz to nowe wnioski dowodowe i sąd nie mógł zamknąć żadnego wątku. Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn państwo Pallantino uważali, że powinnam być świadkiem ich poczynań.

– W dzisiejszym odcinku... – Betka zawiesiła głos niczym lektor w telewizji – pani Pallantino tłucze męża patelnią po głowie, a pan Pallantino oblewa żonę resztkami wczorajszej zupy. Jak to się zakończy?

Odtworzyła nagranie na swoim komputerze. Mnie średnio interesowały dobrze mi znane krzyki i inwektywy pary Pallantino. Popatrzyłam na koleżankę, która obserwowała z uśmiechem monitor, i sięgnęłam po telefon.

Detektyw odebrał już po drugim sygnale. Podyktowałam mu tekst z kartki oraz dodałam kilka szczegółów, które wydały mi się ważne. Mężczyzna krótko podziękował, polecił czekać i się rozłączył.

Wprowadziłam przyjaciółkę w temat. Zainteresowała się zarówno detektywem, jak i moją znajomością z lekarzem.

– Robert jest bardzo miły – skwitowałam jej nieme pytanie. – To nie była randka, po prostu pomógł mi, sprowadzając detektywa.

– Ale chyba ci się podoba? – dociekała przyjaciółka. – Przystojny niezdara.

– Działa na mnie uspokajająco – zrobiłam unik. – Jest miły i przyjemnie spędziłam z nim czas. Zobaczmy, co wskóra detektyw. Czas płynie, a ja wciąż nic nie wiem o dzieciach!

– Poproszę też o pomoc Macieja, on obraca się w różnych kręgach – podchwyciła Betka. – Może się czegoś dowie?

– Nie wiem, czy warto go w to wprowadzać. – Spojrzałam na przyjaciółkę z uwagą. – Nie obraż się, ale wciąż nie mogę się do niego przekonać. Jest w nim coś dziwnego, jakiś fałsz, coś takiego...

– I kto to mówi! – obruszyła się Betka. – Nie chcesz, to nie!

*

Wejście do biura, w którym urzędowałyśmy, było jedno. Państwo X przyszli punktualnie, ale nie wiedzieli, jak pokonać próg. Skoro stopa pana, który przyszedł dwie sekundy wcześniej, już go przekroczyła, to pani nie chciała tego zrobić. Zawsze pozostaje wtedy okno... Po kilkuminutowych negocjacjach pani niechętnie zgodziła się pokonać tę samą drogę co mąż. Usiedli oczywiście na skrajnych końcach stołu. Praca mediatora bywa wyczerpująca także fizycznie. Po dwugodzinnym spotkaniu nieznośnie bolała mnie głowa, bo musiałam nią kręcić to

w jedną, to w drugą stronę.

– Moja żona to ogromna materialistka i egoistka – rozpoczął pan Roman, pozwany w sprawie, jeszcze mąż swojej żony – gdy poprosiłam, aby wyjaśnili mi, co ich tak poróżniło, dlaczego chcą się rozejść. – Tylko pieniądze się dla niej liczą. Wyszła za mnie, bo pracuję w banku. Wydawało jej się, że mam dostęp do skarbcza! – Tu pan Roman roześmiał się głośno z własnego dowcipu. Ja uśmiechnęłam się lekko, pani Magdalena prychnęła. – Od początku chciała dysponować moimi pieniędzmi i wydawała za dużo. Zawsze była strasznie rozrzutna. Proszę mi powiedzieć – tu zwrócił się do mnie – jaki jest sens ciągnąć samochód na wieś, skoro można spokojnie dojechać tam pociągiem?

– Pociągiem! – nie wytrzymała pani Magdalena. – Od stacji, proszę pani, trzeba brnąć przez las około kilometra! Bilet kosztuje tyle ile benzyna w jedną stronę!

– W jedną stronę! – najeżył się pan Roman. – A jak policzysz w dwie, to ile ci wyjdzie? Łatwo wyrzucać w błoto nie swoje pieniądze!

– Chciałam wyrzucić własne! Ja też zarabiam!

– Oho, teraz zacznie się licytowanie, kto więcej zarabia! A gdy byłaś w ciąży i nie pracowałaś, to kto cię utrzymywał?!

– Ale to z moich kupiliśmy samochód i grosza nie dałeś nawet na ubezpieczenie! A ja twoją matkę zawożę do szpitala!

– Mojej matki w to nie mieszaj!

– To ty wszystkich mieszasz! Po co naopowiadałeś głupot tej babie w urzędzie i teraz trzeba składać wyjaśnienia!

– Nic nie naopowiadałem! Oszustw ci się zachciało i jak zwykle ja będę musiał za to wszystko zapłacić!

Pozwoliłam im się wykrzyczeć. Gdy doszli do zagadnienia, przez kogo zwiędła cytryna w doniczce, zapytałam spokojnie:

– Sąd, zdaje się, skierował państwa do mediacji w innej sprawie, prawda? To może na tym się skupimy?

Nie jest łatwo uzyskać odpowiedź na pytanie, o co wam, ludzie, chodzi? Dlaczego? Bo zwykle sami nie wiedzą. Coś jest źle, coś chcą zmienić, ale co? Zabij, nie wiedzą. Zadaniem mediatora jest pomóc im rozwikłać tę zagadkę. Służą temu spotkania indywidualne. Wtedy gadamy sobie szczerze i może nieoczekiwanie okazać się, że...

– To nie jest zły człowiek, tylko taki nerwowy – przekonywała mnie pani Magdalena kilka dni później, gdy spotkałyśmy się tylko we dwie. – On już w tym banku pracuje siedemnasty rok, a wciąż na tym samym stanowisku. Jego koledzy dawno zmienili pracę albo awansowali, a on tak utknął jak kołek i to go frustruje.

– Kiedy zaczęło się psuć między wami?

– Od dnia, gdy załatwił mi tam posadę. Szybko awansowałam i był o to zazdrosny. Uważał, że awansowałam dlatego, że najprawdopodobniej miałam romans z przełożonym, jego kolegą. – Pani Magdalena uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Nawet nie wiedziałam, że jest o mnie taki zazdrosny. W domu pieklił się nieustannie, więc się zwolniłam i w ciągu kilku tygodni znalazłam nową, nawet lepiej płatną pracę. Potem było już tylko gorzej.

Gdy zaprosiłam na indywidualne spotkanie pana Romana, był bardzo spięty i przez kilka chwil starał się nakłonić mnie do zwierzeń, co też takiego powiedziała jego żona. W końcu jednak się otworzył.

– Moja żona to piękna kobieta, sama pani widziała. Mężczyźni się za nią oglądają. Co ja mogę jej zaproponować, jestem przecież dużo starszy i nie zarabiam najwięcej...

Praca z tą parą trwała około trzech tygodni. Ostatecznie uznali, że nie będą się rozwodzić,

dadzą sobie szansę. Na koniec wyjawili, że chcieliby jednak jedną kwestię ustalić na piśmie. Wtedy okazało się, że mają nastoletniego syna Dawida.

Dawid chodził do gimnazjum. Uczył się średnio, jednak nie to stanowiło problem. Rodzice oskarżali nauczycielkę o szykanowanie ich syna, jednak ich podejście do sprawy różniło się. Pani Magdalena twierdziła, że wychowawczynie dopuszcza się wobec dziecka dyskryminacji ze względu na jego pochodzenie z małego miasta, traktuje chłopca w sposób dyskryminujący (wyśmiewa przed klasą, że jest gruby), stawia wygórowane żądania, często niemożliwe do spełnienia (zadaje więcej niż innym dzieciom), traktuje dziecko w sposób lekceważący i uwłaczający jego godności (przezywa, patrzy z pogardą, poszturchuje, popycha). Ojciec natomiast uważał, że nauczycielka w milczeniu aprobeuje, gdy uwagi kierują pod adresem jego syna uczniowie i inni nauczyciele. Rodzice nie mogli dojść do porozumienia, jak tę sprawę załatwić. Matka sugerowała sąd i pluton egzekucyjny, ojciec zamknięcie placówki na głucho, najlepiej zabicie deskami na krzyż wszystkich wejść.

Na ich życzenie postanowiłam podjąć się mediacji w tej sprawie i udałam się do szkoły. Pani dyrektor, pedagog szkolna i wychowawczynie przedstawiły zupełnie inny obraz sytuacji. Twierdziły, że rodzice są niewydolni wychowawczo i obarczają szkołę obowiązkami, które sami powinni wypełniać. Za niepowodzenia syna obwiniają nauczycieli, a sugerowaną pomoc traktują jak napaść. Społeczność szkolna była doskonale zorientowana w kolejnych etapach rozstawiania się małżonków i uznała, że Dawid oraz nauczyciele są ofiarami wojny rodziców.

Ze zdziwieniem usłyszałam, że w tej sprawie podejmowane już były mediacje (rodzice mi o tym nie powiedzieli) i nie przyniosło to rezultatu. Wkrótce miało się jednak okazać, że problem jest znacznie głębszy, niż postrzegali to nauczyciele i rodzice. Chłopiec dopuścił się bowiem kradzieży i pobicia kolegi na terenie szkoły. Policję zawiadomili rodzice poszkodowanego. Wtedy nieoczekiwanie ujawniły się inne ofiary. W ciągu kilku dni policjanci ustalili, że Dawid przywłaszczył sobie kilka telefonów komórkowych, dwie kurtki, odtwarzacz MP3 i płytę CD. Właściciele tych przedmiotów zastraszał i niczego nie zgłaszali.

Wyłoniły się zatem dwa problemy, a nie jeden w tej samej mediacji. Uznałam, że spór z nauczycielkami można na chwilę odłożyć, zarzuty kradzieży były bowiem o wiele poważniejsze. Udałam się do domu rodziców Dawida. Nie przyjechali na spotkanie zorganizowane na terenie szkoły, twierdząc, że środowisko jest stronnictwo i miejsce w związku z tym nie może być uznawane za neutralne. Ponieważ zamierzałam porozmawiać także z Dawidem, zgodziłam się, aby do rozmowy doszło w ich domu.

Państwo X mieszkali w obszernej willi otoczonej pięknym ogrodem. W oczy bił blask marmurowych posadzek. Salon mógł odegrać rolę sali balowej na sto osób, zatem całkowicie odpadał powód ekonomiczny kradzieży.

Dawid, pulchny, niewysoki blondynek, przypominający cherubina w kościele, usiadł ze zwieszoną głową i milczał. Jego rodzice zdążyli już pokłócić się o to, czy zaproponować mi gorącą herbatę, czy zimną wodę. Poprosiłam o jedno i drugie. Następnie przysunęłam się do Dawida i zapytałam:

- Dlaczego kradłeś te rzeczy?
- Nie wiem – odparł po chwili milczenia.
- Wiesz, że to niedobrze? – zapytałam.
- Tak – odpowiedział, wciąż wpatrzony w podłogę.
- I co proponujesz w tej sytuacji?
- Nie wiem – powtórzył.

W tle słychać było jego rodziców, którzy, zdaje się, wydzielali sobie herbatę i wodę. Pomyślałam, że to dla mnie za trudne. Nie dam rady. Za trudna była dla mnie ta sprawa, niczym

dla mało doświadczonego mediatora, nie wiedziałam, jak się z tym zmierzyć. Czułam tak wielką bezradność, że kiedy państwo X przynieśli mi napoje, na pytanie, czy słodzę, odpowiedziałam:

– Nie wiem...

*

Kiedy pojawiłam się w sądzie, trzymając w garści ugodę sporządzoną dla państwa X, czułam się, jakbym dźwigała na plecach sto lat doświadczeń. Wkroczyłam do sekretariatu i położyłam podpisany egzemplarz na blacie.

– Niemożliwe! Pogodzili się?! – krzyknęła sekretarka, pani Marysia. – Jak pani tego dokonała?!

– Przekonałam ich, że tak będzie lepiej – odpowiedziałam wymijająco.

Nie mogłam przecież ujawnić, że nakrzyczałam na nich, gdy szarpali się nade mną z cukiernicą. Cukier wysypali mi na głowę, a wtedy straciłam panowanie nad sobą. Pierwszy i – jak dotąd – ostatni raz w swojej karierze mediatora. Wykrzyczałam im, że albo natychmiast przestaną, albo podrapię ich po twarzy. Podziałało. Postanowili udać się na terapię małżeńską, Dawid został przeniesiony do innej szkoły i zaczął pracować z psychologiem. Jakiś czas później dowiedziałam się, że wycofali sprawę o rozwód.

W środku tygodnia zgłosiła się do mnie dyrektor gimnazjum. Spodobałam się jako mediatorka. Chodziło o powtarzające się sytuacje, w których chłopcy w dość obcesowy sposób zaczepiali dziewczęta, te zaś reagowały różnie, raz przychylnie, raz nie. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że od czasu do czasu dochodziło w szkole do ostrych sporów, a nawet bijatyk. Przyczyna była zawsze ta sama: konflikt między płciami. Nie pomagały rozmowy z pedagogiem ani z psychologiem szkolnym. Nie pomagały prośby i wezwania kierowane do rodziców podczas zebrań. Wydawało się, że chyba przyjdzie pogodzić się z zaistniałą sytuacją jako znakiem zmieniających się czasów, gdyby nie sprawa balu gimnazjalnego. I to stało się przedmiotem mediacji. Nie sam bal, rzecz jasna, ale wszystko, co wydarzyło się wcześniej i później. Jednakże, jak to zwykle bywa, najpierw otrzymałam wiedzę na temat samego wydarzenia, co w małym stopniu posunęło nas do przodu.

Termin balu został ogłoszony z dużym wyprzedzeniem. Tym razem, dzięki wsparciu jednego z rodziców, miał to być bal z prawdziwego zdarzenia, a nie tylko szkolna dyskoteka. Nic więc dziwnego, że dziewczęta rozprawiwały podczas przerw – i nie tylko – o kreacjach, fryzurach, makijażach, a chłopcy lustrowali swoje koleżanki, przekomarzając się z nimi, czy którąś zaproszą, czy nie. Wiadomo było, że na koniec zabawy zostanie ogłoszony plebiscyt na króla i królową balu oraz najsympatyczniejszą parę. Przewidziano nagrody.

Ku uciesze grona pedagogicznego udało się skupić uwagę uczniów na tym przedsięwzięciu i zachowania chłopców i dziewcząt stały się znów przewidywalne. Chłopcy zabiegali o względy tych bardziej lubianych i uważanych za atrakcyjne koleżanek, one zaś, podekscytowane niecodziennym traktowaniem, łaskawie okazywały swą przychylność bądź nie.

Wyniki konkursów były do przewidzenia. Mało prawdopodobne wydawało się, żeby królową balu nie została Alicja, uczennica trzeciej B, właścicielka najpiękniejszych oczu i włosów w szkole. Natura nie poskąpiła jej wdzięków i kiedy Alicja sunęła korytarzem, aż firanki falowały od westchnień, i tych rozmarzonych, i tych pełnych zazdrości. Żadna dziewczynka w szkole nie śmiała się z nią konkurować. Alicja była najpiękniejsza, i już.

Co do króla balu, sprawa nie była tak oczywista. Owszem, przystojniaków w szkole nie brakowało, jednak jakąś niepisaną zasadą stało się, że królem balu zostawał partner królowej. Zatem wszystko zależało od Alicji, bo ten, którego ona wybierze, zdobędzie koronę.

Plebiscyt na najsympatyczniejszą parę był jedynym konkursem, kiedy wszyscy głosowali naprawdę szczerze, i zdarzało się w latach ubiegłych, że to zaszczytne miano trafiało do pary najlepiej tańczącej lub rzeczywiście najmilszej. W zeszłym roku konkurencję wygrali... pani woźna i pan od wufu.

Na niespełna tydzień przed bale do szkoły przybył nowy uczeń. Jego rodzice, dyplomaci, zostali oddelegowani do pracy w kraju. Borys, bo tak miał na imię, wszedł w poniedziałek do klasy krokiem zdecydowanym i pewnie usiadł w ławce na wolnym miejscu. W ciągu pierwszego dnia zachwycił nauczycieli elokwencją i wiedzą, dziewczęta szarmanckim zachowaniem i niespotykaną w tej szkole kindersztubą, chłopców siłą i pewnością siebie. Kto żyw, chciał mieć w Borysie przyjaciela.

Następnego dnia zawisło w powietrzu pytanie: kogo Borys zaprosi na bal? Odpowiedź nasuwała się sama: Alicję! Ale Borys zdawał się nie dostrzegać wdzięków pięknej koleżanki. W dziewczętach zrodziła się więc nadzieja. Borys zaprosił na bal koleżankę z klasy. Niejaką Marysię, z piegami na twarzy, tę, obok której zajął miejsce pierwszego dnia, która pożyczyła mu książki i oprowadziła po szkole. Marysię, nie Alicję.

Stało się. Alicja też wybrała sobie partnera, wszystko zatem powinno potoczyć się wedle scenariusza: ona – królowa balu, jej towarzysz – król balu, jacyś dwoje – najsympatyczniejszą parą. Stało się jednak inaczej. Jednogłośnie oba tytuły zdobyli Borys i Marysia. Alicja demonstracyjnie opuściła szkołę, na przemian krzycząc, tupiąc, szlochając i okładając pięściami swojego towarzysza, który posłusznie podreptał za nią.

Następnego dnia Marysia znalazła swoje rzeczy z szafki poszarpane na kawałki. Na jej miejscu w ławce leżała zdechła ryba, na portalu społecznościowym ktoś umieścił zniekształcone podobizny Marysi opatrzone obraźliwym komentarzem. Nagonka na nią stała się tak przykra, że dziewczyna przestała chodzić do szkoły. W klasie uformowały się trzy stronnictwa: obrońców Marysi, przeciwników Marysi oraz tych, którzy za nikim się nie opowiadali, ale protestowali tak ogólnie, przeciw wszystkiemu. Rozmowy podczas godzin wychowawczych nie przynosiły pożądanego rezultatu i nie wyciszały emocji. Napięcie rosło. Gdy pojawiły się oskarżenia, że to Alicja jest sprawczynią całego zamieszania, do konfliktu wmieszali się rodzice. Wkrótce byli już skłócenii wszyscy ze wszystkimi.

Zorganizowałam więc oddzielne spotkanie z dyrekcją i pedagogiem szkolnym, oddzielne z nauczycielami, oddzielne z rodzicami i oddzielne z uczniami. A wówczas okazało się, że nie o Alicję i bal chodzi. Sprawa miała drugie dno!

Tajemnicę tego konfliktu udało się wyjaśnić dzięki fragmentowi wypowiedzi usłyszanemu od rodziców podczas spotkania. Wszystko zaczęło się znacznie wcześniej, jeszcze na jesieni...

Dwie matki spotkały się u fryzjera. Nie wiadomo skąd ani dlaczego w pewnym momencie zaczęły rozmawiać na temat tego, co ostatnio dzieje się na lekcjach informatyki w szkole ich dzieci.

– Mój syn wrócił wczoraj z naderwanym uchem! – powiedziała jedna. – Krew mu leciała. Poszłam z nim do lekarza i on powiedział, że to musiało być mocne szarpnięcie! Podobno pani od informatyki stosuje takie metody wychowawcze!

– Tak, tak, słyszałam – odpowiedziała druga matka. – Monika, mama Julki, mówiła mi, że pani często stosuje kary cielesne. Nawet bije po twarzy!

– To niesłychane! – oświadczyła pierwsza matka. – Jak tak można? Coś z tym trzeba zrobić!

– Nauczyciele teraz nie potrafią wychowywać dzieci inaczej, jak tylko zastraszaniem albo w ogóle im nie zależy i machają ręką – dołączyła do rozmowy fryzjerka.

– Ale co to za metody?! Dzieci bić? To nie umie sobie z nimi poradzić? I ona jest pedagogiem?!

– Wprawdzie teraz dzieciaki to są takie przykre i rozwydrzone, że trudno się dziwić nauczycielom – kontynuowała fryzjerka, a nożyczki śmigały w jej ręku. – Ja bym chyba nie wytrzymała. Na przerwach wrzeszczą, podczas lekcji stale trzeba komuś zwracać uwagę, gardło zdarte. Kiedyś to nauczyciel miał posłuch, respekt, a teraz?

– Ale od tego jest pedagogiem, żeby wiedziała, jak sobie poradzić! – nie ustępowała matka, którą strzyżono. – Do dziecka trzeba umieć dotrzeć! Zająć je, zainteresować, być autorytetem! Jak można budować autorytet, ciągnąc za ucho lub bijąc po twarzy?!

– Święta racja. Teraz ci nauczyciele są tacy bezradni! – potwierdziła matka z farbą na głowie.

– A jak było wcześniej? – Wzruszyła ramionami fryzjerka. – Co? Nie stało się w kącie? Nie obrywało linijką po ręku? Nie siedziało po lekcjach za karę? Po prostu nic się nie zmieniło. Niby czasy lepsze, a ciągle to samo. Tylko dzieciaki robią, co chcą. Kiedyś jednak bardziej się słuchały!

– No co pani?! – Strzyżona klientka odwróciła się gwałtownie i spory kosmyk włosów spadł na ziemię. – Tyle tych kursów kończą i nic nie potrafią! To do łopaty niech się wezmą, a nie za bicie dzieci! Nie pasuje, znajdują się inni!

– Myśli pani, że takie tłumy się pchają do szkół? – odezwała się pani z farbą. – Za te grosze?

– Grosze nie grosze, krzywda im się nie dzieje! – nakręcała się strzyżona matka. – Tyle wolnego mają co nikt! I jeszcze emerytury wcześniejsze! Sama chciałabym tak mieć.

Panie się rozeszły, a sprawa została. Była, rosła, można powiedzieć, pęczniała. Spęczniała do takich rozmiarów, że aż pękła. W trakcie rozmów dyrektora z pracownikami szkoły i rodzicami okazało się, że po jednej stronie występuje nauczycielka informatyki, oskarżana przez uczniów i ich rodziców o stosowanie przemocy fizycznej i psychicznej na lekcjach, szykany i brak kompetencji, i broniące jej jak lwice nauczycielki.

Drugą stronę konfliktu tworzyli uczniowie i ich rodzice. Niezwykle wojowniczo nastawieni, żądni bez mała krwi. Przedstawiana przez nich argumentacja i postulaty przywoływały na myśl średniowieczny pręgierz i kata z toporem. Rodzice żądali bowiem natychmiastowego zwolnienia z pracy pani od informatyki. Nie widzieli możliwości porozumienia się z nią. Jeśli tak się nie stanie, grozili złożeniem doniesienia na policję i skargą do kuratorium oświaty. Ich dzieci zaczęły też bojkotować informatykę.

Być może odejście na emeryturę pani od informatyki byłoby najlepszym rozwiązaniem w tej sytuacji, ale nauczycielka nie chciała o tym słyszeć. Była wdową, zarobki miała wyższe niż świadczenie emerytalne, poza tym chciała wychodzić do ludzi. Zdawała sobie przy tym sprawę, że nie nadaża za nowinkami i dzieci się z tego śmieją. A nie mogła pozwolić, żeby młodzież była niesubordynowana. W szkole dyscyplina według niej była mocno rozluźniona, co przeszkadzało w nauczaniu. Nauczyciel powinien być szanowany, bez względu na to, jak i czego uczy. A dzieci i ich rodzice nie mieli żadnego szacunku dla zasad.

Dyrektor szkoły nie chciała zwalniać nauczycielki, bo zrobiłby się w środku roku wakat na stanowisku. Jeśli natomiast dzieci będą bojkotować lekcje, nie będą klasyfikowane, co grozi nieotrzymaniem promocji. Ponadto nie można zwolnić nauczyciela z dnia na dzień bez poważnej przyczyny, a rodzice nie złożyli oficjalnej skargi.

Zasugerowano więc pani od informatyki kilka dni zwolnienia lekarskiego, aby wyciszyć napiętą atmosferę w szkole. Spokój jednak nie trwał długo. Tuż przed świętami rodzice jednej z uczennic złożyli skargę na nauczycielkę biologii, a zaraz potem inni na matematyka. Zarzuty

były podobne; nauczyciel się uwziął, gnębi dzieci, stosuje wobec nich szykany i źle je traktuje. Bliskość przerwy świątecznej spowodowała, że dyrektor jedynie spotkała się z rodzicami, wysłuchała, co mają oni do powiedzenia, i obiecała podjąć działania w styczniu. A na styczeń zaplanowano bal karnawałowy. Pan od matematyki był odpowiedzialny za przygotowanie oprawy muzycznej i współpracował w tej sprawie z jednym z rodziców. Dyrektor postanowiła więc jeszcze czekać z decyzjami.

Burza, która rozpełtała się po balu, połączyła wszystkie konflikty. Spora grupka rodziców zjednoczyła się przeciwko gronu nauczycielskiemu, żądając wyrzucenia z pracy przynajmniej trzech osób.

Postanowiłam zgłębić temat szykan i złego traktowania uczniów przez nauczycieli. Spotkałam się z pokrzywdzonymi, z każdym z osobna, i ku mojemu zdziwieniu prezentowali różne wersje tych samych wydarzeń. Co więcej, rodzice uczestniczyli w każdym spotkaniu ze mną, nie godząc się na to, by dzieci same mówiły, jak było.

Wkrótce i ja stałam się *persona non grata* dla rodziców. Moja dociekliwość została potraktowana jako złe nastawienie do dzieci, podyktowane stronniczością. Rodzice stanowczo odmówili uczestniczenia w mediacji z moim udziałem, żądając natychmiastowego wprowadzenia w życie ich postulatów. Znaleźli się w tej grupie także rodzice Alicji.

Kilka miesięcy później dowiedziałam się, że policja ustaliła, iż autorką przykrych wpisów internetowych była starsza siostra Alicji. Pani od informatyki została przeniesiona do biblioteki i tam pracuje. Pan od matematyki odszedł z tej szkoły i zatrudnił się w innej. Jego miejsce zajęła młoda, ale bardzo surowa nauczycielka. Skargi na nią posypały się od pierwszego dnia, lecz wizytator z kuratorium oświaty nie dopatrzył się uchybień. Wkrótce grupka protestujących rodziców zmalała do sześciu osób, a jednego ucznia nie promowano do następnej klasy z innych przedmiotów. Rodzice zabrali go do innej szkoły.

Borys nadal przyjaźni się z Marysią, a Alicja nadal knuje i intryguje. Pani dyrektor wciąż jest na stanowisku, pani od biologii zaś odeszła na urlop macierzyński. Do tych uczniów już nie wróci. Tak to już czasem jest, że mediator nie pomoże, a samo życie rozwiąże wszystkie sprawy.

Ten skomplikowany przypadek sprawił, że straciłam rachubę czasu. Skupiona na absorbującej pracy nie zastanawiałam się, dlaczego detektyw nie dzwoni, co oznacza milczenie moich rodziców, których dawno nie widziałam, a tęsknota za dziećmi lekko przygasła. Nawet kontakty z Betką ograniczyły się do krótkich, zwięzłych komunikatów, gdy mijałyśmy się w biurze. Zupełnie zapomniałam o Zbyszku. Jedynie Robert zagościł w moim życiu na dobre. Ze względu na ilość pracy komunikacja między nami odbywała się jednak za pomocą esemesów i rozmów telefonicznych, ale bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

*

Tego dnia przyjechałam do biura nieco później niż zwykle. Na klatce schodowej zastałam dużą grupę ludzi, głównie mężczyzn, którzy głośno rozprawiali na temat jakiejś Mariolki. Zastanowiłam się chwilę, ale nie mogłam sobie przypomnieć, by Betka miała dziś prowadzić mediację w tak licznym gronie.

Z trudem przepchnęłam się do biura, gdzie przyjaciółka zgrzytała zębami ze złości. Okazało się, że tłum zbierał się od rana.

– To okropne, że psychiatra się wyprowadził. Te szkolenia na górze nie pozwalają spokojnie pracować! – piekliła się Betka. – Wyobraź sobie, że wczoraj kilku mi tu weszło w trakcie spotkania i jak zwykle zażądali przedłużania. Klienci się spłoszyli, bo jeden z intruzów jeszcze sobie żartował, że chciałby trzykrotnie przedłużyć. Musiałam zamknąć się na klucz!

– Niedobrze – zmartwiłam się. – Za chwilę przyjdą moi klienci. Jak tak dalej pójdzie, to

będziemy musiały poszukać sobie lokalu.

– Szkoda by było, bo stąd jest wszędzie blisko, wygodnie można dojechać i w ogóle fajnie – wyliczała Betka. – Przez tych z góry tak jest.

– To może się jakoś z nimi dogadamy? – zaproponowałam.

Betka zamachała ręką i pokiwała głową.

– Nic z tego. Już gadałam z ich szefem, ale mi powiedział, że możemy się wyprowadzić, jak nam nie pasuje. Oni z chęcią przejmą także nasze biuro.

Jak na zawołanie, do naszego biura wszedł mężczyzna, a za nim kilku następnych. Zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, pierwszy usiadł na krześle przede mną i przyjął pozycję wyczekiwania.

– Pan sobie życzy? – zwróciłam się do niego, bo milczał.

Facet patrzył na mnie jak na jedzenie.

– Pani będzie z nami robiła to sztuczne oddychanie? – zapytał.

– Co proszę? – zdumiałam się, a Betka parsknęła.

– No usta-usta – wyjaśnił. – Która z pań to Mariolka? Bo mamy ćwiczyć z jakąś Mariolką. Oddychanie i to, no, dmuchanie...

– Co macie robić z Mariolką?! – dopytywała się Betka, a ja wiedziałam, że za chwilę zrobi się gorąco.

– No, dmuchać ją czy jakoś tak. Każdy po dwa razy – wyjaśnił ten, który siedział, a pozostali przytaknęli.

Betka w jednej chwili poderwała się z krzesła, złapała go za ubranie i popchnęła w kierunku drzwi. Mężczyzna zmuszony był iść tyłem, w dodatku podduszany przez rozwścieczoną Betkę. Ona go pchała, a on machał rękoma, jakby chciał się czegoś złapać, i coś charczał.

– Ja ci dam Mariolkę, świntuchu! – syczała Betka. – Ja ci dam dmuchanie dwa razy każdy! Ja ci dam usta-usta!

Mężczyźni rozstąpili się. Przyjaciółka wywlokła nieszczęśnika na klatkę schodową i tam porzuciła.

– No to macie swoją Mariolkę! – dodała na zakończenie i wróciła do biura.

Patrzyłam na nią z podziwem. Reszta chętnych na dmuchanie Mariolki znikła jak kamfora. Koleżanka sięgnęła po torebkę i ruszyła do drzwi.

– Zamknij się na klucz – zwróciła się do mnie na odchodnym. – Oni lęgną się na poczekaniu, jak muszki owocówki. Idę na taniec i potem na basen. Cześć pracy.

Pomachałam jej na pożegnanie i po chwili witałam moją parę do mediacji. Zanim usiedli, jeszcze raz ktoś zapytał o Mariolkę.

Pan był bardzo spięty i zdenerwowany. Pani przeciwnie, pewna siebie i bezczelnie przebojowa. Łączyło ich to, że nie mogli na siebie patrzeć od jakiegoś mniej więcej roku. Historia, która powiązała ich na zawsze, była równie banalna, co smutna. Poznali się na dyskotecce, wpadła mu w oko, ładna, drobna brunetka z zadziorem w oku i pieprzykiem na policzku. On jej zaimponował tym, że był dojrzały, zarabiał, kupił mieszkanie na kredyt, zrobił prawo jazdy. Ona dopiero zdała maturę.

Mieszkali niedaleko siebie, więc zaczęły się częste spotkania, potem wspólny wyjazd i ciąża. Niewyczekiwana i niechciana przyczyna wzajemnych pretensji i nienawiści. Kamila i Bartek byli parą dzieciaków, które – każde na swój sposób – chciało pokazać, że już jest dorosłe. Gdy potwierdziłam kiwnięciem głowy, że pełnię funkcję mediatora, bez zbędnych wstępów wkroczyli do środka i przystąpili do rzeczy. Nie zdążyłam nawet wygłosić swojego początkowego monologu.

– Marysia ma roczek i nie wyobrażam sobie, żebyś ją zabierał gdzieś daleko, ja muszę mieć ją stale w polu widzenia – oświadczyła Kamila i wydeła pomalowane na fioletowo usta.

Przyglądałam jej się chwilę. „Gdyby nałożyła mniej tuszu na rzęsy, to byłoby widać, jakie ma piękne oczy. A może te rzęsy są sztuczne, bo takie gęste?” – złapałam się na tym, że nieprofesjonalnie rozpoczynam mediację od oceny wyglądu klientki. No dobrze, żeby było sprawiedliwie, to on mógłby trochę schudnąć, bo zapięcie koszuli na brzuchu mu się rozłazi.

– To jest moja córka i chcę ją widywać! – Bartek był bardzo porywczy. Najprostszy komunikat wykrzykiwał, zamiast wypowiadać, i sporo czasu upłynęło, zanim to zrozumiał. – Nie chcę jej daleko zabierać, przecież mieszkam dwa domy dalej!

– W twoim domu jest brudno i zimno – kontynuowała Kamila, eksponując fioletowe paznokcie, których mogłaby używać zamiast łyżeczki.

– O czym ty, do cholery, mówisz?! – nie wytrzymał Bartek. Na jego miejscu pewnie też bym nie wytrzymała, ale mediator musi znieść wszystko. – U mnie jest brudno?! Moja mama jest pielęgniarką! U mnie w domu można jeść z podłogi!

– Nie dam ci dziecka, i już! – upierała się Kamila. – To była wpadka, rozumiesz? Chcę o tobie zapomnieć, kocham Marysię i znajdę jej odpowiedniego tatę.

Taka informacja byka by powaliła. Westchnęłam, bo zapowiadała się ciężka jazda z tą parą. Czy mediator może współczuć, czy może okazać wsparcie emocjonalne, czy może zrugać drugą stronę, że jest okrutna i zła? Nie powinien. Neutralność oznacza brak okazywania ludzkich cech podczas mediacji.

– Pani Kamilo – zaczęłam łagodnie – dziecko to nie pies, nie można mu znaleźć, ot tak, fajnego opiekuna, bo dotychczasowy się nie podoba. W życiu podejmujemy różne decyzje i ponosimy z tego tytułu konsekwencje. Rozumiem, że macierzyństwo pokrzyżowało pani plany, ale czasu nie da się cofnąć. Trzeba lepić z tego, co życie dało. Pan Bartek jest ojcem i ma prawo widywać się z córką. Proponuję, abyście ustalili wymiar i charakter tych spotkań.

Kamila gwałtownie się ku mnie pochyliła. Zabrzęczały kolczyki w jej uszach, wisiorki na szyi i bransoletki na nadgarstkach, o suwakach w kurtce nie wspominając.

– To ja już nie mam prawa do własnego życia?! Ja się już nie liczę?! Mnie nikt nie pyta, czego ja chcę!

Bartek siedział z pochyloną głową, jasna marynarka nosiła ślady łez. Kiedy zaczął płakać?

– Pani życie i pani potrzeby są ważne, jak życie i potrzeby każdego człowieka. Jednakże pani sytuacja jest inna niż małego dziecka, które nie może upomnieć się o swoje. A Marysia ma prawo do utrzymywania kontaktu z obojgiem rodziców, na ile to możliwe, bo każdy ma prawo do tożsamości. Pan Bartek nie urodził Marysi, ale ani prawo, ani obyczaj, ani filozofia nie umieszczają go z tego powodu na gorszej pozycji niż panią. Jest ojcem i tego nie może pani zmienić.

– Znajdę Marysi lepszego ojca! – nie ustępowała Kamila.

– A jakimi kryteriami będzie się pani kierować? Wzrostem? Majątkiem? Urodą? Wykształceniem? Poczuciem humoru? Pochodzeniem?

– Nie wiem jeszcze – odparła rozbrajająco Kamila. – Ale i tak będzie lepszy niż on. – Tu wskazała pogardliwie na Bartka. – Każdy będzie lepszy niż on! – powtórzyła.

– Dlaczego pani tak uważa? – Pomyślałam, że mogłabym tak podsunąć jej suwak od kurtki pod samo gardło i przytrzymać...

– Bo to frajer i mięczak! – wypaliła Kamila. – Desperat. Nawet nie sprawdził, czy dziecko jest na pewno jego! Co to za mężczyzna?!

– Uznałem Marysię i uważam ją za swoją córkę, reszta się nie liczy – powiedział

milczący dotąd Bartek. – Mnie dziecko też zaskoczyło, bo chciałem się najpierw ustawić w życiu. Ale nieważne. Jak chcesz, to weźmiemy ślub, mam mieszkanie, nie musimy mieszkać ani z moją mamą, ani z twoimi rodzicami. Możesz iść na studia, ja na nas zarobię. Jedyne, czego chciałem, to żebyś mnie kochała, tylko tyle!

Kamila roześmiała się szeroko.

– Pani Kamilo, sąd i tak kontakty ustali, może więc byłoby dla pani wygodniej wskazać dogodne dla siebie terminy, zamiast później dopasowywać się do narzuconych? – zasugerowałam, ale Kamila zajęta była przeglądaniem poczty w telefonie, więc minęło kilka chwil, zanim odpowiedziała.

– Nie wiem, muszę się zastanowić.

W ciągu kolejnych dni spotkaliśmy się trzy razy i ustalając potencjalne terminy wizyt, przebrnęliśmy przez wszystkie dni tygodnia i wszystkie godziny popołudniowe. Żadna opcja nie była dobra, Kamili pasowało wyłącznie przed południem, co dla Bartka oznaczało konieczność zwalniania się z pracy. W dość obcesowy sposób poinformował o tym nas obie. Gdy przypominałam, że gdy sprawa trafi do sądu, to nie będzie bawił się w szukanie terminów, tylko wybierze pierwszy lepszy, Kamila trochę zmiękła.

– Dobrze, niech będzie co drugi weekend i co druga środa, ale musisz mi płacić wyższe alimenty!

– Przecież daję ci co miesiąc tysiąc złotych!

– To za mało! Chcę trzy tysiące! W przeciwnym wypadku nie zobaczysz córki!

Bywa, że mediator traci nadzieję na pozytywne zakończenie sprawy. Co wtedy? Z pomocą przychodzi natchnienie.

– Czy podpisze pani oświadczenie, że jeśli pan Bartek zobowiąże się do płacenia pani co miesiąc trzech tysięcy złotych, to pani zgodzi się, aby widywał się z dzieckiem w nieograniczonym wymiarze?

Kamila przez chwilę patrzyła czujnie, ale widać wizja ułożonych w kupki banknotów szybko do niej przemówiła, bo odpowiedziała:

– Nieograniczonym? To za pięć tysięcy!

Sąd zatwierdził spisana ugodę, z pominięciem części treści, którą uznał nie tylko za niezgodną z prawem, ale też skandaliczną i dającą wiele do myślenia. Uratowało mnie to, że przeprowadziłam pomyślnie trudną sprawę państwa X. Ryzykowałam posądzenie o nierzetelność. Sąd umiał jednak czytać między wierszami i przydzielił młodej matce kuratora rodzinnego. Kwota alimentów została ustalona na poziomie pięciuset złotych miesięcznie.

Gdy młodzi wyszli z mojego biura, pomyślałam, że po smutnej zimie nastąpiła radosna wiosna. Wróciły wspomnienia niechcianych niegdyś chwil spędzanych z moimi dziewczynkami na placu zabaw lub podczas spaceru. Przypominałam sobie, jak bardzo chciało mi się spać po godzinnej wędrówce wzdłuż Wisły, a moje dzieci regenerował krótki postój przy budce z goframi. Gdzie teraz były? Czy ktoś kupował im gofry? Przechadzał się z nimi po parkowych alejkach? Detektyw jakby zapadł się pod ziemię. Nie odbierał telefonu i nie oddzwaniał. Robert uspokajał mnie, że praca wywiadowcza trwa, ale stopniowo traciłam nadzieję, że kiedykolwiek odzyskam dzieci. Sąd zdążył jedynie wyznaczyć termin rozprawy na maj. Cóż mogłam zrobić więcej? Betka promieniała, bo związek z Maciejem rozwijał się wzorcowo, nie wiedziałam tylko, co dzieje się ze Zbyszkim, bo nie odbierał telefonów ani nie reagował na esemesy.

*

Zbyszek kręcił się po skwerku. Ubrany w kominiarski mundur zwracał na siebie uwagę. Zazwyczaj sprawiało mu to przyjemność, bo ludzie uśmiechali się do niego, szybko łapali za

guzik, swój lub cudzy, i rozglądali za mężczyzną w okularach, ewentualnie zakonnica z torbą. Tylko taka kombinacja mogła zapewnić im powodzenie i ziszczenie się marzenia, o którym pomyśleli, widząc kominiarza.

Tym razem jednak Zbyszek nie chciał przynosić szczęścia nikomu, tylko sobie. Czekał na Mariannę. Tak bardzo zależało mu, żeby pojawić się w umówionym miejscu punktualnie, że nie zdążył się przebrać. Zaprosił ją do kina. Postanowił, że wreszcie nadszedł czas, by ujawnić swoje zamiary, i zaplanował oprócz seansu romantyczną kolację i spacer przy świetle księżyca. O księżyc trochę się niepokoił, na niebie bowiem zaczynały zbierać się deszczowe chmury, ale w razie czego pozostawał alternatywny wariant w postaci udania się do niego.

Marianna nie nadchodziła, cenny czas płynął, chmury się zbierały, a Zbyszek czekał.

– Pan jest wolny? – zapytał nadchodzący przechodzień.

Zbyszek nie wiedział, co odpowiedzieć. Poniekąd był wolny, zwłaszcza prywatnie.

– O co panu chodzi? – zapytał podejrzliwie i na wszelki wypadek odsunął się dwa kroki.

Mężczyzna podszedł do Zbyszka i złapał go za ramię.

– Panie, nareszcie kominiarzy widać na ulicy! Jakie to wygodne! – wykrzykiwał i szarpał się ze Zbyszkiem, który usiłował uwolnić rękę. – Chodź pan ze mną!

– Pan oszalał czy co?! – protestował Zbyszek. – Puść pan, do cholery!

– Ja bardzo potrzebuję kominiarza, teraz, natychmiast! – nie ustępował przechodzień. – Pan musi iść ze mną!

– Panie, bo policję zawołałam! – szarpał się Zbyszek. – Ludzie! Wariat!

Przechodnie przemykali bokiem, zerkając w kierunku miotających się na skwerku mężczyzn. Niektórzy zatrzymywali się, żeby popatrzeć, i komentowali zdarzenie w rozmaity sposób. Jedni żartowali, że kominiarza łapie się za guzik, a nie rękaw, inni, że to świetny pomysł zabrać kominiarza do domu i pozwolić całej rodzinie skorzystać z napotkanego szczęścia. Zbyszek był coraz bardziej zdenerwowany, bo napastnik złapał go teraz pod pachy i próbował podnieść. Niezbyt miła perspektywa zabrania go do domu jak paczki uruchomiła w kominiarzu dodatkowe siły. Spiął się w sobie i prawie nadludzkim wysiłkiem przechylił wraz z agresorem do przodu. Zamierzał przerzucić mężczyznę przed siebie i w tej pozycji unieszkodliwić. Napastnik zorientował się prawdopodobnie w sytuacji, bo uczeplił się Zbyszka kolanami. Obaj charczeli i sapali z wysiłku. Z daleka wyglądało to na walkę zapaśniczą.

– Co tu się dzieje? – zapytała niezmiernie zdumiona Marianna, gdy zobaczyła swojego pryncypała czerwonego ze zmęczenia, który szarpał się z jakimś facetem. Mundur przekręcił mu się niemalże o sto osiemdziesiąt stopni, dwa guziki się urwały, a jeden wisiał na włosku. – Zbyszku, dlaczego bijesz się z tym panem?!

– Nie... to on... zaraz... – wybełkotał Zbyszek. Mocne pchnięcie uwolniło go od napastnika i zarazem pozbawiło rękawa munduru. – Przyczepił się jakiś...

– Kominiarza... muszę... potrzebuję... – sapał mężczyzna, który upadł na chodnik i chyba stłukł sobie łokieć. – Bardzo...

Marianna otrzepała mundur Zbyszka i podeszła do leżącego mężczyzny.

– Nic panu nie jest? Co tu się stało, na litość boską?

Mężczyzna podniósł się i trzymając za obolały łokieć, dość chaotycznie wyjaśnił, że potrzebuje pomocy kominiarza. Dwukrotnie już umawiał się na oględziny komina, ale za pierwszym razem kominiarz nie przyszedł, a za drugim pojawił się, ale kompletnie pijany. On zaś nie może użytkować garażu, w którym założył warsztat stolarski, ponieważ podejrzewa, że sąsiad złośliwie zatkał mu komin wentylacyjny. Musi ogrzewać pomieszczenie za pomocą gazowego piecyka.

– To nie mogłeś porozmawiać z panem, tylko musiałeś się szarpać? – zwróciła się do

Zbyszka Marianna. – Dlaczego jesteś taki agresywny?

– Przecież to nie ja zacząłem! – chciał bronić się Zbyszek, ale dziewczyna gniewnie pokręciła głową. – Gdzie pan ma ten warsztat? Zaraz pojedziemy. Tak się składa, że ja też jestem mistrzem kominiarskim!

– O matko! – rozpromienił się mężczyzna. – Z nieba mi pani spadła! To niedaleko, zaraz za rogim. Jak zobaczyłem przez okno pana w mundurze, to pomyślałem, że zamówiony kominiarz nie może trafić. Ależ radość, wreszcie ktoś mi pomoże!

– Ty idź do domu i ogarnij się! – zakomenderowała Marianna. – W takim stanie tylko wstyd przynosisz naszej profesji. Ja pójdę.

Niepocieszony Zbyszek popatrzył spode łba na oddalającą się dziewczynę, która troskliwie podtrzymywała mężczyznę za łokieć.

– Żebyś szczeł w tym swoim warsztacie! – syknął kominiarz. – Żeby ci wszystkie deski się porozsychały, żeby drzazga wlaźła ci do palucha!

Splunął, odwrócił się energicznie i z impetem uderzył czołem w skrzynkę pocztową, która wisiała na słupie. W tej chwili zadzwonił telefon. Zbyszek wyszarpnął go z kieszeni i z całej siły cisnął przed siebie. Trafił w szczelinę w kratce ściekowej. Telefon z pluśnięciem zniknął w czeluściach kanalizacji.

– Psiakrew, to już trzeci! – Tupnął nogą kominiarz i odszedł z pochyloną głową.

*

Gdy przyszedłam rano do biura, zastałam panią Stefanię. Nie widziałam jej od dawna. Do mediacji w sprawie ustalenia kontaktów z wnukiem w końcu nie doszło. Bogdan Krywicz nie stawiał się na umówione spotkanie, nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na esemesy, które do niego wysyłałam. Niedługo potem zamilkła także pani Stefania, a ja zapomniałam o sprawie.

Teraz starsza pani czekała na mnie, wyraźnie zdenerwowana. Betka taktownie wysłała coś na poczcie.

– Proszę pani, ja się tak martwię – zaczęła pani Stefania. – Nie wiem, co tam się dzieje. Wnuk mnie unika, zięć groził. Zgłosiłam na policji, że córce dzieje się krzywda, ale umorzyli sprawę, bo podobno opiekun zeznał, że wszystko jest w porządku. Nie mogę wejść do tego domu, nie wiem, co oni ukrywają!

Wysłuchałam tego rozpaczliwego monologu ze smutkiem. Ja mogłam jeszcze mniej. Mediacja zakończyła się, a tak naprawdę nawet na dobre nie zaczęła. Nie miałam siły sprawczej, żeby przymusić Krywicza do czegokolwiek. Po prostu wysłał mi esemesa, że rezygnuje, i musiałam to uszanować. Zamyśliłam się, a w końcu powiedziałam:

– To może niech pani założy sprawę o ubezwłasnowolnienie córki – poradziłam. – Nawet jeśli nie ustanowią pani opiekunem prawnym, to może sąd zbada jej sytuację na tyle, żeby wiedziała pani, co u niej się dzieje.

W panią Stefanię jakby nowe życie wstąpiło. Szybko zapisała sobie, co i gdzie należy załatwić, i z wypiekami na twarzy pożegnała się i wyszła. Zanim wróciła Betka, zatelefonował detektyw.

– Czy możemy się spotkać? – zaproponował bez wstępów. – Mam dla pani kilka ciekawych informacji.

Od razu złapałam torebkę i wypadłam z biura, omal nie wrywając drzwi z futryny. Detektyw czekał w kawiarni niedaleko biura.

– Melduję się. – Podał mi rękę na powitanie i wyciągnął swój notesik. – Odnalazłem pani córki. Obecnie przebywają w Holandii, przewiduję, że najdalej za miesiąc wrócą do pani, całe

i zdrowe.

Wzruszenie na chwilę odebrało mi mowę. Spodziewałam się raczej prognoz, obietnic, zapowiedzi, a tu takie nowiny!

– Jest pan pewien? – zaczęłam bez sensu. – Dlaczego dopiero za miesiąc?

– W tej chwili nie powiem jeszcze wszystkiego, bo większość informacji opiera się na przypuszczeniach – odparł detektyw. – Ale proszę mi wierzyć, mam podstawy sądzić, że tak będzie. Pani były mąż kursuje między Polską a Holandią, a w ciągu ostatniego roku te wycieczki były, można powiedzieć, częste. Dzieci najprawdopodobniej przekroczyły granicę w ostatnim tygodniu lutego i od tamtej pory przebywają w miejscowości Zaanse Schans, niedaleko Amsterdamu. Proponuję poczekać miesiąc. Jeśli moje przewidywania są słuszne, były mąż sam je do pani odwiezie.

Patrzyłam na detektywa i nie mogłam zdecydować, co właściwie czuję. Z jednej strony ogromną radość, że wiem przynajmniej, gdzie są, i że niedługo je zobaczę, z drugiej strony perspektywa miesięcznego oczekiwania wprawiała mnie w rozpacz, choć czas naszej rozłąki był przecież dłuższy. Detektyw nie chciał podać więcej szczegółów, ale zdawałam sobie sprawę, że jego metody pracy nie zawsze są jawne i legalne. Nie pozostawało mi nic innego, tylko się zgodzić.

– A co będzie, jeśli pańskie przewidywania nie potwierdzą się i dzieci nie wrócą? – zapytałam ostrożnie.

– Wtedy zawiadomi pani policję – odpowiedział z kamienną twarzą. – Jest jeszcze drugi wątek, czyli dotyczący działalności pani byłego męża. Dużo bardziej skomplikowany, ale muszę uprzedzić, że jeśli dokopię się do sedna i znajdę dowody na poparcie swoich tez, może nie być innego wyjścia, jak zawiadomić prokuraturę.

Było mi to obojętne. Cezary był dorosłym człowiekiem, bałam się wyłącznie o dzieci.

– Oczywiście, rozumiem – powiedziałam bez wahania.

– I jeszcze jedno – detektyw zaczął przeciągać słowa. – Ten pan Kostrzycki... Pani znajoma dobrze go zna?

– Myślę, że bardzo dobrze – oświadczyłam. – Z tego, co wiem, to planują wspólną przyszłość.

– Niech mu się dobrze przyjrzy – poradził detektyw. – Z moich ustaleń wynika, że ten pan jest zamieszany w co nieco. Ponadto jest żonaty.

– O czym pan mówi?! – przestraszyłam się. – Betka jest w nim zakochana po uszy!

– Na razie to poszlaki – zdystansował się detektyw. – A ja nie bawię się we wróżenie, lubię fakty. Tak na przyszłość. Jeśli ten pan zaproponuje pani udział w jakimś biznesie, podróż w interesach lub coś podobnego, to niech pani da mi znać. Natychmiast.

– Coś mi grozi? – zaniepokoiłam się.

Detektyw popatrzył na mnie badawczo.

– Na razie jest pani potrzebna – odparł. – Moim zdaniem to pani jest przyczyną wszystkiego. Ale to są tylko przypuszczenia, a ja lubię fakty. Odmeldowuję się!

Pożegnaliśmy się i wróciłam do biura. Nie wiedziałam, czy mogę rozmawiać o tym, co usłyszałam od detektywa. Betka była jednak moją najlepszą przyjaciółką, więc podzieliłam się z nią dobrą nowiną. Informacje na temat Macieja na razie postanowiłam zatrzymać dla siebie.

– Ciekawe, co ten łajdak znowu nawywijał – powiedziała przyjaciółka ze złością. – Dobrze, że ich nie wywiózł do Tajlandii. Ale o Holandię też bym się martwiła, przecież tam wszystko, co złe, jest legalne!

– Ale mnie pocieszyłaś... – zgłosiłam pretensję. – Widocznie tak będzie najlepiej dla dzieci. Uważasz, że detektyw narażałby ich zdrowie i bezpieczeństwo tylko po to, żeby coś

udowodnić? Moim zdaniem on czeka na dogodny moment, nie rozumiem tylko, co ma znaczyć, że Cezary sam je odwiezie? Będzie go szantażował czy jak?

– Nie wiem i nie podoba mi się to – oświadczyła Betka. – Moim zdaniem powinnaś poszukać dzieci na własną rękę, skoro już wiesz, gdzie są.

– Chętnie bym tak zrobiła, ale boję się, że takie samodzielne działanie może zaszkodzić całej sprawie.

– To rób, co chcesz. Czekaj miesiąc. Ja bym pojechała.

Betka pochyliła się nad papierami. Od jakiegoś czasu stała się bardziej spięta i nerwowa, ale nie było okazji, by o tym porozmawiać. Odnosiłam wrażenie, że nie życzyłaby sobie takiej rozmowy. Wzięłam więc swoje rzeczy i wyszłam bez słowa, bo czekała na klientów.

Tego wieczora nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Robert pełnił nocny dyżur w szpitalu, wysłałam mu tylko krótkiego esemesa, że dzieci się znalazły i najprawdopodobniej wrócą do domu za miesiąc. Odesłał mi uśmiechniętą buźkę, i tyle. W telewizji nic nie przykuło mojej uwagi. Wszystkie programy wydały mi się jednakowo nijakie. Nie mogłam patrzeć na sztuczne, podobne do siebie twarze, wypełnione silikonem, całkowicie pozbawione wyrazu, przyklejone do, wydawałoby się, cudzych korpusów, równie nienaturalnie idealnych. Żarty nie bawiły nawet ich opowiadających. Osoby z mikrofonami w rękę mówiły coś, w czym nie było treści, szybko migały obrazki, żeby widz nie zdołał zaobserwować szczegółów. Przepęniała mnie energia, by działać, coś robić. Rewelacje, które przekazał mi detektyw, nie pozwalały jednak na niczym się skupić. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca w domu. Zgasiłam telewizor i postanowiłam pójść do kina. Sprawdziłam przez internet repertuar, wybrałam film, stwierdziłam, że jeszcze zdążę, i szybko wyszłam.

Przed kinem spotkałam Zbyszka, który przestępował z nogi na nogę.

– Wyglądasz, jakby ci się siusiu chciało! Zbysiu, kopę lat! Gdzie ty się, do licha, podziewałeś! – powiedziałam na powitanie.

Ucieszyłam się na jego widok. Wczoraj wieczorem poprosiłam Roberta, by podjechał pod okna mieszkania Zbyszka. Napisał mi później w esemesie, że w oknach ciemno. Zbyszek z roztargnieniem machnął mi tylko ręką.

– Czekasz na kogoś? – upewniłam się. On przestąpił z nogi na nogę, dokładnie tak, jak robią to pingwiny, i syknął przez zęby. – Na Mariannę, ale chyba nie przyjdzie – mruknął.

– Aha, to nic. Idę na film, bo nie mogę w domu usiedzieć. Dzieci się znalazły! – powiedziałam wesoło.

Zbyszek był wciąż markotny.

– Hej, mam bilety na *Poddanych Pańskich*, może razem pójdziemy? – zaproponował. – Szkoda, żeby się zmarnowało. Naprawdę? Gdzie są? W domu? To co tutaj robisz? Idziesz do kina, wiedząc, że się znalazły?!

– Nie wiem nic więcej ponad to, że są całe i zdrowe i przebywają w Holandii – wyjaśniłam szybko. – Muszę czekać i nosi mnie. Dlatego wyszłam do kina.

– A dlaczego sama?

– Robert ma dyżur. Szykowałam się wprawdzie na *Cuda Joanny*, ale i *Poddani* mogą być.

– *Cudów Joanny* już nie grają, nikt tego nie oglądał!

– Tak? W internecie jest, że grają!

– W internecie dużo jest... – odpowiedział sentencjonalnie Zbyszek.

Weszliśmy do kina. Seans rozpoczął się za pięć minut. Usiedliśmy na swoich miejscach. Szeptem pokrótce opowiedziałam mu, skąd wiem o dzieciach. Wspomniałam też o Macieju. Zbyszek nie zdążył zareagować, bo zaczął się film.

Ku mojemu zdziwieniu, zebrało się całkiem sporo widzów. Może koneserzy polskiego

kina akcji? Po kilkunastu minutach rozpoczęła się projekcja, a kwadrans później Zbyszek spał w najlepsze. Po seansie obudziłam go, delikatnie pukając w ramię. Poderwał się na równe nogi z okrzykiem:

– Ale dlaczego one zginęły?

– Słuszna uwaga – odezwał się ktoś z sali. – Wszystko w tym filmie stało się jasne, z wyjątkiem tej jednej kwestii: dlaczego te dziewczyny, do diabła, zginęły!

Wyszliśmy z kina i pożegnaliśmy się. Zbyszek wymówił się jakimiś obowiązkami w domu i tyle go widziałam. Niemile mnie zaskoczyło, że nie chciał rozmawiać po tak długim niewidzeniu się. Wróciłam więc do domu i pograżyłam się w rozmyślaniach.

Cezary był ulubieńcem mojej matki. Stawiała go nade mną. Pomimo rozvodu jego pozycja nie była zagrożona. Cezary nie przejmował się dziećmi, w sądzie bardziej protestował, gdy orzeciono rozwód z jego winy, niż gdy ustalono mu ograniczone kontakty. W ogóle był zły, że doszło do rozvodu, co rozumiałe, bo ucierpiało męskie ego. Postanowił mi dokuczyć i wiedziony impulsem dokonał nieudanego zamachu. Później postanowił porwać dzieci. Umieścił je gdzieś w Holandii, bo najwyraźniej nie zamierzał się nimi zajmować. Być może matka знаła jego plany, dlatego zaproponowała swoją pomoc podczas sprawy, a później miejsce w domu. Cezary słusznie przewidywał, że dzieci tam nie zostaną i wrócą do mnie, więc namówił ją na podjęcie starań, by pozabawić mnie praw rodzicielskich. Na szczęście nic w tej sprawie nie robili. Można więc uznać, że chodziło mu głównie o dokuczenie mi. Jak dotąd wszystko się zgadzało.

Ale jaką rolę miał w tym Maciej? Dlaczego żonaty mężczyzna obiecywał ślub? Betka nie była aż tak naiwna, żeby dać się zwieść pustym obietnicom, zresztą prawda i tak wkrótce wyszłaby na jaw. I co miały oznaczać słowa, że to o mnie chodzi? O mnie, bo Cezary się mścił na mnie, ale dlaczego aż tak? To człowiek interesu, podobnie jak Maciej, więc skąd pomysł, żeby inwestować czas i wysiłek w samą zemstę? No i najważniejsze. O co chodziło z tym zwracaniem dzieci za miesiąc? Dlaczego akurat za miesiąc?

Zasnęłam skulona w fotelu, a pytania pozostały bez odpowiedzi.

*

– Masz dziś jakieś spotkania? – zapytała z samego rana Betka. – Może gdzieś się wybierzemy? Na przykład na basen. Piękny kwiecień nastał.

– Dlaczego na basen? – zapytałam bez przekonania.

Pogoda zrobiła się już ładna, nadeszła ciepła wiosna, którą łatwo można było pomylić z latem, ale bardziej skłaniała do spacerowania niż pływania. Upały jeszcze nam nie dokuczały.

– Trzeba wyprostować kręgosłup – wyjaśniła Betka. – Od kilku miesięcy pracujemy jak te muły, bez chwili wytchnienia.

– Masz jakieś nowiny ze Zrzeszenia?

– Agnieszka uprzejmie i w tajemnicy doniosła mi, że nastąpiły zmiany i w zarządzie zasiadło kilkoro żółtodziobów. O mediowaniu wiedzą tyle co ja o produkcji betonu, ale występują w charakterze ekspertów i trenerów. A poza tym bez zmian, Gruszka pisze donosy na wszystkich, aż furczy. Podobno tak się w tym zapamiętał, że napisał donos nawet na mediatora w Gdańsku. Po prostu kabaret. A jak twoja sprawa z tymi Pallantami?

– Pallantino – poprawiłam. – Wciąż się nagrywają, z tego, co mi wiadomo. Ostatnio pan Fabio dzwonił do mnie, że małżonka złośliwie gasi mu światło w przedpokoju i nie może jej nagrywać, kiedy zdejmuje płaszcz. Dlaczego oni nie chcą iść na terapię?

– Do szpitala psychiatrycznego powinni pójść, a nie na terapię! – podsumowała Betka. – Ja też mam parę wariatów. Ona nie odzywa się wcale. Podczas ostatniego spotkania miałam ochotę powiedzieć, że włosy jej płoną, bo siedziała sztywna jak manekin. Za to on nawija bez

przecinka. Cały zyciorys swój, jej, swojej bliższej i dalszej rodziny i kilkorga przyjaciół opowiedział mi ze trzy razy. Każde spotkanie zaczyna się i kończy tak samo. Niedługo ja zwariuję. Istny dzień świra!

– To chodźmy na ten basen – zgodziłam się. – Chyba musimy oderwać się na chwilę od roboty, bo oszalejemy.

Betka sięgnęła po torebkę, a ja wkładałam klucze do zamka. Wtedy zadzwonił telefon. Zawsze w takiej sytuacji mam ochotę zatrzasać drzwi i się usprawiedliwić, że telefon zadzwonił, gdy nie było mnie w biurze. Telefony komórkowe niestety pozbawiły nas tej możliwości.

– To Maciej – rzuciła szybko Betka. – Jedzie tu.

Usiadłyśmy więc na swoich miejscach. Obserwowałam koleżankę, w której zaszła nagła zmiana. Betka pojaśniała, rozpromieniła się, ubyło jej lat, stała się nie ta sama. Nie powiedziałam jej o tym, co przekazał detektyw. Uznałam, że w stosownym czasie sama się dowie. Jakkolwiek wzmianka mniej pochlebna na temat Macieja Kostrzyckiego wywoływała w niej wybuch agresji i ogromne protesty.

Pojawił się po kwadransie. Jak zawsze bardzo elegancki, jak zawsze szarmancki. Przyjechał, żeby porozmawiać o pewnej sprawie, w której przydałaby mu się pomoc doświadczonego mediatora – tak to zaanonsował.

– Chodzi o niezwykle delikatną kwestię – rozpoczął bardzo ostrożnie, w swoim stylu. – To raczej sprawa biznesowa. A mianowicie potrzebuję kogoś, kto sprawnie wynegocjuje przesunięcie terminu. Od razu zaznaczam, że nie będzie to łatwe, bo klient jest uparty, a sprawa wyjątkowo delikatna. Dlatego przychodzę z tym do was.

– Oczywiście, kochanie, że ci pomożemy – zareagowała natychmiast Betka. – Zakładam, że termin spotkania jest już ustalony i przyjechałeś tylko po to, by powiedzieć nam kiedy i gdzie.

Maciej uczynił skłon, jakby zapraszał do poloneza.

– Jak ty mnie dobrze znasz – odpowiedział z uśmiechem. – Istotnie, wszystko jest już umówione, potrzebne jest tylko fachowe wsparcie.

– To kiedy te negocjacje? – zainteresowała się Betka.

Nie odzywałam się, bo wydawało się oczywiste, że to ona podejmie się zadania.

– Jutro – oświadczył Maciej. – Dziś wieczorem odlatuje samolot. Spotkanie odbędzie się w Amsterdamie. Ale wolałbym, żeby pojechał ktoś inny, nie ty, skarbie.

Kostrzycki spojrzał na mnie. Bez zastanowienia kiwnęłam aprobująco głową. Amsterdam to przecież Holandia! Jakkolwiek idiotyczne to się wydawało, czułam, że Maciej przybliży mnie do dzieci. Betka przyglądała mi się zdziwiona, rozczarowana i zła. Maciej nie powiedział bowiem nic więcej, pokrętnie wytłumaczył, że ich relacja mogłaby zakłócić przekaz. Tylko tyle. Koleżanka patrzyła na mnie z niemą pretensją.

– To może darujemy sobie ten basen dzisiaj – powiedziałam ostrożnie, gdy Kostrzycki wyszedł. – Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę do domu. Cześć.

Odprowadziła mnie ponurym wzrokiem do drzwi. Czułam się fatalnie z tym, że nie mogłam ujawnić wszystkiego przyjaciółce, a zarazem wiedziałam, że tak powinnam postępować. Maciej Kostrzycki budził we mnie mieszane uczucia, a teraz, gdy zaproponował mi lot do Amsterdamu, widziałam w nim szefa mafii. Równie dobrze mogło chodzić o zwykłe negocjacje handlowe, prowadzone zupełnie przypadkowo w mieście, w którym od ponad miesiąca przebywał Cezary. Ale moje przecucie mówiło, krzyczało wręcz, że to nie przypadek. Że powinnam mieć się na baczności, bo właśnie teraz mój potencjał będzie wystawiony na próbę.

Spakowałam się. Wiedziona niewytłumaczalnym instynktem zabrałam kilka ubrań dziewczynek, w tym dwa swetry. Napisałam szybkiego esemesa do detektywa i zadzwoniłam do

Zbyszka. Tym razem odebrał.

– Zbyszku, jadę do Amsterdamu z Maciejem – powiedziałam bez zbędnych wstępów. – Na Betkę nie mogę liczyć, więc dzwonię do ciebie. Podobno jedziemy w interesach, ale ja spróbuję poszukać dzieci. W firmie rodziców powiedziano mi, że firma, z którą negocjuje Cezary, nazywa się Schone Chemische Handelsonderneming i ma siedzibę w Amsterdamie. Mówię ci to na wszelki wypadek, bo myślę, że pojedę tam, gdy będzie chwilka wolnego.

– Dobra – przytaknął Zbyszek. – Zapisałem. Jakby co, to mam tam znajomka. Znaczący się w Holandii. Wozi transporty kwiatów do Niemiec i Polski. Prześlę ci jego numer esemesem, może się przydać.

– Kochany jesteś – wyznałam. – Będę się odzywać.

– Uważaj na siebie! – rzucił jeszcze Zbyszek.

Następnie zatelefonowałam do Roberta. Powiedziałam, co zamierzam, a on zaczął mnie zniechęcać.

– Nic nie rób na własną rękę, od tego jest detektyw – pouczył mnie.

– Nie odzywa się – zgłosiłam pretensję. – Lecę do Amsterdamu, to przecież mogę na miejscu się rozejrzeć. Wysłałam mu esemesa, więc nie działałam na własną rękę!

– Na własne życzenie wpakujesz się w kłopoty – przekonywał mnie Robert. – Na twoim miejscu nigdzie bym nie jechał. Przecież mówiłaś, że nie ufasz temu Maciejowi!

– Bo nie ufam – przyznałam. – Ale czuję, że on może mieć z tym wszystkim coś wspólnego. Muszę jechać, zrozumi!

– Za wiele ode mnie wymagasz – obraził się Robert. – Rób, co chcesz, życzę ci powodzenia.

Gdy się rozłączył, odebrałam wiadomość od Zbyszka, który przesłał mi imię, nazwisko, adres i holenderski numer telefonu swojego znajomego. Chwilę później Kostrzycki zawiadomił, że czeka w taksówce przed moim domem. Zdziwiłam się, bo nie podawałam mu adresu. Przyjęłam, że spotkamy się na lotnisku. Nie miałam jednak czasu, by to analizować. Złapałam bagaż, torebkę i wyszłam z mieszkania.

*

Lot do Amsterdamu przebiegał spokojnie. Maciej studiował jakieś dokumenty po holendersku, a ja udawałam, że czytam książkę.

– Czy możesz powiedzieć mi, o co chodzi w sprawie? – zagadnęłam.

Od wejścia na teren lotniska rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tym, co gnało nas do Amsterdamu. Czekałam cierpliwie, aż poruszy ten temat, jednakże zdawał się w ogóle nie przejmować tym, że ja nic nie wiem. Niezwykle to było, by zaprosić do współpracy mediatora i nie zdradzić mu szczegółów zlecenia.

– Nie chcę zanudzać cię technicznymi szczegółami – odparł Maciej. – Są w gruncie rzeczy nieistotne i naprawdę bardzo nudne. Jutro rano przed spotkaniem się naradzimy.

– O której spotykamy się z klientami? – dopytywałam, ale Maciej posiadał tę szczególną umiejętność lawirowania słowami, żeby padło ich dużo, ale treści nie było w nich za grosz.

– Po śniadaniu – poinformował mnie. – Spotkamy się, chwilę pogadamy i pojedziemy na spotkanie, to niedaleko. Jestem pewien, że wszystko gładko pójdzie.

Znów zatopił nos w swoich holenderskich papierach, więc wróciłam do lektury. Detektyw nie odezwał się. Wysłałam wiadomość do Roberta, który jedynie życzył mi powodzenia.

Za kilka dni kończył się miesiąc oczekiwania na dzieci, o którym wspominał detektyw. Czekałam, co się wydarzy, i byłam coraz bardziej niespokojna. A może to był błąd, że

pojechałam do Holandii?

Wylądowaliśmy na lotnisku Amsterdam Schiphol, skąd taksówka zawiozła nas do hotelu. Maciej czynił mi rewerencje niczym pannie młodej podczas podróży poślubnej. Ale wciąż udzielał wymijających informacji odnośnie do jutrzejszego zadania. Zjedliśmy kolację i udaliśmy się do swoich pokoi.

Następnego dnia zeszłam do lobby, a stamtąd do hotelowej restauracji, gdzie serwowano śniadanie. Macieja jeszcze nie było. Pozostawiłam torbę na krześle i poszłam po jedzenie. Położyłam na talerzu dwa rogaliki francuskie, nalałam herbaty i usiadłam przy stoliku. Zaczęłam jeść, rozglądając się dookoła. Było stosunkowo wcześnie, przy barze zatem kręciło się zaledwie kilka osób. Nagle prawie tuż nad moją głową coś przeleciało i z wielkim hukiem upadło na sąsiedni stolik, prosto w talerz z owsianką, którą konsumował mężczyzna w turbanie. Uderzenie było tak niespodziewane, że zastygł z łyżką w powietrzu, kawałkami talerza i plamami owsianki na sobie.

Odwróciłam głowę w kierunku, z którego poleciała filiżanka, i zobaczyłam leżącego na podłodze mężczyznę, który pobrudzony był dżemem wiśniowym i kawą. Pomyślałam, że to nawet ciekawe połączenie. Mężczyzna leżał twarzą do podłogi, ale w jego sylwetce było coś znajomego. Przez głowę przemknęła mi myśl, że to Cezary, ale szybko z niej zrezygnowałam. Jeśli Maciej i Cezary robili wspólnie interesy, to ten ostatni raczej wiedziałby o moim przyjeździe i starałby się mnie unikać. Najwyraźniej moje nerwy wpływały na jasność postrzegania.

Zrobiło się ogólne zamieszanie, bo trzech kelnerów usiłowało podnieść wiśniowo-kawowego gościa, przy czym dwóch podtrzymywało go po bokach, a trzeci próbował pośrodku. Macał uszkodzonego to po połach marynarki, to po zapaćkanej koszuli, nie mogąc się zdecydować, w jaki sposób go wygodnie uchwycić. Ci z prawej i lewej strony nie zsynchronizowali swoich ruchów i gdy jeden ciągnął do góry, to drugi podtrzymywał delikwenta w miejscu, jakby go zakotwiczał. Kotłowali się tak chwilę, a ja czekałam, kiedy środkowy kelner złapie gościa za krawat, bo wówczas zobaczyłabym jego twarz. Przyszedł jednak Maciej i przerwał mi widowisko.

– Nasz kontrahent przysłał mi wiadomość, że nas oczekuje.

– To może powiesz mi, o co chodzi? – zapytałam.

Maciej tylko uśmiechnął się i gestem zasugerował, że idzie wziąć sobie śniadanie. Usiadłam więc na miejscu, obserwując, jak hotelowy personel usiłuje wydłubać kawałki porcelany z hinduskiego turbana. Hindus nagle wstał i odszedł.

– Prezentuje się wspaniale! – orzekł Maciej, stawiając talerz z kromką chleba i dwoma plasterkami żółtego sera oraz filiżankę z herbatą. – Prawdziwe holenderskie śniadanie.

– Maćku, nie chcę być natrętna, ale trochę niepokoi mnie fakt, że mam uczestniczyć w czymś, o czym nie mam zielonego pojęcia – starałam się za wszelką cenę wrócić do tematu.

Maciej tymczasem nakładał ser na kromkę.

– Pozbierali już tego gościa – powiedział między jednym kęsem a drugim. – Ciekawe, co tu się stało?

– Ktoś się potknął i wyrzucił w powietrze filiżankę, która wpadła w owsiankę Hindusa, który już sobie poszedł. Dlaczego mnie zbywasz?

– Nie zbywam cię. Po prostu uważam, że nie ma potrzeby wchodzenia w szczegóły. Potrzebuję ciebie, żebyś wynegocjowała wydłużenie terminu na dostarczenie dokumentów, to wszystko.

– Dobrze, ile czasu potrzebujesz?

– Nieważne, ile się uda. Dziś mija termin i za wszelką cenę potrzebuję choć godzinę

więcej.

– Dlaczego sam tego nie załatwisz? Wybacz, ale to absurd ciągnąć mnie tylko po to, żeby powalczyć o godzinę zwłoki!

– Jesteś po prostu najlepsza, mnie by się to nie udało!

Znów dopadło mnie dziwne przecucie, że ta sprawa ma drugie dno, że osaczają mnie sprawy z drugim dnem, w dodatku teraz powiązane z Holandią. Maciej jednak pozostał nieugięty. Nasza konwersacja, acz uprzejma, dotyczyła już wyłącznie kulinariów.

Po śniadaniu Maciej gdzieś zatelefonował, zamienił kilka słów po holendersku i powiadomił mnie, że samochód, który zawiezie nas na spotkanie, nie pojawi się, więc pojedziemy taksówką. Powiedziałam, że muszę jeszcze skorzystać z toalety. Nie zawracałam sobie głowy wchodzeniem na górę. Tak naprawdę chciałam zatelefonować do detektywa, żeby naradzić się, co robić. Niedaleko recepcji znalazłam ogólnodostępną toaletę. Pomieszczenie zostało zaaranżowane w ciekawy sposób. Wejście oraz część z umywalkami były koedukacyjne i dopiero później pojawiał się korytarzyk, który doprowadzał do ubikacji. Otworzyłam pierwsze drzwi i zajrzałam do środka. Ktoś tam był. Mężczyzna. Gwałtownie podskoczył, krzyknął i runął do kabiny z taką siłą, jakby ujrzał smoka zionącego ogniem. Wycofałam się zniesmaczona. W końcu nic takiego się nie stało.

Detektyw nie odebrał, więc wysłałam mu wiadomość, że jestem w Amsterdamie.

Po kilku minutach dołączyłam do Macieja. Samochód już czekał. Wyszliśmy z hotelu. Kierowca otworzył przede mną drzwi i gdy pochyliłam się, żeby wsiąść, stało się dokładnie to co przed chwilą w toalecie. Siedzący w środku mężczyzna krzyknął, gwałtownie otworzył drzwi i najzwyczajniej w świecie uciekł. Nie zdążyłam mu się przyjrzeć.

– Może miałaś niezyczliwy wyraz twarzy? – powiedział kompletnie zaskoczony Maciej. – Najwyraźniej się ciebie przestraszył. Dziwne, myślałem, że taksówka jest wolna.

– Owszem – powiedziałam zgryźliwie. – Pokazałam mu język. Oszalałeś czy co? Jaki niezyczliwy! Przecież nie sypię iskrami! Czego te barany się tak boją, jak rany?! Co za dziwny kraj! Wszyscy od rana chodzą naćpani czy co? Najpierw ten w kiblu, teraz tutaj...

– O kim mówisz? – zainteresował się Maciej. Był wyraźnie zbity z tropu. – Jaki z kibla?

– Jakiś histeryk! – odpowiedziałam z urazą. – Przez pomyłkę weszłam do męskiego, a ten krzyku narobił, jakby był dziewicą orleańską. Myślał, że go przyszedłam gwałcić, podglądać albo molestować? Nie podoba mi się w tej Holandii!

– Mnie też – mruknął Maciej.

Miejsce spotkania znajdowało się niedaleko. Samochód zatrzymał się prawie przed drzwiami niedużego parterowego domu. W progu stał tęgi jegomość z fajką.

– Ten się nawet nie kryje – trąciłam łokciem Macieja. – Chyba domyślałam się, dlaczego mnie zaprosiłeś. Dom wariatów!

– Witam, witam, zapraszam – powiedział po angielsku mężczyzna z fajką i zaprosił nas do środka.

Weszliśmy do domu, w którym od progu mogło zakręcić się w głowie. Wnętrze zostało bowiem tak zaprojektowane, że nie sposób było ustalić poziomu lub pionu. Nie istniał żaden punkt odniesienia. Ściany rozbiegały się na środku pokoju, tworząc jakby lej, a zaraz potem załamywały pod dziwnym kątem. Schody biegnące w dół i w górę wylaniały się zniecka, jakby stanowiły pułapki celowo zastawione na zdezorientowanych gości. W niektórych pomieszczeniach brakowało okien na zewnątrz, za to wykuto otwory w ścianach działowych, co upodabniało tę część domu do jaskini.

Pokój, do którego nas wprowadzono, wyłożony był lustrami i sprawiał wrażenie sali tanecznej na chwilę zaadaptowanej na potrzeby dzisiejszego spotkania. Brakowało tylko drążków

i pianina.

Pośrodku ustawiono bardzo długi i wąski stół otoczony z dwóch stron krzesłami.

Na krzesłach siedzieli mężczyźni ubrani na czarno. Gdy weszliśmy, wstali i kolejno podawali nam ręce. Gospodarz wskazał dwa spośród trzech wolnych krzesel, a sam zajął miejsce u szczytu stołu. Nie widziałam, żeby znajdowało się tam cokolwiek do siedzenia, więc chyba lewitował. Na wolnym krześle położyłam torbę.

– Kochani – rozpoczął ten, który nas wprowadził. – Chociaż brakuje jeszcze naszego przyjaciela, to myślę, że możemy zaczynać.

Skinął głową w stronę Macieja, który wstał i powiedział:

– Przedstawiam panom córkę zanego profesora. Była tak uprzejma, że zgodziła się przyjechać do Amsterdamu, by zapewnić panów, że nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy podpisali umowę o współpracy. Oto pani Marta Kołodziej!

W tej chwili, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich Cezary we własnej osobie, nieco tylko odmieniony. Od razu rozpoznałam w nim ofiarę śniadaniowego incydentu. Spojrzałam na Macieja, który najwyraźniej nie ucieszył się z tego spotkania.

– Gdzie są dzieci?! – krzyknęłam w stronę byłego męża, który witał się z Holendrami.

Zlekceważył moje pytanie i zwrócił się bezpośrednio do Macieja:

– Nie tak łatwo mnie wykiwać – syknął ze złością. – Nic tu po tobie, panie Kostrzycki!

– Gdzie są dziewczynki?! – krzyknęłam głośniej, zwracając na siebie uwagę gospodarzy.

Zdziwieni patrzyli po sobie, wzruszali ramionami i przyglądali się nam w niemym wyczekiwaniu.

– Zapytaj swoją matkę! – roześmiał się w głos Cezary. – Odstawiłem je do jej domu po powrocie z Egiptu. Nie jestem taki zły, za jakiego mnie uważasz!

Ruszyłam na niego z przeciągłym wyciem i gdyby Maciej mnie w porę nie zatrzymał, zapewne doszłoby do rękoczynów. Zdezorientowani Holendrzy coraz wyraźniej dopraszali się wyjaśnień.

– Może zrobimy przerwę w spotkaniu? – zaproponował jeden z nich, tak jakby było to potrzebne.

Cezary zwrócił się do Holendra, który przyglądał się wszystkiemu w milczeniu. Mężczyzna pokręcił przecząco głową, wstał i wyszedł z pokoju. Pozostali mamrotali między sobą.

– Nici z interesu! – warknął Cezary do Macieja. – Na tym ci zależało? Oni się wycofają i nikt nic nie załatwi!

– Może tak, może nie – odezwał się Maciej. Wciąż przytrzymał mnie za ramię. – Potencjał drzemie w sile spokoju, a nie w samej sile.

Cezary prychnął i odwrócił się od nas. Zwróciłam się wówczas do Macieja:

– Co to wszystko znaczy?! Po co mnie tu przyciągnąłeś?! To wszystko było ukartowane!

– Nie bądź naiwna! – skarcił mnie Maciej. Rzucił jakieś słowo do Holendrów i pociągnął mnie za ramię. Zatrzymaliśmy się przed ścianą. Cezary pertraktował z nieufnymi gospodarzami. – Drewnicki nakłonił twoich rodziców, aby przekonali zarząd spółki do podpisania pełnomocnictwa upoważniającego go do samodzielnego władania firmą – powiedział półgłosem, upewniając się, że stoimy wystarczająco daleko od innych. – Twój były mąż wykradł z pracowni twojego ojca dokumentację techniczną jego najnowszego wynalazku. Miał to być uniwersalny środek do czyszczenia i dezynfekcji, którego innowacyjność polegała na tym, że nadawał się do czyszczenia mocno zabrudzonych powierzchni i jednocześnie neutralizowania bakterii i wirusów w wodzie pitnej. Biologicznie bezpieczny, tani w produkcji i przydatny do użycia przez długie

miesiące. Wynalazek wart miliony. Nie mógł sam się nim posłużyć, więc szukał inwestora, który go uwiarygodni. Skontaktowałam go z Holendrami. Sądziłam, że ubijemy świetny interes na współpracy obu firm. Ale twój były mąż jest zachłanny. Chciał sprzedać spółkę twoich rodziców wraz z jego wynalazkami ojca i wyjechać w siną dal.

– Moi rodzice nigdy nie sprzedaliby firmy! – zaprotestowałam. – Poza tym, po co Cezary miałby ją sprzedawać, skoro czerpał zyski z jej działalności? Sam wiesz, że rodzice mu ufają, więc i dokumentów nie musiałyby fałszować!

– Twoi rodzice nie wiedzą, że Cezarym Drewnickim interesuje się policja i prokuratura w wielu krajach – wyjaśnił Maciej. – Takich firm to miał wiele. Wszystkie sprzedał albo doprowadził do bankructwa, żeby przejąć majątek.

– Dlaczego go nie zdemaskowałeś – zaatakowałam – tylko przyciągnąłeś mnie tutaj, przedstawiając jako córkę mojego ojca? O co chodzi?

– Mówiłem ci. – Na twarzy Macieja pojawił się ironiczny uśmiešek. – Potrzebuję więcej czasu. Zanim Holendrzy połapią się w sytuacji, kto jest kim, ja dokończę swoje sprawy.

– Jakie?!

– To nieistotne – uciał Maciej. – Jeśli nie chcesz, żeby twoi rodzice stracili wszystko, rób, co mówię. Jesteś Marta Kołodziej, córka słynnego profesora Kołodzieja, która przyjechała, żeby reprezentować ojca. Drewnicki nie zaryzykuje swoich posunięć i wstrzyma się z propozycjami, dopóki nie okaże się, że twój ojciec nie wie, że tu jesteś. A tyle mi wystarczy, żeby wszystko pozafatwiał.

– Nie obchodzą mnie twoje interesy! – krzyknęłam.

Wtedy twarz Kostrzyckiego stężała, a oczy zrobiły się jak dwa kawałki lodu.

– A los twoich dzieci cię obchodzi?! – warknął. – Laura i Basia, prawda? Rób, co mówię, bo przestanę być miły!

Po plecach popłynęły mi strużki potu. Maciej popchnął mnie w kierunku Holendrów. Cezary coś im gorączkowo tłumaczył, ale gdy podeszłam, dał mu znak, by zamilkł.

– Mój ojciec chętnie będzie z panami współpracował – powiedziałam nie swoim głosem. – Przyjechałam, żeby ustalić szczegóły.

Twarze gospodarzy rozpozodziły się lekko. Usiedliśmy przy stole. Cezary zajął miejsce milczącego mężczyzny, który wyszedł. Inicjatywę przejął Maciej, a były mąż patrzył na mnie z wyraźną nienawiścią. Czułam się jak mysz uwięziona w pułapce. Bezradna, bezwolna, naiwna i pozbawiona siły, by walczyć. Dyskretnie sięgnęłam po telefon. Zobaczyłam, że pojawiły się dwie nowe wiadomości. Gdy Maciej dyskutował z Holendrami, wsunęłam ręce pod stół i wyświetliłam esemesy.

W pierwszym detektyw informował mnie, że ustalił adres, pod którym przebywają dzieci. Zaznaczył, że dom, w którym są, znajduje się blisko parku Amstel, do którego dziewczynki chodzą codziennie około czternastej w towarzystwie młodej kobiety. Drugą wiadomość przysłał Zbyszek. Jego kolega dziś miał jechać do Polski z transportem kwiatów z giełdy w Aalsmeer. W Holandii będzie ponownie dopiero za trzy dni.

– Przepraszam, ale muszę do toalety – powiedziałam nagle i gwałtownie wstałam. Chwyciłam torbę i ruszyłam w kierunku drzwi, jak mi się wydawało.

Maciej na chwilę przerwał swoją przemowę, a Cezary skupił na mnie uwagę. Holendrzy nie zareagowali.

Otworzyłam drzwi i weszłam do drugiego pokoju. Z niego do następnego. Śpieszyłam się, chciałam jak najszybciej opuścić ten dziwny dom i znaleźć się w parku Amstel. Zegar na ścianie w jednym z pokoi wskazywał południe. Z kolejnego pokoju weszłam do biblioteki i zawróciłam. Zauważyłam okno po prawej stronie. Niewiele myśląc, podbiegłam i otworzyłam je na oścież.

Przerzuciłam torbę na zewnątrz i zsunęłam się po ścianie na trawnik. Złapałam torbę i biegiem ruszyłam przed siebie. Dom, w którym nas podjęto, otoczony był niedużym ogrodem. W pewnej chwili zauważyłam bramę i tam się skierowałam. Nagle drogę zajechał mi samochód.

– Wsiadaj! – rozkazał Cezary, otwierając drzwi po stronie pasażera. – Wsiadaj, do cholery!

Wsiadłam. Zatrzęsłam drzwi, a on ruszył ostro, wbijając mnie w fotel.

– Nic mnie nie obchodzi poza jednym – wymamrotałam. – Chcę odzyskać dziewczynki. Możesz sobie przejmować wszystkie firmy świata, tylko oddaj mi moje dzieci!

Cezary skręcił w prawo i dość gwałtownie włączył się do ruchu. Uderzyłam głową o szybę.

– Nie rozumiesz, że ja ich nie mam! – warknął. – To też są moje dzieci.

– To kto je porwał, skoro nie ty?! – Byłam bliska płaczu. Samochód mknął przed siebie, nie wiedziałam, czy przybliża mnie do parku Amstel, czy oddala. – Co tu się dzieje?!

– Mówiłem ci, zapytaj matkę – odburknął Cezary. – Przywiozłem je z Egiptu, zostawiłem pod opieką twojej matki i więcej nic nie wiem. Myślałem, że są z tobą.

– Nie widziałam ich od waszego wyjazdu! – krzyknęłam. – Nie interesowało cię, co się z nimi dzieje?!

– Nie rozumiesz, że nie wiedziałem, że zniknęły! – Cezary odwrócił głowę ze złością i spojrział na mnie. – Od dwóch miesięcy nie ruszam się z Holandii!

Z jednej strony wierzyłam mu. Perspektywa zrobienia doskonałego interesu zawsze przeważała u niego nad odpowiedzialnością za rodzinę i nad uczuciami. To się nie liczyło, ważny był pieniądz. Z drugiej strony nie mogłam mu ufać. Gdy zatrzymał się przed jakimś budynkiem, informując mnie, że za chwilę wraca i że mam na niego poczekać, wysiadłam, kiedy tylko znikł za drzwiami. Zatrzzymałam przejeżdżającą taksówkę i poprosiłam o zawiezenie mnie do parku Amstel. Okazało się, że to po drugiej stronie miasta. Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do detektywa. Tym razem odebrał.

– Ta kobieta codziennie o czternastej prowadzi pani dzieci do parku. Zwykle zatrzymują się przy huśtawkach. Proszę dyskretnie do nich podejść i odciągnąć dzieci na bok. Tam niedaleko przejeżdża kolejka, proszę wsiąść do niej i odjechać, ale nie do końcowej stacji. Mniej więcej w połowie niech pani wysiądzie, ta kolejka zwalnia w pobliżu stawu. Stamtąd pobiegniecie do ogrodzenia. Da mi pani znać, podstawię samochód – instruiował mnie.

Gdy taksówka zatrzymała się przed parkiem, dochodziła trzynasta. Weszłam do parku i zrobiło mi się niedobrze. Był to ogromny obszar usiany placami zabaw, huśtawkami, sadzawkami i innymi atrakcjami. Odnalazłam kolejkę, zbadałam jej trasę i zaczęłam wypatrywać dziewczynek. Bałam się, że gdy będę obserwować jedno miejsce, one pojawią się w drugim.

Dokładnie o czternastej dwadzieścia zauważyłam moje dzieci. Szły, trzymając za rękę wysoką, szczupłą, około trzydziestoletnią kobietę, z ogromną koroną z włosów. Wyglądała tak, jakby wcisnęła na czoło duży, wiklinowy kosz, pusty w środku. Dziewczynki maszerowały grzecznie i gdy dotarły do huśtawek, odłączyły się od opiekunki. Ona odeszła, kierując się do oddalonej nieco budki z hot dogami. Nie czekałam ani chwili dłużej. Podbiegłam truchtem do córek i syknęłam:

– Dziewczynki, uciekamy, szybciotko!

Laura pisnęła radośnie, więc położyłam jej palec na ustach. Basia wyglądała na lekko przestraszoną.

– Ciocia Helen będzie zła...

– Zrobimy ciocie Helen małego, niewinnego psikusa. – Roześmiałam się sztucznie. – Taka zabawa w chowanego. Chcecie?

– Tak! – krzyknęła Laura, ale znów ją uciszyłam.

– Ciii – syknęłam. – Bo nas zobaczy i nici z zabawy!

Szybkim krokiem, ale bez wzbudzania podejrzeń skierowałyśmy się na ścieżkę.

Przerzuciłam torbę na ramię, trzymając mocno córki za ręce. Dotarłyśmy do kolejki w kilka minut. Gdy ruszyła, pochyliłam się do nich i powiedziałam:

– Uwaga, za chwilę wyskoczymy i szybko pobiegniemy, dobrze? Na mój znak!

Gdy kolejka wchodziła delikatnie w zakręt, podniosłam do góry Basię i wyskoczyłam razem z nią, Laura też zdążyła. Obecni w kolejce rodzice z dziećmi przyglądali nam się ze zdziwieniem. Udałam, że przytrzymuję Basię za głowę, sugerując, że zrobiło jej się niedobrze. Gdy pociąg odjechał, pobiegłyśmy szybko w stronę ogrodzenia. Spocone, zatrzymałyśmy się, a ja wyjęłam telefon.

– Mam je! – krzyknęłam do aparatu. – Jesteśmy przy bramce ze szlabanem!

– Srebrne audi – odpowiedział detektyw. – Na holenderskich numerach!

Kilkanaście minut później siedziałyśmy bezpieczne we wnętrzu samochodu. Prowadził uśmiechnięty Holender, z którym w żadnym języku nie mogłam się porozumieć. Nie przeszkadzało mi to jednak. Przytulałam dziewczynki do siebie, słuchając ich opowieści.

– Ciocia Helen jest bardzo miła – szczebiotała Basia. – Pozwala nam oglądać telewizję w dzień i w ogóle nie chodzimy do przedszkola!

– A nie tęskniłyście za mną? – zdziwiłam się.

Laura energicznie pokręciła głową.

– Babcia powiedziała, że jesteś chora, w szpitalu. Że teraz nie możesz się nami zajmować, ale latem przyjedziesz. I przyjechałaś!

– Babcia was odwiedzała? – nie mogłam ukryć złości.

Dziewczynki przytaknęły. A jednak Cezary mówił prawdę! Była w to zamieszana.

– Ciocia Helen na pewno już się martwi – zatroskała się Basia. – Długo nas nie ma. Dokąd jedziemy?

– Do domu! – oświadczyłam stanowczo. – Zaraz zadzwonię do cioci Helen!

Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej telefon. Była jedna nowa wiadomość, od detektywa: „Namierzyl was. Niech pani natychmiast wyłączy telefon!”.

Przestraszyłam się nie na żarty. Zupełnie zapomniałam, że telefon komórkowy działa jak GPS i można ustalić, gdzie ktoś przebywa w danym momencie. Tylko kto nas ścigał? Cezary? Maciej?

– Zaraz się przesiądziemy, będzie ciekawiej – poinformowałam dziewczynki i pochyliłam się w stronę kierowcy.

– Czy może pan pożyczyć mi swój telefon? – powiedziałam do niego po polsku.

Ponieważ nie zrozumiał, pokazałam na leżący z boku aparat. Uśmiechnął się i skinął głową. Szybko wpisałam holenderski numer znajomego Zbyszka i wyjęłam baterię ze swojego telefonu.

– Gdzie pan jest? – zapytałam, gdy usłyszałam: „Halo, kto mówi?”. – Jestem znajomą Zbyszka, potrzebuję pańskiej pomocy!

– Jadę z transportem – usłyszałam w telefonie. – Dziś pani nie pomogę, będę w Amsterdamie w sobotę.

– Proszę pana, ja jestem kawałek za Amsterdamem. Muszę dostać się dziś do Polski, bardzo pana proszę!

– No dobrze, ale wygod nie ma! – mruknął facet.

Przekazałam telefon Holendrowi, żeby ustalili, gdzie możemy się przesiąść, i zaledwie pół godziny później wsiadałyśmy do ciężarówki wiozącej tulipany do Polski. Przez chwilę bałam

się, że kierowca każe nam podróżować w chłodni, w temperaturze czterech stopni Celsjusza. Miałam wprowadzić ze sobą sweterki dzieci, ale to nie był strój na takie warunki.

– Pani tak jeździ z dziećmi? – zdziwił się kierowca. Usiadłyśmy w szoferce, dziewczynki były zachwycone jazdą w dużym samochodzie. – Nie wygodniej pociągiem albo samolotem?

– Widzi pan, umówiłam się ze znajomym, że nas zabierze, ale nawalił mu samochód, a ja muszę być w pracy jutro rano. Nie byłam przygotowana na inną podróż. A ten Holender, co pan z nim rozmawiał, to nie mógł dalej jechać.

– Rozumiem – przytaknął kierowca. – Dla mnie to nie kłopot. Tylko muszę uprzedzić, że postoje będą bardzo krótkie, bo kwiaty wiezie się jak mleko. Bez przystanków.

– Pokazałam gestem, że zniesiemy tę uciążliwość, a w głębi serca bardzo się cieszyłam.

Każda minuta i każdy kilometr przybliżały mnie do bezpiecznego mieszkania. Koszmar, który dręczył mnie od wielu tygodni, mijał. Przyglądałam się rozbawionym dziewczynkom i oddawałam rozmyśleniom, bo kierowca nie należał do rozmownych.

*

Cezary pochodził z zacnej, dobrze sytuowanej rodziny. Był jedynakiem i ptasiego mleka mu nie brakowało. Jego ojciec pracował w banku. Z wykształcenia finansista starał się wprowadzić syna w tajniki zawodu, żeby przejął po nim pałeczkę. Cezary dzięki dyplomatycznym staraniom ojca ukończył ekonomię i zdobył uprawnienia głównego księgowego. Rodzice, dumni z jedynaka, chwalili się synem, starając się zapewnić mu jak najlepszy start w życiu. Cezary przyzwyczaił się, że ktoś go obsługuje, troszczy o bieżące sprawy, on zaś łaskawie korzysta z dóbr.

Sielanka mojego byłego męża trwała. Swoją czas dzielił między wyjazdy do zagranicznych kurortów i towarzyszenie ojcu podczas bankietów. Niestety, pewnego dnia ojciec Cezarego zasłabł i tydzień później zmarł. Wydawało się, że nadszedł moment, aby odpowiedzialność za rodzinę przejął syn. Cezary wołał jednak wyjechać na kilka miesięcy za granicę, zostawiając matkę pod opieką gosposi. Gdy wrócił, nie żyła, zmarła na wylew krwi do mózgu.

Cezary został sam. Odziedziczony po rodzicach majątek pozwalał mu na prowadzenie w miarę dostatniego życia przez kilka lat. Ale nie umiał zarządzać pieniędzmi pomimo wykształcenia. Obawa, że w swoim skarbcu za chwilę zobaczy dno, skłoniła go do poszukania nowego źródła finansowania. Przez bankietowych znajomych poznał mojego ojca. Roztargniony wynalazca nie przykułby jego uwagi na dłuższą, gdyby nie plotka, że pracuje nad epokowym odkryciem. Innowacja mogłaby wywrócić do góry nogami świat chemii i przynieść krocie właścicielowi patentu.

W ten sposób Cezary zaczął pojawiać się w moim domu. Niezwykle uroczy, ujmujący i pełen charyzmy zdobył nie tylko moje serce, ale przede wszystkim serce mojej matki. Wzięliśmy ślub, pojawiły się dzieci i Cezary bez najmniejszego problemu zyskał dostęp do wszystkich ważnych informacji dotyczących firmy rodziców oraz pracy ojca. Nie umiał jednak tego we właściwy sposób wykorzystać. Nie spodziewał się, że praca nad wynalazkiem to nie kwestia kilku tygodni, lecz kilku lat. Niecierpliwiał się. Przyzwyczajony do wygodnego życia nie miał zamiaru pracować w firmie, a tym bardziej zajmować się dziećmi czy troszczyć o rodzinę. Jego liczne romanse i coraz dłuższe nieobecności w domu doprowadziły w końcu do rozwodu.

Nadal nie rozumiałam wielu rzeczy. Dlaczego chciał mnie potrącić samochodem? Czy aby na pewno tylko w akcie zemsty? Czy naprawdę nie wiedział o wywiezieniu dzieci do Holandii? Moja matka była w to zamieszana, a on o niczym wiedział? A jeśli tak, to jaki mógł mieć w tym interes? Usiłowanie przejęcia firmy rodziców wydawało się prawdopodobne, choć mało logiczne, skoro posiadał w niej nieograniczoną władzę. A może firma bankrutowała i przed

tym uciekał? Maciej dołączył do interesu i uznał, że może pozbyć się niewygodnego współnika. Dlaczego więc Kostrzycki nie starał się mnie poderwać, tylko zbliżył się do Betki?

Wciąż było więcej pytań niż odpowiedzi, ale wierzyłam, że z czasem i to się wyjaśni. Na razie najważniejsza dla mnie sprawa, czyli odzyskanie córek, była załatwiona. Zmierzałyśmy bezpiecznie do domu, w towarzystwie milczącego kierowcy i równie niemych tulipanów. Na granicy nikt nas nie zatrzymał. Do Warszawy dotarliśmy, gdy świtało. Kierowca pomógł mi zanieść Laurę do domu, a ja dźwigałam Basię. Podziękowałam mu serdecznie i więcej się nie spotkaliśmy.

*

Po powrocie do Warszawy powiadomiłam detektywa, że jestem na miejscu. Zainstalowałam w telefonie nową kartę sim, a numer zapisałam na kartce, na wszelki wypadek. Poradził, abyśmy nie wychodziły z domu przez kilka dni, i tak też zrobiłam. Poświęciłam ten czas w całości dzieciom, nadrabiając stracone dni i godziny. Z nim umówiłam się na jutro. U nas w domu.

Odkryłam w sobie dziecko, zagubione, nieszczęśliwe, samotne, które dopiero poprzez to doświadczenie przypomniało sobie, że ono kiedyś też się pogubiło, lecz nie znalazł się nikt, kto by je odnalazł i przywiózł w bezpieczne miejsce. Uciekając przed dziećmi, uciekałam przed sobą, przed rozrywającą duszę tęsknotą za tym, czego nigdy nie było mi dane zaznać. Miłości i troski ze strony rodziców, zainteresowania z ich strony. Dlatego tak dobrze poruszałam się w trudnym świecie mediacji, gdzie ból i cierpienie stanowiły doskonale znane mi odczucia.

Mój świat był ubogi. Pozbawiony przyjaciół, rozrywek, głębszych relacji. Wypełniałam go obowiązkiem i pracą, ku uciesze rodziców, którym nigdy nie sprawiałam kłopotów. Patrzyłam na Laurę i Basię i dzięki nim uczyłam się na nowo, jak to jest kochać kogoś i być przez kogoś kochaną. Jak to jest troszczyć się o bliską osobę, być obecnym w jej życiu. Wciąż nie rozumiałam, z czego wynikała tak twarda postawa matki w stosunku do mnie. Ojciec był marzycielem, przebywał w swoim świecie wynalazków, mógł nie dostrzegać, że istnieję. Lecz co powodowało nią? Nie potrafiłam tego zrozumieć. Robert nie odebrał połączenia. Napisałam mu wiadomość, że zmieniłam numer, ale nie zareagował. Zbyszek napisał mi krótko, że bawi w Gdańsku i odezwie się, jak wróci. Gratulował mi i kazał uściskać dziewczynki. Betka zapowiedziała się na sobotni wieczór, lekko zdystansowana, gdy poprosiłam ją stanowczo, by pod żadnym pozorem nie mówiła nic Maciejowi.

Wreszcie zadzwoniłam do matki. Odebrała.

– Musimy porozmawiać – powiedziałam tak twardo jak nigdy dotąd. – Bardzo poważnie porozmawiać.

Następnego dnia dziewczynki jeszcze spały, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Pobiełam otworzyć i zdumiałam się, widząc Roberta.

– Jestem chory – powiedział słabym głosem Robert. – Złapałem świnkę. I zgubiłem spodnie.

Drugi z komunikatów dotarł do mnie jako pierwszy. Spojrzałam w dół. Garderoba Roberta była kompletna. Otworzyłam drzwi szerzej i pozwoliłam mu wejść. Wyraźnie chwiał się na nogach i obijał o wszystko częściej niż zwykle.

– Spodnie ze szpitala gdzieś podziałem – wyjaśnił po chwili.

– Usiądź, zrobię ci herbaty. – Wskazałam fotel. Robert osunął się na oparcie i zjechał tyłkiem na podłogę.

– Wszystko mnie boli – poskarżył się jak małe dziecko.

Zadzwoił dzwonek u drzwi, kiedy starałam się posadzić go w fotelu.

– Spodziewasz się kogoś? – Zmarszczył brwi.

– Tak, detektyw miał wpaść.

– Naprawdę? – w jego głosie zabrzmiała wyraźna pretensja.

Zignorowałam to i pobiegłam do drzwi.

– Przepraszam, czy chorował pan na świnkę? – powiedziałam zamiast powitania

Detektyw zdziwił się lekko.

– Proszę? – nie zrozumiał.

– Czy był pan chory na świnkę? – powtórzyłam głośniej. – Bo widzi pan, Robert jest w domu i właśnie choruje...

– Tak, przechodziłem w dzieciństwie – odpowiedział spokojnie detektyw. – To może porozmawiamy na klatce?

– Nie, zapraszam.

Detektyw wszedł do pokoju akurat wtedy, gdy wypięty Robert usiłował zdjąć spodnie razem z butami. Zaprezentował nam niezwykle efektowne niebieskie bokserki w mały.

– Bardzo przepraszam – zaczął wycofywać się detektyw. – Nie chciałbym przeszkadzać.

Robert próbował zmienić mało elegancką pozę, odwrócić się i usiąść z powrotem w fotelu. Skończyło się na tym, że runął twarzą w donicę z wielkim fikusem.

– Robercie, połóż się, proszę – powiedziałam bezradnie.

Detektyw taktownie się nie odzywał.

– Przecież się kładę – wybelkotał, umorusany ziemią. Pomogłam mu wstać i posadziłam w fotelu.

– Ustaliłem wiele faktów – zaczął detektyw, gdy Robert umościł się wygodnie, co chwilę trwało.

Zrobiłam nam herbaty i usiadłam, żeby posłuchać. Dziewczynki spały.

– Miała pani dużo szczęścia – zaczął detektyw. – Ślepy fart, można powiedzieć. Spodziewałem się, że przeprowadzimy akcję w weekend, ale dobrze, że już po wszystkim.

– Nie darowałabym sobie, gdybym nie skorzystała z okazji – przyznałam.

Robert kichnął.

– W takim razie zacznę od przeszłości. Pani były mąż podczas jednego z biznesowych bankietów poznał adwokata, który – najkrócej rzecz ujmując – zajmował się wyszukiwaniem metod na skuteczne obejście prawa. Po kilku kieliszkach prawnik zwierzył mu się, że wie, jak łatwo można zyskać świadczenie rodzinne, zwłaszcza za granicą. Wystarczyło jedynie mieć dzieci. Cezary zaczął więc walkę przed sądem o opiekę nad dziewczynkami, bo w grę wchodziło kilkaset euro miesięcznie.

– To dlatego z początku zadowolony, że uwolni się od niechcianej prozy życia, nagle dostrzegł w tym potencjał. Ekonomiczny – wtrąciłam.

– Współpraca z prawnikiem przyniosła kolejne projekty – ciągnął detektyw. – Z dnia na dzień pan Cezary został ojcem kilkanaściorga nie swoich dzieci. Rzecz jasna, znów chodziło o pieniądze. Uznanie ojcostwa wiązało się bowiem z ustaleniem wysokości alimentów. Pan Drewnicki deklarował odpowiednio wysokie świadczenie, a następnie dobrowolnie zobowiązywał się do spłaty zaległych należności, nawet kilkanaście lat wstecz. Gigantyczną kwotę, której nie mógł wypłacić, zabezpieczał na hipotecę mocno zadłużonej nieruchomości, oczywiście za zgodą jej właściciela. Zobowiązania alimentacyjne zawsze wyprzedzają w egzekucji wszystkie inne wierzytelności, więc gdy komornik przystępował do licytacji, okazywało się, że cała uzyskana kwota musi trafić w ręce pana Cezarego. I po tym następował podział zysków. Matka dziecka podpisywała oświadczenie, że cały dług został spłacony, za co

otrzymywała sowite wynagrodzenie. Właściciel nieruchomości, zwykle przedsiębiorca, pozbywał się wierzycieli i prowadził swój interes dalej, wolny od długów. Pan Cezary i prawnik zarabiali na tym najwięcej.

– Dlaczego chciał ją przejechać? – zapytał nagle Robert.

– Bo gdy sąd orzekł prawo do wyłącznej opieki nad dziewczynkami mnie, Cezary mógł stracić zasiłki wypłacane w euro – wyjaśniłam.

Detektyw pokiwał głową, że mam rację.

– Tym bardziej że skrupulatna pod tym względem Holandia wysyłała swoich urzędników, żeby co jakiś czas upewniali się, czy wszystko przebiega zgodnie z prawem – dodał. – Pan Cezary spodziewał się takiej wizyty w lutym. Obawa nie tylko przed utratą łatwych pieniędzy, ale także być może ujawnieniem całego procederu popchnęła go do ryzykownego kroku. On się raczej nie spodziewał, że sprawa rozwodowa zakończy się tak szybko, więc musiał unieruchomić panią na jakiś czas. Domyślał się, że nie pozwoli pani zabrać dziewczynek do Holandii. Moim zdaniem nie chodziło mu o zabójstwo, lecz na przykład złamanie pani nogi lub pogruchotanie barku. Gdy plan się nie powiódł, wymyślił wycieczkę do Egiptu.

– Ale oni pojechali, byłam przecież na lotnisku!

– Tak, ale z Egiptu prosto do Holandii. Przekonał pani matkę, że tak będzie lepiej, a ona wzięła na siebie trud powiadomienia pani, gdzie są dzieci.

– Czy wiedziała o tym, co on robi?

– Raczej nie. Sądzę, że naprawdę chciała odebrać pani dziewczynki.

– Laura i Basia wspominały, że babcia odwiedziła je w Amsterdamie.

– Upomniała się o wnuczki, gdy czas ich pobytu w Holandii się przedłużał. Ale tu sprawy się skomplikowały, bo pan Cezary poznał polskiego przedsiębiorcę, Macieja Kostrzyckiego, inżyniera, który bardzo interesował się pracą pani ojca. Wielokrotnie próbował przekonać go, żeby rozpoczął współpracę z holenderskimi inwestorami i skomercjalizował swoje wynalazki. Bezskutecznie. Pani ojciec chciał, aby opracowany przez niego środek został najpierw wyprodukowany i wprowadzony na rynek polski. Pan Cezary idealnie zaczął pasować Kostrzyckiemu. Zupełnie legalnie mógł odgrywać rolę pełnomocnika firmy, choć wiedziała o tym tylko pani mama. Dostrzegł szansę zarobienia naprawdę dużych pieniędzy. Nie przejmował się zastrzeżeniami pani ojca. Sfałszował dokumenty i już widział oczyma wyobraźni siebie na jachcie u wybrzeży Karaibów. Niestety, sprawy nie poszły tak gładko. Kontrahenci zażądali potwierdzenia zgody na sprzedaż patentu bezpośrednio od pani ojca. Cezary zamierzał i w tej sprawie przedstawić sfałszowane dokumenty, ale Kostrzycki postanowił wykolegować go z interesu. Poprzez znajomość z pani przyjaciółką zorientował się, że jeśli uda mu się odzyskać dla pani dzieci, będzie mógł liczyć na wdzięczność. Pani jako córka bardziej przydałaby się niż były zięć.

– Skąd wiedział o dzieciach?

– Z dwóch źródeł: Cezary potrzebował opiekunki do dziewczynek, a drugim była pani przyjaciółka, Elżbieta Białek.

– Jak to?

– No cóż, zakochała się kobieta. Uważam, że Kostrzycki sporo dowiedział się od niej, a ona od pani. Szybko zaproponował Drewnickiemu pomoc, prezentując własną żonę, Helen, rodowitą Holenderkę. To ona towarzyszyła dziewczynkom w parku.

– Na spotkaniu w Amsterdamie realizował swój plan. Czyli i tak odzyskałabym dzieci – stwierdziłam. – Cała ucieczka nie była potrzebna.

– To prawda – przyznał detektyw. – Aczkolwiek nie do końca Kostrzycki tak zamierzał to rozegrać, ale Drewnickiemu nie powiedział, że spotyka się z kontrahentami. Nie przewidział, że

Holandrzy będą chcieli załatwić sprawę od ręki i umówili ich obu na ten sam termin.

– Czyli on uciekał nie przede mną, ale przed Maciejem!

– No właśnie. Gdyby go pani rozpoznała, Kostrzycki mógłby coś podejrzewać. Pan Cezary wierzył, że dotrze na spotkanie jako pierwszy, powie swoje i szybko się oddali. Ale znów miał pecha. Pozostaje jeszcze Helen. Przywiązała się do dzieci i wcale nie chciała ich oddać. Nie wiem, jak ich obecność wytłumaczył Kostrzycki, ale myślę, że dobrze pani zrobiła, zabierając córeczki.

– Co oznaczało, że mnie namierzili?

– Helen zawiadomiła policję. Kostrzycki i Cezary mogli obawiać się, że zostaną wplątani w porwanie, więc podali pani nazwisko, numer telefonu i inne dane. Gdyby zatrzymano panią na terenie Holandii, nie mogłaby pani od razu wyjechać, a na pewno nie z dziećmi.

– Czy to już koniec? – zapytałam detektywa z nadzieją. – Moje dzieci są bezpieczne?

Detektyw milczał przez chwilę.

– Dowiedziałem się czegoś jeszcze tak przy okazji – wycedził. – Ale dotyczy to relacji pani rodziców z panią, więc nie chciałbym o tym mówić teraz. Proszę porozmawiać z nimi. To jest chyba klucz do rozwiązania całej zagadki. Co do dziewczynek, to myślę, że na razie ani pan Maciej, ani pan Cezary nie upomną się o nie.

Detektyw wstał i podał mi rękę. Robert siedział w fotelu, pogrążony w zadumie.

– Ile jestem panu winna? – zapytałam. – Napracował się pan. Nie wiem, jak mam panu dziękować.

– Pozwolę sobie przyjść do pana doktora, gdy wydobrzeje. – Detektyw uśmiechnął się, podając mi rękę po raz drugi. – Moja rzepka dojrzała już do zabiegu, tak myślę, a pokroić dam się tylko panu.

Popatrzyłam na mistrza skalpela, który właśnie przewrócił na siebie lampę stojącą za fotelem. Jak on to zrobił, pozostaje dla mnie zagadką.

– Dobrze, dobrze – wymamrotał Robert. – Ale jutro...

– Ogromnie panu dziękuję – powtórzyłam, odprowadzając gościa do drzwi. – Bardzo mi pan pomógł i chciałabym zapłacić za pańską pracę.

Wówczas detektyw odwrócił się i stojąc ze mną twarzą w twarz, bardzo poważnie powiedział:

– Pani były mąż okradł także i mnie. Z rodziny. On i moja żona mieli romans. Sprawy zaszły tak daleko, że wyprowadziła się z domu, porzucając mnie i syna. A on tylko się nią zabawił. Moja żona popełniła samobójstwo. Już od dłuższego czasu śledziłem tego człowieka i czekałem, aż noga mu się powinie. Chcę patrzeć mu prosto w oczy, gdy usiądzie na ławie oskarżonych. To pani mi pomogła. Przy okazji szukania pani dzieci znalazłem kilka dowodów, które zainteresują prokuraturę. Więc jesteśmy kwita.

Nie odpowiedziałam. Detektyw odwrócił się i wyszedł.

– Kto przyszedł? – Laura wystawiła zaspaną główkę z pokoju.

– Taki jeden pan – wyjaśniłam. – Wyspałaś się?

– Taak – ziewnęła córka. – Baśka jeszcze śpi. Co dziś robimy?

– Odwiedzimy dziadków – postanowiłam. – Najwyższa pora zobaczyć, co u nich słychać.

– Super! – ucieszyła się Laura i znikła za drzwiami.

Wróciłam do pokoju, w którym zostawiłam Roberta. Popatrzyłam na niego i zrozumiałam, że nic do tego mężczyzny nie czuję. Jest niczym balast, ktoś, kto pojawił się w moim życiu nie wiem po co.

– Powinieneś się położyć – powiedziałam obojętnym tonem. – Muszę pojechać do rodziców, zabiorę dzieci ze sobą.

– To dobrze, bo głowa mnie boli – stęknął Robert.
– Wolalabym jednak, żebyś pojechał do siebie – usłyszałam swój głos. – Wybacz, ale mam w tej chwili bardzo ważne sprawy do załatwienia i nie mogę być twoją pielęgniarką.

– Myślałem, że jesteście razem, a ludzie w związkach się wspierają – zgłosił pretensję Robert.

– Tak – przyznałam. – Dziękuję ci za detektywa, bardzo mi pomógł. Ale ty w najważniejszych dla mnie momentach nie wspierałeś mnie, więc teraz nie oczekuj, że zamiast zająć się dziećmi i wyjaśnić te wszystkie parszywe zagadki, będę doglądać ciebie. Nie mam na to siły!

– Jesteś egoistką, Marto. – Robert się skrzywił. – Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, okazujesz taką niewdzięczność. Nie mogę iść do siebie, bo pożyczylem koledze chatę na dziś. Nie mogę go wystawić!

– To idź do szpitala – zdenerwowałam się. – Ostatecznie zostań tu, ale do wieczora. Później musisz stąd iść. Moje dzieci nie chorowały na świnkę.

– Jesteś podła – powtórzył Robert i się podniósł.

Bez słowa wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Niespełna godzinę później jechałam z dziewczynkami do domu rodziców.

Zastałam tylko matkę. Otworzyła nam drzwi i choć w pierwszej chwili na jej twarzy rysowało się zdziwienie, uściskała dziewczynki i zaprosiła nas do środka, jak gdybyśmy przyjechały z cotygodniową wizytą.

– Pogoda dopisuje. – Uśmiechnęła się. – Dziewczynki, biegnijcie do ogrodu, dziadek poprawił huśtawkę i można już bezpiecznie się na niej bawić.

Laura i Basia zapiszczały z zachwytu. Kwiecień przypominał czerwiec. Temperatura osiągała ponad dwadzieścia stopni, na niebie nie było ani jednej chmurki. Zdałam sobie sprawę, że przegapiłam święta Wielkanocy. Minęłam matkę i wyszłam z dziewczynkami do ogródka. Kwitła forsycja, pachniało bzem. Dziewczynki dopadły huśtawki. Lekki niepokój towarzyszył mi, kiedy przekraczałam próg tego domu, ale wszystko wskazywało na to, że jest bezpiecznie.

– Napijesz się herbaty? – zapytała matka. – Źle wyglądasz.

– Musimy porozmawiać – odparłam i usiadłam na krześle przy stole. Wróciłyśmy do pokoju, drzwi na taras były szeroko otwarte, przez powiewającą firankę widziałam dzieci. – Nie dziwi cię, że przyjechałam nie sama, lecz z dziećmi?

Matka usiadła po drugiej stronie stołu i przyglądała mi się z uwagą. Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś – usłyszałam. – Dzieci mogły się przestraszyć. Poza tym, co to za pomysł, tłuc się taki kawał samochodem, skoro można znacznie wygodniej przemieszczać się samolotem! Martwię się o ciebie, naprawdę martwię!

– Mamo! – Odwróciłam się gwałtownie w jej stronę. – Byłam w Amsterdamie i przywiozłam dzieci! Nie zauważyłaś, że zniknęły na ponad dwa miesiące?! To ja oczekuję wyjaśnień, bo z tego, co mówią dziewczynki, to je tam odwiedzałaś, czyli wiedziałaś o wszystkim! Co to był za plan?! Co ty knujesz?! O co ci, do diabła, chodzi?!

– Martusiu, uspokój się – powiedziała ciszej matka. – Ostatnio wiele przeszłaś i to mogło wpłynąć na twoją psychikę. W dodatku ta dziwna praca, w której słuchasz o problemach innych ludzi, nie jest obojętna dla twojej równowagi umysłowej. Dlatego proponowałam, żeby dzieci przez jakiś czas zamieszkały tutaj.

– Chcieliście mi je odebrać!

– To ty tak uważasz. Cezary zabrał je do Holandii, bo z tobą nie można było się dogadać, te huśtawki nastrojów, jakieś dziwne lęki, to wszystko nas przerażało. Dziewczynki często

skarżyły się, że na nie pohukujesz, że je poganasz. To są małe dzieci. Cezary chciał je mieć blisko siebie, a interesy firmy wymagały, żeby przez jakiś czas pozostał w Amsterdamie.

– Groziłaś, że odbierzecie mi władzę rodzicielską!

– Musiałaś coś źle zrozumieć. – Matka przysunęła się i pogładziła mnie po ręce. – Miałam na myśli, że na jakiś czas zamieszkają tutaj lub w Amsterdamie, żebyś mogła odpocząć. Ten cały wypadek wyrządził dużo szkody w twojej psychice...

– No właśnie! – podchwyciłam. – Zapomniałaś już, że to Cezary chciał mnie zabić!

– Kochanie – powiedziała z troską w głosie matka. – Czuję się winna, że dałam ci wtedy ten list. Gdyby nie to, może nie doznałabyś takiego szoku i nie wymyśliła tego wszystkiego.

– O czym ty znowu mówisz?!

– Potrącił cię samochód, bo nieuważnie weszłaś na jezdnię – wyjaśniła cierpliwie. – Byłaś w szoku. Sąd orzekł rozwód, którego nie chciałaś, zawałił ci się świat po lekturze listu ode mnie i tak wyszło. Potem oskarżyłaś o wszystko byłego męża. Ale śledczy ustalili, że nie on prowadził. Nie mógł, bo w tym czasie jechał taksówką na lotnisko. Wszystko ci się pomyliło!

Zamilkłam. Słowa matki układały się w logiczną całość, choć przeczyły zupełnie faktom, co do których byłam niezbitnie pewna, że zaszły. Cezary mnie nie potrącił, zrobił to przypadkowy kierowca. Dobrze, niech będzie, że wtargnęłam na jezdnię i później, pod wpływem szoku oskarżyłam byłego męża. Mogę przyjąć, że zbyt emocjonalnie zareagowałam na wyjazd dzieci z Cezarym do Egiptu i komunikat, że już ich nie odzyskam. Matka odwiedzała dziewczynki w Amsterdamie, być może planowali, że wrócą wszyscy do Polski niebawem, co zgodne było z prognozami detektywa i wyjaśniało, dlaczego Laura i Basia nie czuły się zagrożone i zdziwione tym, że po nie przyjechałam. To mogło być prawdą. Również fakt, że Cezary robił jakieś interesy w Holandii. Być może matka nie była wtajemniczona przez niego we wszystkie szczegóły. Dlatego uważała mnie za wariatkę. A może naprawdę działo się ze mną coś, czego nie kontrolowałam? Moje postrzeganie zmieniło się pod wpływem szokujących wydarzeń. O jakim liście ona mówi? Nie chciałam rozwodu? Przecież to ja założyłam sprawę! Z drugiej strony Betka też wydała mi się ostatnio jakaś dziwna. Zbyszek pomagał mi, ale zdarzały się momenty, kiedy się dystansował. No i Robert. Nagle przestało mi na nim zależeć.

– Nie pamiętam żadnego listu – powiedziałam nieco ciszej. – Masz jakąś kopię?

– Nie jestem pewna, czy powinnaś czytać go ponownie. – Matka wyprostowała się na krześle. – Zobacz, jakie spustoszenie wywołało to w twojej psychice. Czuję się winna.

– Muszę wszystko do końca wyjaśnić – powiedziałam stanowczym tonem. – Nie wiem już, na czym stoję i co się dzieje. Skoro treść tego listu tak mną wstrząsnęła, to wydaje mi się, że powinnam przypomnieć sobie, co tam było napisane. W przeciwnym wypadku zwariuję!

– Powinnaś go poszukać u siebie – poradziła matka. – Nie mam kopii.

– Powiedz mi, co tam napisałaś. – Spojrzałam na nią prawie błagalnie.

Chciało mi się płakać. Czułam się jak małe, zagubione dziecko, które rozgląda się bezradnie za jedną znajomą twarzą w tłumie, który je otacza.

– Mamo! Jestem głodna! – Basia wpadła do pokoju. Zaróżowione policzki i błyszczące oczy świadczyły o tym, że dobrze się bawiła. – Daj mi jeść!

– Zawołaj siostrę, przygotowałam na dziś makaron. – Podniosła się moja matka. – Z zapiekana kucynią!

– Suuuuper! – zawyła córka i z głośnym krzykiem wybiegła na taras.

Matka podeszła do mnie i poklepała po ramieniu.

– Zostawmy to na razie. Powinnaś pozwolić sobie na chwilę odpoczynku. Może wyjdiesz gdzieś z przyjaciółmi? My z ojcem zajmiemy się dziewczynkami.

Kiwnęłam potakująco głową. Czułam się kompletnie zbita z tropu. Cała historia, którą

ułożyłam sobie w głowie i która wymagała jednej prostej odpowiedzi – jaki udział miała w tym moja matka, rozsypała się. A razem z nią i ja.

Wróciłam do domu, dziewczynki chciały zostać u babci. Położyłam się spać i obudziłam następnego dnia na dzwonek telefonu. Betka przypominała, że umówiliśmy się na basen.

Tego też nie pamiętałam.

*

Weszliśmy na płytę basenu. Był podzielony na strefy: jedna z płytszą wodą dla początkujących i dzieci, druga dla zaawansowanych pływaków i trzecia dla tych, którzy odbywali trening. Dla Betki, która niegdyś regularnie pływała, nie było tajemnicą, jak je odróżnić. Weszliśmy do wody i czekaaliśmy na Zbyszka.

– A jak dziewczynki? Zdrowe? – parskała Betka, zanurzając głowę pod wodę między poszczególnymi słowami.

– Tak, tak. – Pokiwałam głową. – Wszystko w porządku.

– To świetnie! Gdzie ten Zbyszek? Mężczyźni mają mniej do zdejmowania i zakładania. Zatrzasnął się w szafce czy co?

Rozejrzałyśmy się w poszukiwaniu kolegi. Betka wypatrzyła go pod ścianą niczym sierotę bożą.

– Pójdę po niego – zaofiarowała się.

Chwilę później kwiczałyśmy ze śmiechu.

– No i z czego rżycie jak te kobyły na pastwisku! – obraził się Zbyszek. – Dla mnie komunikat był konkretny!

Nie mogliśmy przestać się śmiać. Okazało się, że Zbyszek najpierw został cofnięty pod prysznic przez jednego z ratowników z sugestią, żeby użył mydła. Nie przekonały go zapewnienia, że Zbyszek jest kominiarzem i już do końca życia nie domyje sobie opuszków i paznokci. Później biedak wszedł do wody tam, gdzie dzieci uczyły się pływać, i mamy tych dzieci przyszły do ratownika z pretensją, że jakiś pedofil jest w wodzie. Wreszcie, gdy zapytał, gdzie może się w takim razie kąpać, padła odpowiedź, że najlepiej zapytać instruktora i kierownika w jednym.

– A który to? – chciał wiedzieć Zbyszek.

– A ten z wielkim ptakiem – padła odpowiedź.

Zbyszek lekko się zawahał, bo wszyscy ratownicy i instruktorzy akurat siedzieli w wodzie, zanurzeni po szyję. Nie było możliwości dokonać dyskretnych oględzin. Stał tak już chwilę, trochę zmarzł, więc postanowił zapytać. Zamiast dowiedzieć się, który z instruktorów jest kierownikiem, wspomniał o osobliwym znaku szczególnym. Gdyby nie interwencja Betki, zostałby zapewne wyrzucony z hukiem.

– O! – krzyknęła Betka, ochlapując nas wodą. – Masz swojego ratownika z wielkim ptakiem!

Z wody wyszedł jeden z instruktorów. Stał tyłem do nas i dzięki temu mogliśmy bez przeszkód podziwiać olbrzymiego orła wytatuowanego na jego plecach.

– Becia, powiedz mi, czy ja się ostatnio dziwnie zachowywałam? – zapytałam ostrożnie przyjaciółkę, gdy oddawałyśmy się relaksowi w jacuzzi. – Tak szczerze.

– Tak szczerze, to ostatnio kompletnie ci odbiło – potwierdziła przyjaciółka. – Nie można było się z tobą dogadać. Aż dziw, że klienci się nie skarżyli.

– Ale co takiego robiłam? – dopytywałam się.

– Stałaś się agresywna, napastliwa i bardzo tajemnicza – wyjaśniła Betka i zanurzyła w wodzie po szyję. – W każdym widziałas potencjalnego wroga. Nawet Maciej był na twojej

liście, co mnie, powiem szczerze, nieźle wkurzało.

– Betka, ale Maciej jest żonaty! – Poderwałam się i woda ochlapała mi twarz, bo straciłam równowagę na chwilę. – On ma żonę!

– Wiem – parsknęła przyjaciółka, na którą też nachlapałam. – Holenderkę. Rozwodzą się, powiedział mi o wszystkim.

– Becia, ja chyba zwariowałam – jęknęłam i położyłam głowę na podeście. – Zrobiłam z siebie konkursową idiotkę. Pojechałam do Holandii i zachowałam się jak ostatnia kretynka.

– Maciej nie był uradowany, gdy jego kontrahenci widzieli cię biegnącą na przełaj przez ogród, z torbą pod pachą – przyznała Betka. – Musiał im to jakoś wytłumaczyć. Powiedział, że otrzymałaś pilną wiadomość z Warszawy, a najbliższy samolot odlatuje za godzinę. Wtedy Cezary zaoferował, że szybko cię zawiezie i jakoś to razem wyglądało. Ale podobno Cezaremu też uciekłaś i obaj odchodzili od zmysłów, co ty wyprawiasz.

– To dlaczego nie powiedział mi, gdzie są dziewczynki? Bardzo chciałam je zobaczyć!

– Po południu miałaś do nich pojechać! – oświadczyła przyjaciółka. – Maciej mi mówił, że informował cię, iż Laura i Basia pozostają pod opieką jego żony, Helen, która jest przedszkolanką. Po spotkaniu z kontrahentami mieliście się spotkać w jakimś parku, a następnego dnia wrócić samolotem do Warszawy. A ty zabrałaś dzieci i sam Bóg wie dlaczego, wróciłaś z nimi z transportem kwiatów. Zbyszek mi to powiedział.

– Przecież Zbyszek podał mi kontakt do tego kolegi, na wszelki wypadek!

– No tak. Bo go nękałaś pytaniami, czy zna kogoś w Holandii i gdybyś musiała szybko stamtąd wracać, to jak to można zrobić. To się zorientował i dał ci kontakt do kolegi. Też się przestraszył, że coś się z tobą dzieje. Ten kolega zadzwonił do niego i powiedział, że dziwniejszej osoby w życiu nie widział. Naprawdę przez kilkanaście godzin nie ruszyłaś się z miejsca i do wszystkich zwracałaś się per „panie Marku”?!

– Przypominam sobie, że takie imię podał mi kierowca – odparłam. – Dlaczego do wszystkich? Nie chciałam wysiadać, bo była noc, dzieci spały, byłam zdenerwowana.

– Kierowców było dwóch – odpowiedziała dziwnym tonem Betka i popatrzyła na mnie z uwagą. – Jeden nie mógłby pokonać takiej trasy bez obowiązkowego odpoczynku. Podobno do dziewczynek też tak mówiłaś. Gdy zapytał, jak mają na imię, to odpowiedziałaś, że Marek i Marek. Obaj kierowcy nieźle się wystraszyli i chcieli jechać na policję, ale Zbyszek ich powstrzymał.

Pociemniało mi przed oczami. Matka mogła kłamać, ale to, co mówiła Betka, musiało być prawdą. Zwariowałam. Ani chybi zwariowałam.

– Becia, a detektyw? – zapytałam cichutko. – Detektyw podstawił samochód i potem przyszedł do mojego domu i wszystko mi wyjaśnił.

– Tego nie wiem. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Wspominałaś o kimś, kto zbiera informacje, ale ja go nigdy nie widziałam, więc nie wiem, co ci odpowiedzieć. Może powinnaś odpocząć? No wiesz, wyjechać gdzieś, zrelaksować się, zdystansować do wszystkiego?

– Robert był obecny podczas mojej rozmowy z detektywem! – Poderwałam się na równe nogi. – On wie!

Dostrzegłam w oczach spokojnej dotąd przyjaciółki przestрах. Opadłam na kolana, a ona przygarnęła mnie do siebie ramieniem i mocno przytuliła.

– Robert poleciał do Kanady – szepnęła mi do ucha. – Wczoraj wieczorem. Nie zdążył się pożegnać, bo podobno wyrzuciłaś go za drzwi.

Świat zawirował mi przed oczami. Chyba zemdlałam, bo jedyne, co pamiętam, to przeraźliwy krzyk przyjaciółki wzywającej pomocy.

*

Do pracy wróciłam po wakacjach. Potężne załamanie nerwowe, które przeżyłam pod koniec kwietnia, zmusiło mnie do zrobienia sobie znacznie dłuższej przerwy, niż przewidywałam. Prawie trzy miesiące spędziłam w sanatorium, dochodząc do siebie pod względem psychicznym i fizycznym, a na ostatnie tygodnie sierpnia wprowadziłam się do domu rodziców. Cezarego nie widywałam. Wedle informacji uzyskanych od matki wciąż przebywał w Holandii, ciężko pracując na sukces firmy. Dziewczynki przez cały czas pozostawały pod opieką moich rodziców. Betka przejęła na siebie mediację, a dyżury w sądzie zostały czasowo zawieszane.

Przeszłam terapię pod okiem jednego z najlepszych specjalistów w kraju i wydawało mi się, że wszystko wróciło do normy. Wiem, kim jestem, czego pragnę w życiu, jakie są moje priorytety. Wyciszyłam się, uspokoiłam i zapragnęłam znów pomagać ludziom. Pod koniec sierpnia otrzymałam pierwszą od kryzysu sprawę do mediacji.

*

Anna od najmłodszych lat była oczkiem w głowie rodziców. Późne macierzyństwo, wątły noworodek i ciężkie choroby przechodzone w dzieciństwie sprawiły, że rodzice starali się, jak tylko mogli, aby bodaj jeden włos nie spadł Annie z głowy. Ptasiego mleka jej nie brakowało, opiekowały się nią tylko najstaranniej wyselekcjonowane niańki, a szkoły, zanim do nich poszła, sprawdzono pod każdym względem, czy są aby odpowiednie dla jedynaczki.

Anna odwzajemniła się wzorowymi wynikami w nauce, wysokim poziomem inteligencji, urodą i wdziękiem. Z czasem wyrosła na śliczną panienkę, potem na piękną młodą kobietę. Wszyscy chłopcy i mężczyźni, którzy usiłovali zabiegać o jej względy, zostali tak dokładnie zlustrowani, że mogliby się ubiegać o najwyższe urzędy państwowe. Jednakże Anna wolała się uczyć. Ukończyła studia z wyróżnieniem, najpierw jedno, potem drugie, następnie jeden kurs, potem drugi. Rodzice szcycili się, że mogą pochwalić się taką piękną i wykształconą córką.

Pojawił się jednak pewien problem. Nikt nie chciał związać się z takim ideałem. Anna wciąż była sama, choć adoratorów nie brakowało. Lata mijały, a ona pozostawała na etapie randek. Gdy podjęła pracę, od razu awansowała, zaczęła bardzo dobrze zarabiać, mężczyźni z podziwem patrzyli na przebojową panią prezes, ale na spojrzeniach się kończyło. Anna angażowała się więc coraz mocniej w pracę.

Wtedy przyszedł cios. Ojciec Anny dostał ataku serca i zmarł. Matka przeżyła potężny szok, nigdy się bowiem z mężem nie rozstawali. To on dbał o wszystkie jej potrzeby, płacił rachunki, pilnował terminów. Kto się teraz tym wszystkim zajmie? Spodziewała się, że zrobi to córka, lecz Anna dostała bardzo korzystną propozycję pracy za granicą. Nie zastanawiała się długo. Spakowała walizkę tuż po pogrzebie i pojechała.

Praca pochłonęła Annę bez reszty. Tak bardzo, że nie zauważała nawet upływu czasu. Z lekkim opóźnieniem wysłała matce życzenia bożonarodzeniowe, potem wielkanocne. W odpowiedzi otrzymała pozew o ustalenie alimentów na matkę. W imieniu matki występował nieznany jej Sławomir, który domagał się sporej kwoty. Anną to wstrząsnęło, cóż za bezczelność żądać od niej pieniędzy! Była samodzielna, niczego od nikogo nie chciała i nikt nie powinien niczego żądać od niej! Odpisała szorstko, że nie zamierza płacić, traktuje ten pozew jako próbę wyłudzenia pieniędzy i zgłosi niezwłocznie sprawę na policję.

Domniemany przestępca nie zraził się jednak. Wkrótce Anna otrzymała wezwanie na rozprawę. Za radą adwokata i w jego towarzystwie stawiała się w sądzie. Oświadczyła, że to rodzice powinni wspierać swoje dzieci bez względu na wiek, a nie odwrotnie. Ona od lat tego nie

robiła.

Obecny na sali Sławomir okazał się sąsiadem matki. Kobieta wkrótce po wyjeździe córki dostała udaru mózgu i wymagała całodziennej opieki. Pieniądze, które pozostały na małżeńskim koncie, skończyły się, nie miała emerytury ani renty, ponieważ nigdy nie pracowała. Sławomir postanowił zatem zwrócić się o pomoc do córki. Wysyłał listy, ale wracały niepodjęte. Dopiero pozew złożony do sądu wywołał zamierzony skutek – Anna zareagowała. Niestety, wbrew jego oczekiwaniom, kobieta nie zamierzała partycypować w kosztach opiekania się matką, co więcej, zasugerowała, że ewentualnie satysfakcjonowałyby ją rozwiązanie, dzięki któremu chora trafiłaby do zakładu opieki całodziennej.

Postawa i argumenty wysnuwane przez Annę tak zszokowały sąd, że postanowił skierować sprawę do mediacji.

*

Tego dnia, gdy Anna i jej adwokat stawili się w sądzie, siedziałam grzecznie w swoim kąciku na korytarzu, który stanowił dla mnie doskonały punkt obserwacyjny. Nie wiem, czy w sądzie wiedzieli, co działo się ze mną w ostatnim czasie, ale skromny pokoik zamieniono na wnękę w korytarzu. Ustawiono w niej nieduże biurczko oraz dwa krzesła. Ta zmiana bardzo mnie ucieszyła, bo bezpośredni kontakt z ludźmi był mi potrzebny, nawet jeśli ograniczał się do obserwowania przechadzających się prawników i ich klientów, sunących z godnością sędziów, dźwigających za nimi akta protokolantek oraz interesantów.

W pobliżu wnęki znajdowały się dwie sale rozpraw, w jednej orzekali sędziowie w sprawach karnych, w drugiej w sprawach cywilnych. Sprawy odbywały się w obu salach i tym samym ruch na korytarzu zwiększył się. Wszystkie ławki zajmowali mniej lub bardziej zdenerwowani interesanci. Niektórzy z niepokojem rozglądali się, a ich napięcie malało, gdy widzieli na horyzoncie ustanowionego w sprawie pełnomocnika. Następowo krótkie powitanie, uspokajające gesty prawników, zerknięcie szybkie na wokandę, pytanie, czy nie ma aby dużego opóźnienia, i moment, w którym nikt nie wiedział przez chwilę, co powiedzieć. Korytarz był stosunkowo wąski, oddalenie się mogło być ryzykowne, bo a nuż za chwilę wyczytają sprawę, a tymczasem przeciwnicy stoją na tyle blisko, że trudno poruszać kwestię strategii, gdyż mogą wszystko usłyszeć.

Obserwowałam napięcie malujące się na twarzach klientów, którzy aż pęcznieli z potrzeby zamienienia bodaj jednego słowa z adwokatem. To nic, że przez ostatni miesiąc w jego kancelarii z pewnością przewalowali każdy aspekt własnej sprawy i omówili ją z prawnikiem na wszystkie strony. Brak możliwości uzgodnienia tu i teraz stanowił dla wszystkich katorgę. Jedynie przyodziani w togi pełnomocnicy zdawali się podchodzić do tego obojętnie.

Przyglądałam się pewnej kobiecie, szalenie eleganckiej, która wsparta biodrem o ścianę, z przejściem opowiadała coś swojemu adwokatowi, najwyraźniej zainteresowanemu nie tylko jej słowami. W pewnej chwili zaterkotał telefon. Mężczyzna sięgnął do kieszeni, cały czas zajęty rozmową z klientką. Zerknął na aparat i gestem przerwał kobiecie w pół słowa. Odwrócił się i odszedł od niej na kilka kroków, dzięki czemu usłyszałam, co mówi:

– Nie. Nie teraz. Już wchodzę na salę. Nie dzwoń. Będę wieczorem, to mi powiesz. Tak. Muszę kończyć. Nie dzwoń już. Cześć.

Gdy skończył rozmawiać, pospiesznie wyłączył telefon i wrócił do swojej rozmówczynie. Chwilę potem wywołano ich na salę. Tymczasem do mnie dosiadł się prokurator ubrany w togę, pulchny na twarzy, kompletnie łysy i szalenie rozmowny.

– Widziała pani tego adwokata, co to przed chwilą wszedł na salę? – zachichotał. – On tak zawsze, gdy żona do niego dzwoni. Jego żona jest sędzią, orzeka w innym sądzie, ale zawsze telefonuje do niego między swoimi wokandami. Gdy on jest na sali i nie może odebrać telefonu, to ona potrafi zatelefonować do sekretariatu sądu, podać jego imię, nazwisko i to, gdzie aktualnie siedzi, żeby w przerwie zapytali go, co chce na kolację.

Pan prokurator rechotał tak głośno, że ludzie na korytarzu odwracali głowy ze zdziwieniem. Z całą pewnością robił mi wspaniałą reklamę. Szkoda tylko, że czerwone wypustki przy todze budziły w ludziach lęk.

– A zna pani ten dowcip o prawnikach? – rzucił prokurator i znów zaczął się śmiać. Nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo mój wesoły rozmówca już zaczął go opowiadać. – Trzech prawników spiera się w pewnej sprawie. Nie mogą dojść do porozumienia, więc jeden z nich w akcie desperacji przywołuje na świadka swojej prawdomówności Boga. Pozostali wciąż jednak pozostają nieprzekonani. Wznosi więc on oczy do nieba i mówi: „Panie Boże, jeśli mówię prawdę i mam rację, to ześlij jakiś znak, że mnie popierasz!”. I wtedy niebo przeszywa błyskawica. Prawnik patrzy triumfalnie na swoich kolegów, a wtedy jeden z nich odzywa się w te słowa: „No i co z tego? Teraz jest dwa do dwóch!” – Pan prokurator śmiał się z własnego dowcipu tak mocno, że aż łzy pociekły mu po pulchnej twarzy. Zanim zdążył je otrzeć, wywołano kolejną sprawę. – To po mnie – powiedział takim tonem, jakby opowiadał dobry dowcip, po czym wstał. – Idę sobie trochę pooskarżać, he, he, he! – Podreptał do sali rozpraw, wciąż trzęsąc się ze śmiechu.

Niedługo potem znana mi już para: szykowna kobieta i adwokat wyszli z sali. Najwyraźniej coś nie poszło po ich myśli, bo miny mieli nietęgą. Adwokat rozpiął sobie togę pod szyją, popatrzył na klientkę i wzruszył bezradnie ramionami. Kobieta westchnęła i spojrzała w moją stronę. Nie chciała umawiać się w biurze, usiadła na krześle i zaczęła mówić.

Nie umiałam zrozumieć motywacji Anny, choć potrafię sobie wyobrazić, że ludzie czasem tak postępują. Jestem mediatorem, a nie księdzem czy sędzią moralności, choć ostatnie wydarzenia z mojego życia bardzo zrewidowały te przekonania. Zapytałam więc, jakie ona widzi rozwiązanie w tej sprawie. Niewątpliwie chodzi przecież o matkę, prawo jest tak skonstruowane, że nakłada obowiązek alimentacyjny nie tylko na rodziców względem dzieci, ale także dzieci względem rodziców, sąd bada przy tym zarówno zasadność złożonego wniosku, jak i możliwości ekonomiczne strony pozwanej. W obecnej sytuacji wątpliwe było, aby Anna mogła się od tego obowiązku uwolnić, mediacja natomiast pozwala na ukształtowanie tej sytuacji w sposób możliwie jak najmniej inwazyjny.

Anna zaproponowała wysokość miesięcznej kwoty, którą mogłaby w ostateczności przelewać na konto instytucji lub osoby zajmującej się jej matką.

Wysłuchałam w spokoju, co Anna miała do powiedzenia, zapisałam sobie wszystkie potrzebne informacje i nieco później, już w biurze, zaprosiłam telefonicznie na spotkanie pana Sławomira, który zasugerował umieszczenie chorej w wyznaczonym ośrodku. Był bardzo sceptycznie nastawiony do propozycji Anny, powątpiewał, czy w dłuższej perspektywie dotrzyma słowa. Jego propozycja brzmiała tak: sprzedać mieszkanie należące do matki Anny, a uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na jej leczenie i opiekę. Anna będzie natomiast co miesiąc wpłacać określoną kwotę na specjalne konto, na rzecz matki. Gdy pieniądze pochodzące ze sprzedaży mieszkania okażą się niewystarczające, wówczas uruchomi się owe dodatkowe środki. Jeśli natomiast chora umrze, zanim zasoby się wyczerpią, Anna odziedziczy pozostałą kwotę.

Negocjacje trwały kilka dni, ale ostatecznie udało się uzgodnić treść porozumienia. Niespełna tydzień od zatwierdzenia go przez sąd matka Anny zmarła.

To, co zaobserwowałam u siebie, to brak jakichkolwiek emocji. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej byłabym przejęta i zdruzgotana, teraz patrzyłam na to jak na sceny w teatrze. Moje życie układało się wedle przyjętego schematu. Prowadziłam dzieci do przedszkola, potem jechałam do biura lub sądu, przeprowadzałam mediacje, odbierałam dzieci z przedszkola, odwiedzałam po drodze rodziców i kończyłam dzień, czytając córkom bajkę na dobranoc. Weekendy spędzałyśmy u dziadków. Dzięki temu, że pogoda wciąż dopisywała, dziewczynki całe dnie były w ogrodzie, a ja w tym czasie pomagałam w domu, czasem umawiałam się z Betką do kina. Zbyszek znów gdzieś przepadł. Przyjaciółka twierdziła, że częściej wyjeżdża z miasta, ma nową narzeczoną i do niej jeździ. Przyjmowałam te informacje obojętnie. Nic mnie nie wzruszało ani nie smuciło. Nie okazywałam przesadnej radości ani nienawiści. Stosunki z rodzicami, a zwłaszcza z matką, bardzo się poprawiły, choć daleko nam było do miłości. Jedyną zmienną w moim życiu były kolejne sprawy i kolejne twarze ludzi do nich przypisanych.

Odbywałam kolejny już dyżur w sądzie. Tym razem dzień był wyjątkowo spokojny, prawie nic się nie działo, mało ludzi, mało wokand, wiadomo, wrzesień. Sędziowie i prokuratorzy po urloпах dopiero rozgrzewali się do kolejnych rund w sprawach. Mój urlop upłynął bardzo szybko.

Pan Mietek, ochroniarz, pani Marysia z rodzinnego i pan Karol, referendarz z wydziału ksiąg wieczystych, namówili mnie na partyjkę brydża. Ponieważ cała trójka była w pracy, a i ja poniekąd też, rozgrywaliśmy tego brydża na raty. Karty trzymał pod kartonowym pudłem, na stoliku w holu pan Mietek, który musiał tkwić przy drzwiach, a pani Marysia i pan Karol spokojnie mogli się przemieszczać po całym sądzie. Pan Karol siedział w pokoju położonym centralnie, pośrodku korytarza. Pani Marysia mogła utknąć tu na chwilę, idąc z aktami do pokoju sędziów, a mnie nie pilnował nikt.

Pan Mietek podnosił pudło, każdy łąpał karty i graliśmy, w odpowiednim momencie kładliśmy wszystko z powrotem na stoliku, a pan Mietek szybko nakrywał je pudłem. Nigdy nie udało nam się dotrzeć do końca rozdania, bo karty często spadały pod stolik i pan Mietek w popłochu wkopywał je głębiej. Trzeba było więc zacząć od początku. Tego dnia w sądzie panował mały ruch, więc istniała szansa, że coś rozegramy. Oczywiście, musiałam powiedzieć to w złą godzinę, bo gdy tylko pan Karol rozdał, usłyszałam głos pani z biura podawczego:

– Tak, dziś pani mediator dyżuruje! A tam, w tej wnęce!

Przedemną pojawił się mężczyzna w średnim wieku oraz kobieta, której wiek trudno było ustalić. Równie dobrze mogła mieć trzydzieści jak i pięćdziesiąt lat. Usiedli i jedno przez drugie zaczęli opowiadać, z czym do mnie przyszli.

Sam scenariusz okazał się banalny: małżonkowie rozstali się, ona odeszła do partnera, on związał się z kobietą i przejął opiekę nad piątką wspólnych dzieci. Mieli dwie dziewczynki i trzech chłopców. Nie mogli się jednak dogadać w wielu sprawach dotyczących swoich pociech, od wyboru kurtek po wybór szkoły. Problem finansowy nie istniał, gdyż oboje zarabiali bardzo dobrze. Każde uważało się za bardziej rozsądnego rodzica od drugiego. Matka twierdziła, że świetnie rozpoznaje potrzeby dzieci, ponieważ dystans i sporadyczne spotkania pozwalają jej widzieć więcej.

Ojciec uważał natomiast, że to on – jako tak zwany opiekun wiodący, jest do tego bardziej predysponowany. Konflikt trwał. Dzieci manifestowały coraz większy bunt, a rodzice przyczyny tego doszukiwali się w sobie nawzajem. Spotkanie trwało już dobrą godzinę, a małżonkowie nie zmierzali do jakichkolwiek wniosków, przeciwnie, wyglądało na to, że to jeszcze potrwa. Zaczęłam się lekko niecierpliwić. Postanowiłam, że zacznę naprowadzać skłóconą parę na właściwe tory, spokojnie, acz stanowczo.

– Proszę państwa, przecież nie po to się państwo spotkali, by ustalać, kto jest lepszym,

a kto gorszym rodzicem. Z dziećmi dzieje się coś niedobrego i tym należy się zająć!

– Otóż to! Zaniedbujesz je, bo twoja uwaga jest skupiona na tej krowie! – natychmiast podchwyciła pani. – Nie kochasz ich już!

– Ja ich nie Kocham?! A kto je porzucił?! I to dla jakiegoś zawszonego gacha!

– On nie jest zawszony! To z tobą nie mogłam wytrzymać!

– Tylko wszarz może znieść taką babę jak ty!

– Kochani, czy możemy skupić się na dzieciach? – przerwałam im.

– Ja cały czas mówię o dzieciach! To ona ma je w nosie!

– Nieprawda! To są moje dzieci i wiem, co jest dla nich najlepsze! – odwzajemniła się kobieta.

Uznałam, że tą drogą donikąd nie dojdziemy. Użyłam więc innego sposobu. Zapytałam, co wiedzą na temat swoich dzieci. Oczywiście nie chodziło mi o ich wiek czy imiona, ale czy wiedzą, czym one się interesują, jak nazywają się ich najlepsi koledzy i koleżanki, której nauczycielki w szkole nie lubią. Państwo popatrzyli na siebie, potem na mnie i zaczęli gdybać. Ich niewiedza objawiła się w pełnej rozciągłości. Zapytałam więc, na jakiej podstawie uważają się za dobrych rodziców.

– No jak to? Przecież jesteśmy rodzicami! To nie wystarczy?

– Kiedy rozmawiali państwo ostatni raz z Małgosią o jej marzeniach? Pani?

– Ona zawsze marzy o tym samym! O to nie trzeba wciąż pytać!

– To znaczy, o czym marzy? Pan?

– Proszę pani, Małgosię widuję codziennie, mieszkamy razem, nie muszę jej o nic pytać!

– Jak pani spędza czas z dziećmi, gdy jesteście razem?

– A to już, jak chcą. Idziemy do kina albo po prostu każdy robi to, co lubi.

– A pan?

– Mówiłem już, że mam ich wszystkich na co dzień! Stale spędzamy czas razem!

Ja już wiedziałam, w czym leży problem, oni jeszcze nie. Na szczęście udało mi się ich przekonać, aby na kolejne spotkanie przyjechali z dziećmi. Tym razem do biura.

Tego dnia popatrzyłam na moje córki i pomyślałam, że ja również niewiele wiem na ich temat. Codziennie relacjonowały mi, jak minął im dzień w przedszkolu, co osiągnęły, czego się nauczyły i co powiedziała pani. Ale gdyby ktoś zapytał mnie, jak nazywa się chłopczyk, z którym Basia tańczy w parze, miałabym problem, żeby udzielić odpowiedzi. Dobrze, że znałam chociaż ulubionych bohaterów bajek. Czy moja matka wiedziała o mnie więcej, gdy chodziłam do przedszkola, a potem do szkoły?

*

Mediacja z udziałem dzieci to jak stąpanie po kruchym lodzie. Ryzykowne i bardzo trudne. Zarezerwowane raczej dla dzieci starszych. Rzadko, żeby nie powiedzieć prawie nigdy, nie zezwalam na angażowanie dzieci w konflikt rodziców. Tym razem nie mogło się bez tego obejść. Zaprosiłam całą piątkę na mediację. Siedmioletniego Piotra, dziesięcioletniego Kacpra, dziesięcioletnią Paulę, dwunastoletnią Agnieszkę i szesnastoletnią Małgosię.

Posadziłam dzieci przy stole i zapytałam, czy rodzice mogą być obecni podczas rozmowy. Dzieci się nie zgodziły. Poprosiłam rodziców, aby wyszli na korytarz, i ponownie zapytałam dzieci, czy drzwi mogą zostać uchylone tak, aby rodzice słyszeli, o czym jest mowa. Po krótkim wahaniu i naradzie dzieci przytaknęły. Przywódcą grupy była zdecydowanie Małgosia. To ona podejmowała ostateczne decyzje, młodsze dzieci jej słuchały.

– Co myślicie o całej tej sytuacji? Rozumiecie, co się dzieje w waszej rodzinie? – zapytałam ostrożnie.

Młodsze dzieci uśmiechnęły się krzywo, ich rzecznikiem była Małgosia.

– Żrą się, nic nowego – oświadczyła.

– Troszczą się o was – powiedziałam, co wywołało salwę śmiechu.

Małgosia uciszyła rodzeństwo i zaczęła mówić. Coraz głośniej i wyraźniej:

– Oboje są siebie warci. Oni nas potrzebują tylko po to, żeby mieć nowy powód do kłótni.

Gdyby zajęli się tym, co do nich należy, nie mieliby czasu myśleć o takich bzdurach. Zamiast wyzywać się od debili z powodu koloru kurtki, może zauważyliby, że Paula źle widzi i potrzebuje okularów albo że Kacper wybił sobie ząb z przodu. To nie oni chodzą na wywiadówki do młodszych dzieci, nie oni odrabiają z nimi lekcje, nie oni odprowadzają je do szkoły, nie oni pilnują, żeby zjadły kolację i umyły uszy. Kiedy Piotrek został do nocy u kolegi, to ojciec, zamiast go szukać, dzwonił do matki z pretensjami, że źle go nastawia przeciwko niemu. Nie mam już siły jeszcze nimi się przejmować. Mam tyle pracy z dziećmi, że jest mi wszystko jedno, czy się pozabijają, czy nie. Gdy będę pełnoletnia, wyprowadzę się i zabiorę maluchy do siebie, oni pewnie i tak tego nie zauważą zajęci sobą.

– O czym marzysz, Małgosiu?

– O nowej pralce. Stara nie odwirowuje dobrze i rzeczy schną długo, a czasem śmierdzą.

– A coś takiego tylko dla ciebie?

– Żeby maluchy nie zeszły na złą drogę. Kacper i Paula źle się uczą, bo ja nie nadążam ze wszystkim. Nie umiem pomóc Agnieszce w matematyce, bo sama jestem z niej słaba. Nauczyciele się na nich skarżą, ale ja nie umiem nad wszystkim zapanować, bo sama chodzę do szkoły i odrabiam lekcje.

– Co chciałabyś zmienić w swoim życiu?

– Chciałabym pójść do szkoły fryzjerskiej. Mogłabym szybko zacząć pracować i wtedy dzieciaki może zostałyby ze mną. Pomoże mi pani napisać taki wniosek do sądu?

Gdy dzieci skończyły, rodzice weszli do środka. W milczeniu. Oboje płakali. Przygotowałam ugodę, w której matka i ojciec przede wszystkim zapisali podział obowiązków między sobą. Gdy dwa lata później spotkałam Małgosię, powiedziała mi, że stan porozumienia przetrwał tylko pół roku. Potem ojciec rozstał się ze swoją partnerką i wojna między rodzicami rozgorzała na nowo, bo matka uznała, że w takiej sytuacji nie powinien wychowywać dzieci. Małgosia podjęła naukę w szkole fryzjerskiej i złożyła wniosek do sądu o ustanowienie jej rodzicem zastępczym dla młodszego rodzeństwa.

Podczas tamtej mediacji życzyłam sobie i moim dzieciom, abyśmy nie zatraciły tego, co między nami zaczęło się na nowo rozwijać. Zaufania, poczucia bezpieczeństwa opartego na tym, że znamy swoje potrzeby i oczekiwania, doceniamy wzajemne starania i szanujemy to, że każda z nas jest inna. Zaczęłam częściej bywać w przedszkolu, angażowałam się w dekorowanie sal przed przedstawieniami dla rodziców, pomagałam szykować kostiumy dla dzieci. Dwa razy w tygodniu odwoziłam Laurę na zajęcia plastyczne, a w każdą środę czekałam na Basię przed salą taneczną, aż skończy lekcję baletu. To teraz był mój świat. Moja matka wydawała się zadowolona. Trzymała nad wszystkim kontrolę, co jakoś mi już nie przeszkadzało. Byłyśmy we trzy jej córkami. Sprawa tajemniczego listu odeszła w zapomnienie. Betka spotykała się nadal z Maciejem, który nie pojawił się więcej w naszym biurze i nigdy już się ze mną nie spotkał. Zbyszek hulał po świecie i z nim też nie miałam kontaktu. Praca i dzieci wypełniły moje życie.

Wraz z nadejściem jesieni zmienił się krajobraz, który mnie otaczał. Ludzie w ciepłych ubraniach powieszali markotne głowy, stali się mniej uśmiechnięci, a zarazem bardziej skupieni na sobie. Rutyna i powtarzalność okazały się doskonałym lekiem na moje nerwy. Niczego innego nie pragnęłam ani nie szukałam.

Nasze biuro, które przez wakacyjną chwilę przypominało oazę spokoju, znów zatrzęsło

się pod wpływem hałaśliwych sąsiadów. Działająca nad nami firma szkoleniowa rozwijała skrzydła, klientów przybywało, co powodowało coraz więcej niezręcznych sytuacji.

– Można na przedłużenie? – Słyszałyśmy prawie każdego dnia.

Tym razem w drzwi wsadził głowę jakiś łysy facet.

– Obok i nad nami przedłużają – odpowiadałyśmy mechanicznie.

– A nie wie pani, czy będę musiał dmuchać tego manekina? – dopytywał się łysy. – Bo ja do pracy muszę lecieć, a zwykle jest setka facetów do dmuchania jednego manekina.

– Nie wiem – odparła Betka. – Może nie będzie pan musiał dmuchać.

– Aha – mężczyzna przyjął fakt do wiadomości i zabrał głowę z drzwi.

*

Z Marcinem znaliśmy się od lat. On rozpoczął przygodę mediatora znacznie wcześniej niż my i sporo się od niego nauczyłam. Pojawił się w październikowy wtorek z pewną propozycją, ale jak każdy zapytał, o co chodzi z tym tłumem, który stoi na klatce schodowej i rozprawia o dmuchaniu Mariolki.

– Oni prowadzą szkolenia zawodowe, które kończą się egzaminem – wyjaśniła Betka. – W programie jest szkolenie bhp i kurs udzielania pierwszej pomocy. W tym celu wykorzystują fantoma, którego ochrzcili imieniem Mariolka, pomalowali usta lakierem do paznokci i kupili blond perukę. No i na mieście rozeszło się, że tutaj można sobie podmuchać w ramach podnoszenia kwalifikacji zawodowych.

Marcin przyjął wyjaśnienie i przedstawił, z czym przyszedł. To miała być szybka, prosta sprawa, która dotyczyła szkoły. Nie budynku, rzecz jasna, lecz osób. „Fajnie, pomyślałam, w takich sprawach szybko widać rezultat, bo dzieciaki nie potrzebują lat świetlnych, żeby podjąć decyzję”. Zlecenie przyszło z magistratu, twierdził Marcin, ale on – ze względu na liczbę prowadzonych już spraw – nie mógł się tego podjąć.

– Proszę, niech pan to załatwi – miał powiedzieć mu burmistrz. – Taka awantura się z tego zrobiła, a przecież nic się nie stało!

Marcin przekazał nam potrzebne informacje i nagle zaczął się śpieszyć. Zostawił nas z konfliktem pomiędzy jedną z nauczycielek i dyrekcją, i tyle go widziałyśmy.

Nazajutrz pojechałam do szkoły, żeby ustalić szczegóły. Betka tego dnia miała umówione dwa spotkania. Ustaliłyśmy, że zdam jej relację i razem się do tego weźmiemy.

Była środa, godziny przedpołudniowe, w szkole odbywały się lekcje. Weszłam do budynku przez szatnię (takie było zalecenie na drzwiach wejściowych) i wpisałam się do zeszytu wejść. Panie woźne podejrzliwie popatrzyły na mnie, gdy napisałam słowo „mediator”.

– To ta menda już prokuratora nasłała! – syknęła jedna z pań.

Na razie nie wyprowadzałam jej z błędu, bo zawsze przyjdzie na to pora. Udałam się do gabinetu dyrektora. Przywitała mnie drobna blondynka w średnim wieku, bardzo spięta i zdenerwowana, która zanim jeszcze zdążyłam usiąść, już mówiła, nerwowo rolując papierosa.

– Tak, postaram się to jak najzwyczajniej... przepraszam, pani pali? Nie? Ja też nie w zasadzie, ale ta sprawa... sama pani rozumie... to pani nie przeszkadza? Później zapalę... tylko te nerwy... jak palę, to się uspokajam... wiem, że nie wolno, że nie powinnam...

Sekretarka bezszelestnie wniosła parującą szklankę z herbatą i zamknęła za sobą drzwi. Lubię pić herbatę, póki jest gorąca, ale ze szklanki bez uchwyty nie jest to możliwe.

– Nie wiem, od czego zacząć – wyznała dyrektor i wzięła kolejnego papierosa, a dwa pokruszone leżały w popielniczce. – Może napije się pani czegoś?

– Już mam, dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – Chodzi o konflikt z jedną z nauczycielek?
– Tak, to znaczy nie, to znaczy też, bo ksiądz też uczy, ale to przecież ksiądz! – zdenerwowała się dyrektorka.

Słowo „ksiądz” powiedziała takim tonem, jakby chodziło o samego papieża.

Odsunęłam szklankę z herbatą, z której pani dyrektor zdążyła trochę niechętnie upić, i powiedziałam ciepło:

– Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Okazało się, że dyrektor pełni swoją funkcję od niedawna, choć w tej szkole przepracowała ponad pięć lat jako polonistka. W sierpniu przystąpiła do konkursu na dyrektora placówki, który wygrała. Sukcesem cieszyła się krótko. Okazało się, że zakusy na tę posadę miała także nauczycielka matematyki z ponaddwudziestoletnim stażem. Osoba ambitna i dociekliwa, która szybko ustaliła, że pani dyrektor to szwagierka burmistrza. Sprawdziła również, że trzykrotnie zmieniała pracę, etat polonistki zaś objęła w tym czasie, kiedy burmistrz zajął miejsce w magistracie.

Ujawniła wyniki śledztwa w najgłębszej tajemnicy jednej z koleżanek, nauczycielce biologii. Ta solennie przysięgła nikomu nic nie mówić, ponieważ nauczycielka matematyki zamierzała nadać sprawie bieg. Szykowała się do rozmowy z dziennikarzem jednej z lokalnych gazet. Tymczasem już następnego dnia cała szkoła huczała od plotek. I to jakich! Historia urosła do romansu dyrektor z burmistrzem, w rezultacie którego miała zostać dyrektorem szkoły. Wstrząsnęło to lokalną społecznością.

Młody ksiądz, pełniący obowiązki katechety w szkole i wikarego w parafii, nie wiedział, co w tej sytuacji począć. Jego przełożony przechodził poważną operację i nie można go było denerwować. Do biskupa nie miał odwagi jechać, ale rzesze zgorszonych wiernych, które naciskały na niego, aby zajął stanowisko w sprawie, zrobiły swoje. Ksiądz się wypowiedział. Podczas niedzielnej mszy zganił związki pozamałżeńskie, a w szkole, podczas rady pedagogicznej, wspomniął o oddawaniu cesarzowi, co cesarskie, i posłuszeństwie wobec przełożonych. Chcąc pogodzić wszystkich, rozpetał piekło.

Zwykle podczas pierwszych rozmów ze stronami wiem już lub domyślam się, w czym leży problem, i zaczynam się zastanawiać, jak zaproponować rozwiązanie, które często jest oczywiste, klientom. Tu nie wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Ale przypomniałam sobie rady Marcina, oby z piekła nie wyjrzał za wrobienie mnie w tę sprawę. Procedura, zasady. Gdy nie wiesz, co robić, przypomnij sobie procedury. Zawsze to powtarzał. Jaka jest procedura? Ustalili potrzeby i motywy. No to ustalałam.

Spotkałam się z dyrektorem oddzielnie, z panią od matematyki oddzielnie (u niej w domu, bo obawiała się podsłuchu w szkole) i z księdzem oddzielnie, na plebanii (prosił o pomoc, bo parafianie, a zwłaszcza parafianki nie dawały mu spać w nocy – przytaczam jego wypowiedź!). Mediacja rozlała się na wszystkie dni października, zajmując cały mój czas.

Dyrektor szkoły przyznała, że do wzięcia udziału w konkursie namówił ją szwagier, czyli burmistrz. Wcześniej do pracy w tej szkole także. Czuli się bezpiecznie, wiedząc, że ma sprzymierzeńca w „jednostce nadrzędnej”, choć nie zamierzała tego faktu nigdy wykorzystywać. W poprzednich placówkach była świadkiem różnych rozgrywek między nauczycielami, pracownikami i dyrekcją. Miała jednak wrażenie, że dyrektor jest w stanie nad tym wszystkim zapanować. Dopóki nie awansowała, wszystko układało się dobrze. Uważała więc, że to zazdrość była przyczyną konfliktu. Gotowa była nawet z powrotem pracować jako nauczycielka, nie czuła się bowiem dobrze w roli dyrektora, jednak w obecnej sytuacji nie mogła się wycofać, bo wszyscy odebraliby to jako przyznanie się do stawianych jej zarzutów. Może za jakiś czas zrezygnuje?

Pani od matematyki poczuła się mocno dotknięta, gdy młodsza wiekiem i stażem koleżanka zaczęła wydawać jej polecenia. Ona знаła tę szkołę od podszewki, wszystkie procedury, ponieważ pełniła funkcję zastępcy dyrektora. Uważa, że nauczyciel jest jak misjonarz, powinien być bez skazy i całkowicie poświęcić się szkole i uczniom. Ktoś, kto wykorzystuje koneksje rodzinne, nie jest godzien pełnić takiej funkcji. Nie ona rozpętała to piekło. Nie wie kto. Zamierzała namówić dziennikarza do napisania artykułu, który by obiektywnie przedstawił tę sytuację. Liczyła, że dyrektor i burmistrz poczują się zawstydzeni i naprawią swoje błędy. Nie przewidziała, że tak to się rozwinie. Nie wycofa się jednak ze swoich słów, bo ma rację, poza tym jak by wyglądała przed ludźmi. Zawsze może jednak pomóc. Jest dobrym pedagogiem i nawet najgorszemu uczniowi zawsze daje szansę, gdy okazuje on skruchę i chęć poprawy.

Umówiłam spotkanie obu pań ze mną i Betką. Ale pozostał jeszcze nieszczęsny ksiądz. Udałam się więc do kościoła. W jego sprawie natchnienia mogłam szukać tylko tam. Nie pomyliłam się.

*

W eter poszła kontrolowana plotka, że w szkole trwają negocjacje. Z udziałem „prokuratorów”, czyli Betki i mnie. Dlatego nie musiałyśmy już przechodzić przez szatnię, tylko głównym wejściem.

Zaprosiłyśmy matematyczkę do gabinetu dyrektorki. Dałam sygnał, aby matematyczka przejęła inicjatywę podczas rozmowy, a sama powiedziałam:

– To bardzo trudna sprawa. Niepotrzebnie rozlała się tak szeroko, ale ufam, że zdołają panie znaleźć wyjście z tej sytuacji. – Popatrzyłam na panią od matematyki tak jak na wszystkie panie od matematyki, które mnie uczyły, o ile w ogóle zdobyłam się na odwagę, żeby na nie spojrzeć. Betka nie odzywała się, czekając na rozwój wypadków. Wiedziała, co zamierzam. W razie potrzeby poprosiłyby którąś z nauczycielek o rozmowę na osobności.

– Zgadza się – pani od matematyki złapała haczyk. – Mamy problem i trzeba go rozwiązać. To, że nie rozwiązał się do tej pory, wskazuje, że źle podstawiono dane. Ustalmy więc, ile jest niewiadomych. Po pierwsze: mam podstawy przypuszczać, że źle pełni pani swoją funkcję, pani dyrektor. Bo: a) szkoła funkcjonuje w mało sprawny sposób, b) dochodzi w niej do konfliktów. Szkoła nie jest zbiorem abstrakcji, choć możemy mówić o zbiorze otwartym. Należy zatem, stosując zwykły rachunek prawdopodobieństwa, przyjąć, że przy takim iloczynie różnych zdań i opinii może mieć miejsce suma zdarzeń niepożądanych. Jeśli przyjąć tę okoliczność jako jedyną niewiadomą, którą można w dodatku w przybliżeniu oszacować, ryzyko wystąpienia konfliktu maleje do poziomu błędu statystycznego.

– Czy w pani przekonaniu pani dyrektor objęła stanowisko w sposób nieuczciwy? – musiałam o to zapytać. – Według pani nie nadaje się, ale czy zarzuca jej pani także nieuczciwość?

Pani od matematyki na chwilę zamyśliła się i powiedziała gdzieś w przestrzeń:

– Zdarzają się błędy w wyliczeniach. Suma wypadkowych w tym przypadku...

– Czy uważasz, że załatwił mi tę posadę? – nie wytrzymała dyrektor.

– Nie. Ale nie nadajesz się kompletnie na to stanowisko! Co widać teraz!

– Dlaczego więc ty nie ubiegałaś się o to stanowisko?!

Matematyczka popatrzyła twardo na koleżankę i powiedziała:

– Nie będę się prosić. Przepracowałam w tym zawodzie i w tej szkole ponad dwadzieścia lat. Mnie powinien je zaproponować!

– Przecież nie wiedział, że chcesz!

– Ja umiem poradzić sobie ze wszystkim, bo umiem myśleć analitycznie – oświadczyła dumnie pani od matematyki. – Tobie bym teraz coś doradziła, ale nie chcę się wtrącać!

Następnego dnia dyrektor wydała oświadczenie, które przeczytała w obecności wszystkich pracowników szkoły. Brzmiało tak:

„W nawiązaniu do nieprawdziwych informacji dotyczących dyrektor szkoły i objęcia przez nią funkcji, rozpowszechnianych w ostatnim czasie w naszym środowisku, oświadczam, że nie zamierzam się do nich ustosunkować. Są to kłamliwe pomówienia, których nie będę komentować ani więcej się nimi zajmować. Informuję, że 15 marca bieżącego roku udaję się na zwolnienie lekarskie. Podczas mojej nieobecności obowiązki dyrektora pełnić będzie pani Anna Wiśniewska, nauczyciel matematyki, jako wicedyrektor placówki, o czym już zdecydował pan burmistrz”.

*

Trudna to była sprawa, ale zegnałyśmy się dość wylewnie. Dostałyśmy kwiaty i podziękowania (co jest rzadkością). Na koniec pani woźna powiedziała:

– My już zawsze wszystkich prokuratorów będziemy tak witać!

Tym razem sprostowałam, że jesteśmy mediatorkami, nie prokuratorkami.

– Może to i lepiej? Mniejszy wstyd – skwitowała pani woźna.

– Zauważyłaś, że potraktowali mnie tak jak ciebie, a przecież poza powitaniem i pożegnaniem nie odezwałam się ani słowem? – zauważyła Betka, gdy wyszłyśmy ze szkoły.

Pani dyrektor nie wróciła już do pracy w tej szkole, o czym dowiedziałam się znacznie później. Zatrudniła się jako polonistka w innej placówce. Matematyczka przystąpiła do konkursu i została nowym dyrektorem szkoły. A co z księdzem wikarym? Podczas jednego z kazań przypomniał wiernym przypowieść o rzucaniu kamieniem... I teraz już śpi spokojnie.

*

Telefon od Zbyszka tak bardzo mnie zaskoczył, że nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Poza zdawkowym: „Serwus, jaki leci? Gdzie się podziewałeś?” nic nie przyszło mi do głowy. Zbyszek zaproponował spotkanie u siebie w mieszkaniu. Zawahałam się. Zakończona mediacja zajęła mi dużo czasu, nowej sprawy jeszcze się nie podjęłam, w grę wchodziły wyłącznie godziny, kiedy Laura i Basia przebywały w przedszkolu. Z klientami już nie umawiałam się późnym popołudniem i wieczorem. Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby spotkać się z nim u mnie w mieszkaniu. Swój dom traktowałam jak twierdzę, ostoję spokoju i bezpieczeństwa, do której wstęp miały tylko trzy osoby: moje córki i ja. Ostatecznie umówiliśmy się trzeciego listopada o dziewiątej w mieszkaniu Zbyszka. Betka wzruszyła niedbale ramionami, gdy jej o tym powiedziałam.

– Pewnie kolejna panna dała mu kosza – prychnęła pogardliwie. – Nie mam ochoty znów tego wysłuchiwać.

Zbyszek otworzył mi, gdy tylko zbliżyłam palec do dzwonka. Był bardzo zdenerwowany. W mieszkaniu panował zwyczajny bałagan, ale tym, co przykuwało uwagę, były porozstawiane na podłodze lampy. Zajmowały prawie całą wolną powierzchnię. Zbyszek przeprowadził mnie do kanapy niczym pomocnik linoskoczka.

– Robisz remanent swoich zbiorów czy wyłączyli ci prąd? – zażartowałam na widok zbiorów.

Zbyszek tylko prychnął. Usiadłam na kanapie, a on przestawił dwie bardzo oryginalne, duże lampy na stół.

– Muszę się wyprowadzić do końca roku – powiedział po kilku chwilach milczenia. – Właściciel mieszkania wraca z zagranicy i wymówił mi lokal.

– Jak to? Tak nagle? – zdziwiłam się.

– Nie, pisał o tym wcześniej, ale potem zamilkł, więc uznałem, że temat nieaktualny. A teraz mam niewiele ponad miesiąc, żeby znaleźć nowy kąt.

Pokiwałam głową ze współczuciem. Zbyszek tułał się tak od dwudziestu lat. Nie miał rodziny, wychowywał się w domu dziecka. Przez całe życie doskonale sobie radził, jednak nie zdołał nigdy zarobić tak dużo, żeby wystarczyło na zakup mieszkania. Co jakiś czas szukał nowego. To, które teraz zajmował, wynajął ponad trzy lata temu. Właściciel wyemigrował i wyglądało na to, że Zbyszek osiadzie tu na dłużej.

– Najgorzej z tymi lampami – westchnął. – Co ja z nimi zrobię? Nawet jeśli coś sobie wynajmę, to nie przeprowadzę się z całym tym zbiorem. Chyba je rozdram. Może znasz kogoś, kto mógłby je przechować?

– Ależ to twoja kolekcja, nie możesz jej rozdać! – zaprotestowałam. – W tej chwili nikt nie przychodzi mi do głowy, ale pomyślę. Wstrzymaj się z rozdawaniem.

– Nie mam dużo czasu – zasmucił się Zbyszek. – Kolega obiecał mi pokój u siebie, jeśli nic nie znajdę. Ale lampy się tam nie pomieszczą. Parszywy czas teraz, bo święta się zbliżają i ludzie nie myślą o szukaniu lokatorów.

– Coś wymyślimy – pocieszałam go, choć nie miałam żadnego dobrego pomysłu, by mu pomóc. – A co u Marianny?

Zbyszek nagle wstał, podszedł do szafki pod zlewem i wyjął coś stamtąd. W pierwszej chwili pomyślałam, że przypomniał sobie, że coś wyrzucił, i poszedł, żeby to wyjąć. Ale on przyniósł papierosy. Raczej nie trzymał ich w koszu na śmieci, ale nie wiedziałam nawet, że pali.

– Od kiedy palisz? – zapytałam z naganą w głosie.

Zbyszek zaciągnął się mocno i odparł:

– Odkąd Marianna odeszła.

– Nie pracujecie już razem? – zdumiałam się.

Zbyszek zajął miejsce przy stole i zatruwając się nikotyną, odpowiedział:

– Nie, w pracy została. Wychodzi za męża. W sylwestra.

– Za kogo?!

– Za Mirka. Zakochała się dziewczyna, co poradzisz.

Przyglądałam się przyjacielowi i nie wiedziałam, co powiedzieć. Stanowczo zbyt wiele zważyło się na niego na koniec roku. W takiej sytuacji każde słowo może być niewłaściwe, ale milczenie jest jeszcze gorsze. Postanowiłam zmienić temat.

– A jak ci się układa w pracy?

Zbyszek zgniótł papierosa na talerzu i postukał palcem w blat stołu.

– Fatalnie. Jeździłem ostatnio po Polsce, bo znajomy ma dużą firmę kominiarską i zlecenia mu się sypią jak z rękawa. Polecił mnie klientowi. A ten gość mieszkał w bliźniaku i miał wspólny przewód z sąsiadem. To znaczy kominowy. I sąsiad nie chciał się zgodzić na żadne pomiary po jego stronie, bo mieli panowie na pieńku. No to ja, genialny, podpowiedziałem klientowi, żeby nadał sprawę policji, że zagrożenie życia i tak dalej. I ten pajac to podchwycił. Znalazł znajomka, który robił w prokuraturze, i załatwił nakaz przeszukania. O szóstej rano weszła policja, ale nie terroryści, to znaczy anty, tylko normalni. Facet, ten uparty sąsiad, rozumiesz, w piżamie, na szczęście nie rzucali nim o ziemię, ale pokazali nakaz przeszukania. Wstyd na całą okolicę, bo wszystko rozgrywało się w drzwiach wejściowych i przed bramą. Trzy radiowozy, policjanci w mundurach, bo znajomek odwdzięczał się za jakąś przysługę. Facet zgłupiał, żona w szoku, sąsiedzi patrzą, cyrk. I w tym wszystkim ja, jak ostatni idiota, żeby

kominy sprawdzić.

– No nieźle. – Pokiwałam głową z uznaniem. – Ale skoro nie chciał po dobroci...

– No właśnie, głupi człowiek – przytaknął Zbyszek. – Uparty jak osioł i w dodatku głupi. Okazało się, że zabalsamował przewody wentylacyjne.

– Co ty opowiadasz? Jak?

– Cement wlał. Mówiłem ci, że miał z sąsiadem na pieńku. Tamten wezwał kominiarzy, bo sezon grzewczy się zaczął, a tu ciągu brak. Ale należało zbadać cały komin, nie tylko kawałek, i stąd cała heca!

– No i jak to się skończyło?

– A jak się miało skończyć? – burknął Zbyszek. – Klient nie popuścił, nadał sprawę do prokuratury, że sąsiad sprowadził na niego zagrożenie życia, i cholera, sprawa w sądzie będzie. A ten mój kolega to nie lubi takiej reklamy i mam robotę w plecy, niech to wszyscy diabli!

– Przykro mi – wyszeptałam, bo co innego mogłam powiedzieć. Zbyszek tylko wzruszył ramionami. – Popatrz, nawet cię nie poczęstowałem herbatą – przypomniał sobie. – Co za cham ze mnie!

– Zbysiu – zaczęłam ostrożnie. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne! Wal!

– Czy ty uważasz, że mi odbiło? No wiesz, wtedy, gdy jechałam do Amsterdamu, i wcześniej?

Zbyszek oparł się mocniej plecami o krzesło, odchrząknął, a następnie pochylił się bliżej w moją stronę.

– Wiesz, co myślę? – zaczął. – Każdy by zwariował na twoim miejscu. Ja jestem prosty kominiarz, ale swoje wiem. Trochę się nasłuchałem i trochę się napatrzyłem i swój rozum mam. Każdy widzi, co chce zobaczyć. Może trochę ci odbiło. Ten mój kolega, co cię wiozł, to przez tydzień o tym opowiadał. Ale ja myślę, że dobrze zrobiłaś. Na Betkę nie licz, ten fagas zawrócił jej w głowie i ona nie myśli rozsądnie. Jeszcze się przekona, że to farbowany lis. A twoja matka też ma za uszami!

– A ten wypadek? Detektyw? Oni twierdzą, że wszystko wymyśliłam!

– Byłaś spięta, to prawda – przyznał kominiarz. – Czasem nie dało się z tobą normalnie pogadać, bo omal oczu nie wydrapałaś. Ale to nie działa się bez powodu. Nie daj sobie nic wmówić.

– Jestem zmęczona, Zbyszku – westchnęłam. – Pogubiłam się. Teraz sobie żyję spokojnie, o nic nie pytam, nie dociekam, ale nie mogę spać. Coś mnie dręczy. Tylko wiesz, jeśli przyznam się, że tak jest, to mnie wsadzą do wariatkowa.

– Kłamstwo ma krótkie nogi – znów odchrząknął Zbyszek. – Przyjdzie czas, a wszystko się wyjaśni. Co cię dręczy najbardziej?

– List – odparłam. – Moja matka upiera się, że wręczyła mi jakiś list, po przeczytaniu którego podobno doznałam szoku i zaczęły się wtedy moje omamy i halucynacje.

Przeszukałam cały dom, ale nic nie znalazłam. Nie pamiętam żadnego listu. Podobno wyparłam to z siebie.

– Rozumiem, że kopia nie istnieje? – domyślił się Zbyszek.

– Nie – potwierdziłam. – I mają mnie w szachu, bo jeśli list się nie znajdzie, już nigdy nie zrozumiem, co było prawdą, a co nie.

– No tak. – Zbyszek pokiwał głową. Nagle poderwał się, jakby coś przyszło mu do głowy.

– To powiedz im, że znalazłaś ten list!

– Jak to? – w pierwszej chwili nie rozumiałam.

– Normalnie. Odnalazł się. I wszystko sobie przypomniałaś – ożywił się Zbyszek. –

Zobaczysz, co wtedy zrobią, i przekonasz się, co jest co.

– Jesteś genialny! – Klasnęłam w dłonie. – Po prostu genialny!

Do biura już nie wróciłam. Zaczęłam spokojnie obmyślać intrygę, która miała mnie doprowadzić do prawdy.

*

Następnego dnia przyjechałam do sądu i od razu zorientowałam się, że coś jest nie tak. Przy maszynie prześwietlającej wchodzących nie było nikogo i przy wejściu nie było nikogo. Przez chwilę zastanawiałam się, czy aby to nie jest dzień wolny od pracy, ale uznałam, że nie, ponieważ wówczas budynek byłby zamknięty. Ponadto mijałam ludzi, kręcili się na korytarzu, w ogóle było dość głośno w tym raczej spokojnym, lokalnym sądzie. Zagadka wkrótce się wyjaśniła. Zarówno ochroniarz, jak i kilka osób z obsługi, które znałam z widzenia, tłoczyło się przy drzwiach jednej z sal rozpraw. Stali ściśnięci przy niewielkiej szparce w drzwiach, przez którą dochodziły na korytarz krzyki ludzi znajdujących się w środku. Niewątpliwie trwała tam potężna awantura i nie mogłam zrozumieć, że sędzia na to pozwala.

– Nie wiem, czy dzwonił, bo tak ryczą, że nic nie słyszę! – doleciały mnie słowa ochroniarza. Stał najbliżej uchylonych drzwi, które blokował stopą. – Jakby zadzwonił, to wchodzę i wyciągam za fraki jednego z drugim!

Domyśliłam się, że chodzi o sędziego i awanturujących się uczestników postępowania. Sędzia miał zadzwonić (ale czym? dzwonkiem? telefonem? zębami?) i wtedy ochrona by zainterweniowała.

– Tego łobuza, co tak przeklina, pan wyniesie, panie Mieciu! Tego głośnego łobuza! – Kiwała głową drobniutka blondynka na gigantycznych obcasach, którą widywałam w wydziale karnym. Pan Miecio, ochroniarz, na chwilę wsadził nos w szparę, po czym ponownie odwrócił się do zebranych.

– No, tego chama, co tak łży wszystkich, po prostu zaraz wyniosę!

– Proszę państwa, to jest niedopuszczalne, takie opóźnienie! – denerwował się stojący niedaleko adwokat. Wzruszał ramionami, prychał, parskął i uderzał ręką o spodnie. – Tak nie może być! Ja muszę za godzinę otworzyć kancelarię, klienci czekają! Dlaczego to tyle trwa? Co tam się dzieje?!

– Panie mecenasie, a może pan coś poradzi? Może pan wejdzie tam i zwróci uwagę, że powinni już skończyć? – zapytał nieśmiało pan w garniturze, domyśliłam się, że klient adwokata. Prawnik pobujał się na stopach, nadał jak balon i tak wydał szczękę, że wyglądała jak wysunięta szuflada.

– Dziesięć minut! Jeśli nie skończą za dziesięć minut, to wejdę tam i zwrócę uwagę. Tak nie można, trzeba się szanować!

Dowiedziałam się, że gromka awantura trwa w sali rozpraw od dłuższego już czasu i nie zanosilo się na rychłe jej zakończenie, a następni klienci czekają w kolejce na swoją wokandę. Ochroniarz wahał się, czy interweniować, bo nie odebrał wyraźnego sygnału od sędziego, a cała reszta, ucieszona nieoczekiwaną sensacją, trwała w oczekiwaniu na to, co się stanie. Do tej reszty należałam i ja.

– Na zbity ryj! Pyski obtłuc to mało! Ja wam pokażę, psubraty!!! – rozległo się nagle przez szparę w drzwiach. Pan Mietek jako profesjonalny ochroniarz otworzył drzwi z rozmachem i wtargnął do sali, krzyząc:

– Czekaj, bydlaku, przesadziłeś!

– Pan go wyniesie! Za fraki i ze schodów spuścić! – krzyknął ktoś.

Pan Mietek wszedł i jeszcze szybciej wyszedł, okropnie czerwony na twarzy. Okazało się

bowiem, że ten chamski łobuz, którego należało wynieść, to sędzia. Chwilę potem on, czyli sędzia, stanął w drzwiach, rozczochrany, z niezapiętą togą i zapytał grobowym głosem:

– Komuś z państwa się śpieszy?

– Ależ skąd! – odpowiedział natychmiast adwokat, który jeszcze przed chwilą tak bardzo chciał napominać sędziego. – My poczekamy, wysoki sędzie, ile trzeba będzie, to poczekamy!

Sędzia zatrzasnęła za sobą drzwi, a zgromadzeni popatrzyli na siebie skonsternowani. Wtedy ktoś zwrócił uwagę na mnie.

– O, pani mediatorka! Wreszcie się pani na coś przyda!

Ciemno zrobiło mi się przed oczami. Ale zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, podszedł do mnie wysoki mężczyzna z gęstym zarostem na twarzy i powiedział:

– Pani jest mediatorem? Można? Bo ja właśnie do pani...

Odetchnęłam z ulgą. Któż bowiem chciałby wchodzić w bezpośrednią konfrontację z rozjuszonym sędzią?

Po paru dniach dowiedziałam się, że sędzia po tej awanturniczej rozprawie nie orzekł już tego dnia. Pozostałe sprawy spadły z wokandy, a on poszedł na zwolnienie lekarskie.

Zaprosiłam pana z brodą do mojego biureczka we wnęce i poprosiłam, by opowiedział, z czym do mnie przychodzi.

– Świat mi się zawalił. Nie mam po co żyć... – rozpoczął, skubiąc brodę.

Zaniepokoiłam się, że po rozmowie zostanie kupa kłaków do zebrania, ale mężczyzna po chwili zaczął płakać, brodę zostawiając w spokoju. Na szczęście zawsze mam pod ręką chusteczki do nosa.

– Jestem po prostu zdruzgotany – chlipał mężczyzna. – Moja żona złożyła do sądu wniosek o rozwód i wyprowadziła się z domu wraz z dziećmi. Nie chce ze mną rozmawiać, nie odbiera telefonów, zabroniła dzieciom kontaktować się ze mną, nie wiem, co robić! Nic nie rozumiem!

Był w takim stanie, że niewiele się dowiedziałam. Poprosiłam o numer telefonu do żony i obiecałam poinformować go wkrótce, czy zgodziła się na mediację. Nie miałam zaplanowanych żadnych spotkań, więc zatelefonowałam od razu, gdy tylko się oddalił. Po drugiej stronie odezwała się kobieta, która stanowczo oświadczyła, że mediuwać nie będzie, ponieważ przez ponad dwadzieścia lat doświadczała od męża upokorzeń i szykan, stosował wobec niej i dzieci przemoc psychiczną i fizyczną, zatem decyzja o odejściu stanowi pozytywny przełom i nie zamierza jej zmieniać.

Po takim komunikacie powinnam odstąpić od dalszych czynności. Mediacji nie prowadzi się w sprawach, w których istnieje podejrzenie stosowania przemocy. Ponadto kobieta wyraźnie zakomunikowała, że nie chce rozmawiać z mężem. Dlaczego zatem nie zakończyłam sprawy na tym etapie? Otóż w ostatnim zdaniu, przed słowami: „do widzenia”, padło:

– Zapłaci za moje krzywdy, wykończę go w sądzie!

Zarzut znęcania się nad rodziną jest często podnoszony w pozwach rozwodowych przez oboje małżonków. Jaki procent z nich opiera się na prawdzie? Szacuje się, że mniej niż połowa. Ponieważ nie miałam pewności, o której połowie mówimy, doprowadziłam do rozpoczęcia mediacji.

Kobieta zasugerowała, aby spotkania przebiegały wahadłowo, czyli miałam rozmawiać na przemian, raz z nią, raz z nim. Utrudnia to mediację, ale skoro nie ma innego wyjścia, niech będzie i tak. Poinformowałam o tym jej męża i przystąpiłam do rzeczy, najpierw umawiając się z kobietą. Przyszła do biura nazajutrz.

– To definitywny koniec mojego burzliwego i mocno nieudanego małżeństwa – zaczęła, trzymając przy oku haftowaną chusteczkę.

Było to teatralne, bo ani razu nie dotknęła ani oka, ani nosa tą chusteczką, ale udałam, że tego nie dostrzegam.

– Jestem po rozmowie z psychologiem – ciągnęła. – To spotkanie uruchomiło we mnie coś, czego nawet nie umiem dobrze scharakteryzować. Mogę tylko porównać ten stan do śmierci i ponownych narodzin. Rozmowa z tą kobietą, z psychologiem znaczy się, pokazała mi mnie jako inną osobę. Co więcej, według niej ta przemiana powinna zapoczątkować szereg zmian w moim życiu, na końcu zaś tej drogi znajdę wrota do nowego życia. Może to i banał, ale krył w sobie przesłanie, które uniosło mnie wysoko. Jakbym dostała skrzydeł. Pani psycholog orzekła, że praca, którą wykonuję, zyska zupełnie nowy wymiar. Będę musiała zmierzyć się z doświadczeniami, o których mi się nie śniło do tej pory. Niewiele mam czasu na przerobienie życiowych lekcji. Jeśli nie wykorzystam szansy, pozostanę ze świadomością, że mogłam, byłam blisko... A mój mąż... No cóż, on jest taki trywialny, taki prozaiczny, taki przyziemny! Nie pasujemy do siebie, czy pani to rozumie?

Fakt, gdy przypomniałam sobie niechlujną brodę i smutne oczy mężczyzny, to nie pasował mi do eleganckiej kobiety, która przewracała oczami spod sztucznych rzęs.

– Zamierza pani zostać mniszką?

– Skądże! Zamierzam ponownie wyjść za mąż!

– A co z dziećmi?

– Dzieci zostaną przy mnie.

– Dlaczego przy pani?

– Bo ten troglodyta nie umiałby ich wychować właściwie. Czy pani zdaje sobie sprawę, że on nie rozróżnia medytacji zen od jogi? Jak ktoś taki może wychowywać dzieci?!

– Czego w takim razie oczekuje pani od męża? On chciałby się z panią pojednać, nie chce rozwodu.

Odłożyła na chwilę chusteczkę i popatrzyła na mnie.

– Niczego od niego nie chcę. Rozstańmy się z klasą, bez wywlekania brudów przed sądem. Wystarczy, że zrzeknie się władzy rodzicielskiej nad dziećmi, przekaże mi na własność dom i będzie płacił alimenty. To wszystko. W zamian ja dam mu wolność!

– Czy pani zdaniem takie rozwiązanie będzie sprawiedliwe? – zapytałam.

Klientka schowała chusteczkę do torebki i wstała, dając tym do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Tak, pani nie wie wszystkiego, ale proszę mi wierzyć, że i tak jestem wspaniałomyślna. Mogłabym bardzo mu zaszkodzić, ale nie zrobię tego, jeśli przyjmie moją propozycję.

Zamknęłam za nią drzwi i postanowiłam poczekać i posłuchać, co będzie miał do powiedzenia jej mąż.

Umówiłam się z nim na popołudnie. Przyszedł, usiadł i na moje pytanie, o co, jego zdaniem, chodzi w tej sprawie, odpowiedział:

– Nie mam pojęcia.

Pomilczeliśmy chwilę i gdy miałam zadać kolejne, mężczyzna sam zaczął mówić.

– Dlaczego to mnie spotyka? Dlaczego omija mnie szczęście w życiu? Dlaczego nie mogę po prostu żyć, mieszkać, pracować? Tak bez lęku, bólu, wiecznej niesprawiedliwości? – rzucił pytania gdzieś w przestrzeń.

Odpowiedziałam mu, że przyczyna leży w pytającym, a nie w otaczającym go świecie. Nie istnieje przecież jeden wzorzec piękna, szczęścia, dobroci czy sprawiedliwości. Każdy z nas inaczej przeżywa i inaczej postrzega.

Popatrzył na mnie i zapytał:

– Na czym więc polega szczęście i jak do niego dotrzeć? Skoro przyczyna leży w nas, to

jak wejrzeć w siebie, aby do tej przyczyny dotrzeć, właściwie ją rozpoznać i tym samym zobaczyć drogę, która powiedzie do szczęścia? Rozglądając się wokół, można dojść do wniosku, że szczęście nie istnieje. Nie ma takiego miejsca na ziemi, aby człowiek mógł wyzbyć się wszystkich ograniczeń i lęków. Zawsze ktoś czegoś będzie żądał. A samotność dla wielu osób na dłuższą metę stanowi większą torturę niż udręka ciągłego „usługiwania” innym. Czy można być szczęśliwym bez tego, do czego jest się przywiązany? A może szczęście to rzadki skarb, który zdobyć mogą i potrafią tylko nieliczni, obdarzeni nadzwyczajnymi umiejętnościami? W tej sytuacji należałoby rozważyć, czy ma się te umiejętności, bo skoro nie, to z założenia nigdy nie będzie się w stanie osiągnąć szczęścia. A może ze szczęściem jest tak, że należy go długo i wytrwale szukać, wciąż zmieniając otoczenie, ludzi wokół siebie, świat? Ale jak znaleźć szczęście? To jak opisywać światło temu, kto całe życie spędził w ciemnościach. Fałszywe przekonania prowadzą do fałszywych wniosków – kontynuował. – Poszukiwanie szczęścia jak limitowanego towaru na półce wiąże się z wysiłkiem, który nie przynosi często niczego poza frustracją, zmęczeniem i zniechęceniem. To marnotrawienie energii i wewnętrznego potencjału na poszukiwanie magicznego kwiatu paproci. Tymczasem rozwiązanie jest proste i oczywiste. – Zamilkłam na chwilę, a ponieważ także milczałam, dokończył: – Czym bowiem jest szczęście, jeśli nie wyzwoleniem od lęku, zależności, przymusu? Szczęście to wolność. Ale wolność rozumiana jako niezależność od własnych ograniczeń, nie cudzych. W wielu bajkach i ludowych podaniach mamy do czynienia z mądrością, która powiada, że zdobywanie majątku po to, aby stać się samowystarczalnym, prowadzi do jeszcze większego ubezwłasnowolnienia. Pojawia się bowiem lęk przed stratą tego, co z trudem było zdobywane. I złoty pałac zamienia się w złotą klatkę. Cóż zatem jest owym skarbem, kluczem otwierającym drogę do szczęścia i wolności? To miłość. Miłość bezwzględna i bezwarunkowa. Miłość, od której się wszystko zaczyna i na której się wszystko kończy.

Czym jest miłość? To kochać siebie, innych, szanować, troszczyć się o własne potrzeby i potrzeby innych, rozwijać swoje umiejętności, z korzyścią dla siebie i innych. Tak proste, a zarazem skomplikowane. Któż z nas bowiem choć raz nie doświadczył następujących sytuacji, które sabotują tak rozumianą miłość. „Nie bądź samolubny i egoistyczny! Dziel się wszystkim, co posiadasz! Oddaj innemu, a świat ci odplaci!”. Kiedy byłem mały, nie lubiłem dostawać prezentów, ponieważ nie mogłem nacieszyć się nimi do woli. Zawsze trzeba było kogoś do tego zaprosić, podzielić się czekoladą, pozwolić pobawić się klockami, pożyczyć książkę, której nie zdążyłem jeszcze przeczytać. Stale ktoś inny i potrzeby kogoś innego stawały przed moimi potrzebami i pragnieniami. Bo tak wypada, bo tak jest dobrze. Ponieważ byłem bardzo grzecznym i posłusznym chłopcem, dzieliłem się, oddawałem, pożyczałem i ustępowałem bez cienia sprzeciwu. Czego mnie to nauczyło? Tylko tego, że wszyscy, każdy człowiek i jego potrzeby są i będą zawsze ważniejsze od moich.

Przez długie lata czekałem cierpliwie na nagrodę, ów zwrot od świata, który powinien był nastąpić, ale nigdy nie nastąpił. Na mojej drodze nie stanął nikt, kto zrobiłby coś dla mnie całkowicie bezinteresownie. Co więcej, gdy buntowałem się, że przecież ja wszystko, a dla mnie nic, słyszałam w odpowiedzi: „Nigdy ci to nie przeszkadzało, a teraz nagle zaczęło? A niby dlaczego? Zastanów się nad swoim postępowaniem!”. A teraz okazuje się, że jestem tyranem i psychopata!

Skończył.

Patrzyłam na tego człowieka i nie mogłabym powiedzieć, że w tym, co mówił, nie było racji. Jego małżonka jawiła się jako harpia, której było za dobrze w życiu. On jednak pragnął pojednania z nią, a mnie nie wolno nikogo oceniać ani niczego doradzać. To jest chyba najtrudniejszy moment w tej pracy. Jakże często chciałabym krzyknąć, że nie tak powinien być

ten świat urządzony, nie w taki sposób!

– Pana żona zaproponowała, by dzieci pozostały przy niej – zaczęłam delikatnie. – Będzie oczekiwiała od pana alimentów.

Mężczyzna potarł czoło, potem podrapał się po brodzie i popatrzył na mnie.

– Moja żona zarzucała mi, że nie zasługuję na to, żeby mieć dzieci, bo o nie nie dbam, nie poświęcam im dużo czasu. To prawda. Mało czasu spędzam z dziećmi, ale dlatego, że dużo pracuję. Zależało mi na tym, aby im niczego nie brakowało. Ponadto chciałem, by mogły jak najdłużej wychowywać się pod okiem matki, a nie obcej osoby w domu, a później w przedszkolu.

– Dlaczego więc nie ograniczył pan pracy, gdy dzieci poszły do szkoły i żona mogła wrócić do pracy?

– Bo wtedy stwierdziła, że musi odpocząć, mieć czas dla siebie, bo kilkuletnia opieka nad dwójką dzieci bardzo ją wyczerpała.

– A teraz?

– Teraz... – Roześmiał się po raz pierwszy. – Teraz twierdzi, że musi rozwijać się duchowo. Za moje pieniądze. Ten duchowy rozwój odbywa się pod okiem tybetańskich mnichów albo na boliwijskich łąkach. Inne miejsca na świecie są mało uduchowione.

– To dlaczego pan nie zaprotestował?

– Bo bałem się, że mnie porzuci!

W tej sprawie nie udało się doprowadzić do ugody. Małżonkowie rozwiedli się, dzieci zostały przyznane ojcu, ale pani zdążyła wyjechać z nimi do Argentyny, zanim wyrok się uprawomocnił. Odjechała, zabierając ze sobą większą część pieniędzy zgromadzonych na wspólnym koncie. Wszystko rozegrało się bardzo szybko, bo zaledwie w dwa tygodnie od orzeczenia rozwodu, który uzyskali w rekordowym wręcz tempie.

Ta sprawa dała mi impuls do działania.

Spotkałam go kilka miesięcy później. Zmienił pracę i wygląd. Gdzieś podziela się gęsta broda i zażawione oczy. Mężczyzna zatrudnił się na poczcie i tylko czasem, gdy ktoś prosi go o znaczki na list z argentyńskim adresem, robi mu się smutno. Ale nie traci nadziei, że kiedyś odnajdzie swoje dzieci albo one odnajdą jego.

Tymczasem zaczęłam działać. W Święto Niepodległości przyjechałam do domu rodziców. Ojciec snuł się po domu, zamyślony jak zwykle. Matka przeglądała rachunki. Pogoda nie sprzyjała zabawom na dworze, więc dziewczynki układały klocki w pokoju. Postanowiłam przerwać tę sielankę i powiedziałam jakby nigdy nic:

– Znalazłam ten list od ciebie. Teraz już nie zrobił on na mnie takiego wrażenia jak przedtem.

Mojemu komunikatowi towarzyszył furkot rozsypujących się klocków. Matka podskoczyła tak gwałtownie, że szklanka herbaty na stole przewróciła się i brązowy płyn pokrył część papierów.

– Jasny gwint! – krzyknęła. – Dziewczyny! Musicie tak hałasować!

Laura syknęła groźnie na Basię, która zaczęła ostrożnie zbierać resztki rozwalonej budowli.

– Wszystko zalane, cholera – denerwowała się matka.

Przeglądałam się jej. Jej trzęsącym się rękoma i przygryzanej wardze. Zbierała gorączkowo dokumenty i otrzepywała z herbaty nad podłogą. Wypolerowana podłoga pokryła się mokrymi kropkami.

– Przynieś jakąś ścierkę, nie siedź jak idiotka! – warknęła na mnie.

Wstałam i poszłam do kuchni. Gdy wróciłam, rozkładała papiery na stole, który wytarła

już zabrudzonym obrusem.

– Wytrzymaj podłogę! – nakazała i szybko wyszła z pokoju.

Czekałam, co będzie dalej. Czy poruszy temat, czy mnie o coś zapyta, ale ona do wieczora nie zamieniła ze mną ani słowa. Wróciły dawny chłód i dystans. Polecenia wystrzeliwane niczym z karabinu maszynowego. Trop podsunięty przez Zbyszka był właściwy.

*

Zbyszek złapał mnie kilka dni później na korytarzu sądowym, gdy wracałam z wydziału rodzinnego, niosąc pod pachą akta. Pokoiki wydziałów, mogące pomieścić maksymalnie dwie osoby i dwa biurka, o szafach na dokumenty nie wspominając, zwykle wypełnione były pod sufit papierzyskami. Klienci, którzy pojawiali się tam nieustannie, wypełniali przestrzeń do końca.

Zbyszek powiedział mi, że przypomniało mu się coś, co usłyszał od Betki, a dotyczyło Macieja, lecz mogło mieć związek także ze mną. Ponieważ sądowy korytarz nie nadawał się do prowadzenia rozmowy, zaprosiłam Zbyszka na wieczór do domu. Był to duży krok w moim odzyskiwaniu siebie.

Pożegnałam się z przyjacielem i usiadłam przy biurku. Od pewnego czasu zabierałam akta sprawy, którą mi przydzielano, i zagłębiałam się w lekturze, siedząc wygodnie w swoim kąciuku. Po zrobieniu notatek dokumenty odnosiłam do sekretariatu. To właśnie ten atrybut, akta, sprawiały, że klienci wstawali na mój widok i kłaniali się z szacunkiem. A nierzadko zwracano się do mnie per „pani prokurator”.

Ogromna w tym zasługa prokuratora, który wręcz czekał na moje nasiadówki i gdy tylko mógł, przychodził i raczył mnie żartobliwymi opowieściami. Tego dnia oskarżał w sali niedaleko, dzięki czemu w krótkich przerwach między rozprawami wypadał niczym kukulka z zegara i pospiesznie dopowiadał mi dalszy ciąg rozpoczętej historii.

– To była przeciętna para przeciętnych adwokatów – zaczął opowieść, gdy tylko przyszedłam. – Przeciętni pod każdym względem: urody, wiedzy, poczucia humoru, wszystkiego. Życie też wiedli przeciętnie: dziecko, dom z ogrodem, dwa samochody, pies, po prostu nuda. Sprawy prowadzili różne, on był od karnych, ona cywilistka. Po prostu nudne flaki z olejem – opowiadał prokurator i zerkał co chwilę przez ramię, czy aby nie wywołują jego wokandy. – No i tak sobie żyli, rozumie pani, wakacje w ciepłych krajach, sylwester w Paryżu, aż tu pewnego dnia gruchnęło, że mecenas ma kochankę! – W tym emocjonującym momencie wywołano sprawę pana prokuratora i na dalszy ciąg nieprzeciętnego romansu przeciętnego adwokata musiałam poczekać. Gdy znów z sali rozpraw wyskoczył „mój” prokurator, od progu opowiadał dalej:

– No i ten mecenas znalazł sobie fajną babkę, o połowę młodszą i w ogóle... – Tu prawnik puścił do mnie oko i zrobił gest ramionami, jakby zagarniał powietrze przed sobą, na wysokości klatki piersiowej. Zrozumiałam, że chodzi o wdzięki owej pani.

– Rozumie pani, ładna, młoda dziewczyna i w dodatku nie aplikantka!

– To gdzie ją poznał? – zapytałam, udając ogromne zdumienie.

Widocznie adwokaci mogą mieć kontakty pozamałżeńskie wyłącznie z aplikantkami, zwłaszcza ci przeciętni.

– No i tu pani spadnie z krzesła! – Klasnął w ręce prokurator. – W bibliotece! Uniwersyteckiej!

Wiadomość istotnie mnie poraziła. Na szczęście prokuratora znów wezwano, mogłam więc ochłonąć, poza tym ustawiła się do mnie kolejka klientów. Akta więc musiały poczekać.

Ludzie zadawali różne pytania: Czy opłata za wniosek może być zapłacona gotówką? Czy

podanie o ustalenie kuratora dla córki, która uciekła z domu, to składa się w sekretariacie na dole czy na górze? Czy postępowanie spadkowe musi toczyć się z udziałem wszystkich spadkobierców i jak zrobić, żeby kogoś nie było?

Dopiero jeden mężczyzna stwierdził, że szuka mediatora, a gdy potwierdziłam, że właśnie znalazł, ucieszył się i... sobie poszedł. Na koniec udzieliłam dość obszernej porady prawnej, jak napisać pozew do sądu w sprawie o ustalenie alimentów na dziecko, i znów spojrzałam na akta sądowe, które leżały na biurku.

Zdażyłam zaledwie przeczytać, że chodzi o ustalenie kontaktów, gdy prokurator znów się pojawił.

– ...a gdy żona dowiedziała się o tym romansie – kontynuował opowieść – to natychmiast chciała się z nim rozwieść. No, wie pani, adwokatka, rozwodów tłucze tysiąc miesięcznie, dla niej to jak mrugnąć. Zaczęła pisać pozew. Wina męża jest, rozpad pożycia zaraz będzie, a do pierwszej rozprawy to nawet trwały i zupełny, dzieckiem rozporządziła, majątek podzieliła i w końcu utknęła na psie.

– Jak to na psie? – To przykuło moją uwagę. Tym razem i ja byłam niezadowolona, że prokuratora znów wołają. – Musi pan iść na odczytanie tego wyroku? Potem pan sobie przeczyta!

Prokurator zachichotał i zniknął w sali. Do mnie znów ustawili się klienci. Dyżur powoli dobiegał końca, a ja nie przebrnęłam nawet przez wniosek powoda. Gorąco mi się zrobiło, gdy zobaczyłam sekretarkę tego wydziału.

– Dużo osób dziś, jeszcze nie zdażyłam przeczytać, posiedzę dłużej... – zaczęłam skruszona.

Ale ona najwyraźniej nie tego ode mnie oczekiwała.

– Bo widzi pani, sędzia chce te akta zobaczyć – powiedziała niepewnie. – Tłumaczyłam, że są u pani i musi poczekać, ale ona od poniedziałku idzie na urlop, a tam trzeba coś jeszcze postanowić i dlatego przyszłam zapytać, czy możemy zrobić tak, że ja pani je wysłę w poniedziałek pocztą?

Akta czytane na sądowym korytarzu to już ryzyko, ale akta wędrujące pocztą – to nie dla mnie. Nie jestem biegłą i nie muszę mieć dostępu do materiału dowodowego, wystarczy mi powód założenia sprawy i dane kontaktowe stron. Spisałam szybko, co trzeba, i oddałam papiery sekretarce. – A czego nie doczytałam, to mi powiedzą. – Uśmiechnęłam się do niej.

W kolejce na rozmowę czekały dwie osoby. Pierwsza nawet ust nie zdażyła otworzyć, kiedy ponownie dopadł mnie prokurator.

– Pani może poczekać, prawda? – zapytał klientkę takim tonem, że od razu sobie poszła. Druga osoba odwróciła się do mnie tyłem.

– Klientów mi pan odstrasza! – zganiłam prokuratora, ale byłam ciekawa, o co chodziło z tym psem.

– Oni mają rasową sukę, jakaś rzadka rasa. To młoda suczka, jeszcze nie miała miotu, ale już złota medalistka. No i można spodziewać się, że szczeniaki od niej będą sporo warte. A problem polega na tym, że ten pies potrzebuje specjalnego traktowania, diety, spacerów, legowiska z wygodami i tym podobnych luksusów.

Wciąż nie rozumiałam, dlaczego to stanowiło przedmiot zgryzoty pani adwokat, więc prokurator rozparł się wygodnie na krześle i mi wyjaśnił:

– Chodzi o to, że mecenaska wyrzuciła niewiernego mężulka z domu. Nic się nie stało, bo miał mieszkanie na Żoliborzu, więc tam się przeniósł. Ale psina była bardziej z nim zżyta niż z panią i gdy się wyniósł, to pies zaczął tracić na wadze i w ogóle zmizerniał. Te rasowe okazy to są pod stałym nadzorem specjalistów ze związku kynologicznego i suka, która choruje, w żadnym wypadku nie dostanie pozwolenia czy zaświadczenia, czy czegoś tam, potrzebnego do

tego, żeby przyjąć reproduktora. A to oznacza, że ze szczeniaków nici.

– To dlaczego on tego psa nie zabierze do siebie? – wtrącił się nagle ktoś stojący z boku. Był to mężczyzna, który oczekiwał na sprawę i przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Pies, wiadomo, też ma swoje uczucia.

– Nic z tego. – Pokręcił głową prokurator. – Ta suczka powinna spędzać określoną ilość czasu na powietrzu. Mecenasa teraz musiał zarabiać więcej, bo doszły mu alimenty, a poza tym to jego mieszkanie jest za małe. Suczka potrzebuje przestrzeni do zabawy, do wypoczynku, nie może mieszkać w zaduchu. Ponadto przy domu, w którym jest teraz, ma spory ogród i do miejsca już przywykła, a w okresie rozrodczym powinna mieć spokój.

– No to niech ustalą, że on będzie ją odwiedzał, tego psa – dopowiedział mężczyzna. – Na przykład wieczorem. Przyjedzie i zabierze na spacer.

– Oni się z tą mecenaską już tak gryzą, że ona nie chce wpuścić go do domu! – Pokręcił głową prokurator.

Teraz już słuchało go wiele osób. Każdy rzucał jakieś rozwiązanie i żadne nie było dobre. Rozgorzała nawet dyskusja na temat okrutnego traktowania zwierząt, szkodliwości posiadania żon i kochanek oraz ogólnie niewesołej sytuacji przeciętnego adwokata. Zrobiło się dość głośno, bo każdy miał coś do powiedzenia. Prokurator występował w charakterze eksperta. Przez to zamieszanie nie było słyhać, gdy wywoływano kolejną sprawę. Dopiero widok wychodzącej na korytarz sędzi otrzeźwił jednego mężczyznę i jego pełnomocnika, tych, którzy włączyli się do rozmowy najwcześniej.

– Ależ my czekamy, wysoki sędzie! – krzyknął w popłochu adwokat w todzie. – Tylko tu się samo życie toczy!

*

W tym samym czasie Betka, nieco spóźniona, dotarła do restauracji Biały Tulipan. Mediacja, którą prowadziła, przedłużyła się i przyjaciółka biegła w rozpiętym płaszczu i z gołą głową. Gdzieś po drodze zreflektowała się, że padający śnieg nie jest dla niej wskazany, bo zniszczy fryzurę, ale czas naglił, więc machnęła tylko ręką. Biegła na spotkanie z Maciejem, który objawił się nagle niczym posłaniec z niebios i poprosił telefonicznie o spotkanie w tym właśnie lokalu.

Restauracja składała się z jednego, obszernego pomieszczenia podzielonego na strefy. Przy wejściu była w rogu szatnia, za nią toaleta i tuż obok kuchnia. Od sali odgradzał je niewysoki parawan. Stoliki ustawione były szeregowo, jak w stołówce na dworcu, dość blisko siebie, i Betkę zdziwiło, że Maciej wybrał taki właśnie lokal na ich rozmowę.

Kelner zdjął z niej płaszcz i poprowadził do sali, co było niepotrzebne, bo o tej porze w restauracji było pusto. Przywitali się dość oficjalnie, usiedli i Maciej podał Betce kartę.

– Nie jestem głodna – oświadczyła, choć umierała z głodu. – Możesz wyjaśnić mi, co się dzieje? Dlaczego zamilkłeś na tak długo?

– Ależ, Elżbieto, nie rób scen – upomniał ją Maciej. – Polecam stek z dorsza z grillowanymi warzywami, wyśmienity.

– W dupie mam dorsza, mów, co się dzieje! – nie wytrzymała Betka. – Jeśli to koniec, to powiedz i nie rób ze mnie idiotki!

Maciej wyprostował się na znak, że zachowanie Betki bardzo mu nie odpowiada. Skinął na kelnera, który natychmiast się pojawił, i złożył u niego zamówienie.

– Poprosimy dwa razy stek z dorsza z grillowanymi warzywami, herbatę jaśminową i pieczywo orkiszowe.

– No to jak będzie? – drażyła Betka, gdy kelner odszedł.

Maciej przejechał dłonią po czole i spokojnie odpowiedział:

– Nie rozumiem twojego zachowania, Elżbieto. – Wyrazny nacisk położył na słowo „twojego”. – Nic sobie przecież nie obiecywaliśmy, nie składaliśmy żadnych deklaracji. Naprawdę nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Szczerości, tylko tyle – podkreśliła Betka. – Znamy się już prawie rok, spędziliśmy trochę czasu ze sobą. Chcę wiedzieć, czy masz wobec mnie jakieś zamiary, czy też dla ciebie jest to luźna, nic nieznaczająca znajomość?

Na twarzy Macieja pojawił się delikatny, lekko wymuszony uśmiech. Położył dłoń na dłoni Betki i powiedział takim tonem jak do dzieci albo ludzi niepełnosprawnych umysłowo:

– Kochana, to, że przespaliśmy się ze sobą kilka razy, nie oznacza, że będziemy małżeństwem. Wybacz, że ci to mówię, ale mnie sprowokowałaś. Nie nadajesz się na moją partnerkę. Jak by to najprościej ująć: za dużo masz w niektórych miejscach, a za mało subtelności. Moja żona to przecież moja wizytówka, wybacz, że to mówię, ale nie masz właściwej prezencji, Elżbieto. Postanowiłem jednak nie rozwodzić się z Helen. Wybacz.

– Rozumiem. – Betka pokiwała wolno głową, po czym wstała. – W takim razie zrozumiesz także i to moje mało subtelne, plebejskie wręcz zachowanie.

Kelner właśnie stawiał na stole talerze z jedzeniem. Wspaniały stek z dorsza z grillowanymi warzywami wylądował na głowie zaskoczonego Macieja. Zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, Betka chwyciła imbryczek z herbatą i połała strumień prosto na jego krocze.

Spotkałyśmy się w biurze. Wzburzona Betka opowiedziała mi, co zaszło w restauracji, i wyraziła opinię na temat swojej inteligencji i zmysłu obserwacji, używając bardzo dosadnych słów. Przyznała, że Maciej wprawdzie nigdy niczego jej nie obiecał, ale jego gesty były wystarczająco wymowne.

– Nie tylko słowami wyrażamy naszą wolę – perorowała przyjaciółka, chodząc po pokoju w tę i z powrotem. – Jeśli ktoś zaczyna zachowywać się jak swój, a nie gość w domu, to można uważać, że się zaangażował. Mam rację?

Przytaknęłam.

– Jeśli ktoś troszczy się o drugą osobę, przejmuje jej problemami, wyręcza w niektórych sprawach, to można uważać, że stał się członkiem rodziny, nawet gdy nie ma ślubu. Czyż nie?

Przytaknęłam ponownie.

– Jeśli ktoś utrzymuje intymne kontakty z drugą osobą i nie daje jej wyraźnie do zrozumienia, że to jednorazowy akt fizyczny, niedotykający sfery emocjonalnej, to można potraktować tę osobę jako kogoś więcej niż znajomego, tak?

Zawahałam się. Z kontaktami fizycznymi bywa różnie. Rozmawiałam z ludźmi, którzy uprawiają ze sobą seks od czasu do czasu, a nawet nie znają swoich nazwisk. Ale u nich było to z góry ustalone, że poza erotyką nic ich nie łączy. Więc znów przytaknęłam.

– Jeśli... – zaczęła Betka, ale przerwało jej wtargnięcie kilku mężczyzn w fufajkach i kaloszach.

– To u pań się przedłuża?! – ryknął jeden z nich.

Betka ruszyła na nich niczym rozjuszony byk.

– Nie! – wrzasnęła. – U nas się skraca! I to bardzo!

– A, to my dziękujemy w takim razie, miłego dnia. – Ten, który mówił, zaczął wycofywać się tyłem, wpadając na pozostałych.

Betka warczała na nich jak wściekły pies. Gdy zamknęły się drzwi, popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Nienawidzę facetów! Ograniczone, prymitywne stwory, które nie potrafią myśleć

o dwóch rzeczach naraz! A skoro myślą zawsze o sobie, to na nic więcej nie pozostaje już miejsca!

– Wiesz, chyba nie wszyscy są tacy – chciałam być sprawiedliwa. – Niektórzy starają się być odpowiedzialni i uczciwi i całkiem nieźle im wychodzi. To, że Maciej jest egoistą, nie oznacza, że świat składa się z samych Maciejów.

Betka zatrzymała się, bo znów zaczęła chodzić po pokoju jak więzień na spacerniaku.

– Tak, zgadza się. Są wyjątki. Mężczyźni, którzy nie mają nic przeciwko temu, żeby wziąć kobietę na plecy i nieść ją przez życie. Nasi klienci często rekrutują się spośród takich facetów.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Betka otworzyła je z rozmachem, mamrocząc coś o chętnych do przedłużania, ale w progu stała pani Stefania.

– To ja pójdę się przewietrzyć – zareagowała. – Muszę trochę ochłoniąć.

Pani Stefania weszła do pokoju. Od razu zorientowałam się, że coś się stało. Staruszka usiadła na brzegu krzesła i trzęsącymi się rękami podała mi papier. Spojrzałam i zamarłam. Był to akt zgonu Arlety Krywicz.

– Co się stało?! – Pochyliłam się w stronę klientki, która cicho pochlipywała. – On ją zabił – wyjąkała zrozpaczona. – Zabił ją wtedy, gdy zabronił mi przychodzić do ich domu. Utrzymywał to w tajemnicy, żeby pobierać rentę i zasiłek z fundacji dla chorych. Z pielęgniarem się dzielili. Próbował też sprzedać dom, ale nie zdążył.

Dowiedziałam się, że Krywicz umieścił żonę w piwnicy, nikogo do niej nie dopuszczając. Gdy chora usiłowała się wydostać, doszło do szarpaniny, w wyniku której wózek przewrócił się i kobieta uderzyła głową o beton. Poniosła śmierć na miejscu. Krywicz umieścił zwłoki w metalowej skrzyni. Przez pewien czas okłamywał syna, potem go zastraszył. Pielęgniarz, który zorientował się, że coś się stało, nie wyjawiał prawdy od razu. Krywicz przekonał go, że chora wyjechała, i płacił mu za to, żeby potwierdzał, iż wciąż opiekuje się kobietą.

Dopiero nakaz sądu, aby umożliwić zbadanie sytuacji prawnej chorej, tego, czy jest w stanie samodzielnie podejmować decyzje, doprowadził do ujawnienia strasznej prawdy. Gdyby nie to, być może jeszcze przez długi czas nikt nie wiedziałby o tym, co się stało. Może prawda nigdy nie wyszłaby na jaw, bo Krywicz uzyskał sądowy zakaz zbliżania się pani Stefanii w pobliże jego domu.

– Bardzo mi przykro – wyszeptałam, bo cóż innego mogłam powiedzieć.

Czy mogłam zrobić więcej?

– Biedna Arletka – chlipnęła pani Stefania. – Ten człowiek zawrócił jej w głowie, nie była z nim szczęśliwa, ale bała się, że zostanie sama. Bała się, że choroba odstraszy wszystkich. A samotność jest czasem sto razy lepsza od byle jakiego małżeństwa. Dziękuję pani za wsparcie i pomoc, widocznie tak było jej pisane.

Kobieta wyszła. Betka nie wróciła już do biura. Zamknęłam biuro i przepchnęłam się do schodów między tłoczącymi się mężczyznami, którzy czekali na przedłużenie.

Wieczorem w naszym mieszkaniu pojawił się Zbyszek. Dziewczynki bardzo ucieszyły się na jego widok. Musiałam poczekać, aż nacieszą się dawno niewidzianym gościem. Gdy poszły do łazienki się myć, Zbyszek usiadł wygodnie w fotelu i otarł demonstracyjnie pot z czoła.

– Małe wiedźmy – powiedział wesoło. – Mogą człowieka wykończyć!

– Powiedziałam matce, że znalazłam list! – pochwaliłam się. – Bardzo się zdenerwowała.

– Krzyczała na ciebie? – zainteresował się Zbyszek.

Fotel miał dość głębokie siedzisko. Nawet wysoki mężczyzna zapadał się w nim i miał kłopot, żeby wstać. Tuż za fotelem stała lampa, a nieco dalej rozrośnięty fikus. Zbyszek chciał gwałtownie się poderwać, ale nie zdążył złapać równowagi i opadł z powrotem, nogi zaś

wyrzucił w kierunku lampy, która przewróciła się na kwiat.

– Robert zrobił to samo, gdy był tu ostatnio – powiedziałam rozbawiona, obserwując wyczyn kominiarza. – Też przewrócił...

Urwałam, bo nagle coś przyszło mi do głowy.

– Zbyszku – powiedziałam uroczyście. – Ja nie oszalałam. Teraz to wiem!

– Pięknie – wybełkotał Zbyszek, ponawiając próbę podniesienia się z fotela. – Musisz napisać jakieś ostrzeżenie na tym ścierwie! Cholera z tą lampą!

– To nie wstawaj normalnie, tylko bokiem albo tyłem – poradziłam mu. – Bardzo lubię ten fotel. Nie wiem, skąd go mam, ale to mój ulubiony mebel!

– No ok – wystękał Zbyszek, kiedy udało mu się wygramolić na krawędź siedziska. – Co mówiłaś?

– Mówiłam, że nie zwariowałam – powtórzyłam. – Przypomniałam sobie, że Robert, zanim wyjechał do Kanady, przyszedł tu i też przewrócił lampę. Czyli siedział na fotelu, czyli mogłam zatrzaskać mu drzwi przed nosem, czyli matka kłamała!

– Twoja matka zdenerwowała się, że znalazłaś list – przypomniał Zbyszek. – Co zrobiła?

– Wylała herbatę!

– Na ciebie?!

– Nie, na stół, niechcący, bo się zdenerwowała – wyjaśniłam.

W tej samej chwili pojawiły się moje córeczki i zażądały, aby Zbyszek przeczytał im bajkę na dobranoc. Niechętnie na to przystałam, bo chęć drażenia tematu wręcz mnie rozpierała.

Kominiarz podążył za dziećmi do ich pokoju, a ja zamyśliłam się. Mojej matce było wygodnie tak funkcjonować. Lubiła mieć nad wszystkim kontrolę, o wszystkim decydować. Ale po co była ta mistyfikacja, te wszystkie kłamstwa? Wciąż nie mogłam tego zrozumieć. Cezary nie pojawiał się, co oznaczało, że nasze dzieci przestały być mu potrzebne. Maciej nadal krążył wokół Betki, która bardzo skąpo dzieliła się wiadomościami na temat tego, co dzieje się między nimi, ale coś się chyba działo. Co takiego przypomniał sobie Zbyszek?

– Głupie te bajki, jak nie wiem – orzekł kominiarz, gdy pół godziny później znów siedzieliśmy w pokoju. – Kazały mi czytać jakąś historyjkę o pajacyku, który przez pół książeczki szuka zgubionego guzika, a potem okazuje się, że przez cały czas miał go w kieszeni! Tylko pokaż mi pajacyka z kieszeniami, ha, ha, ha!

– Zbyszku, co sobie przypomniałeś? – zagadnęłam go. – Matka nie poruszyła ze mną tematu listu, ale wyraźnie się przestraszyła albo coś w tym stylu. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi, inaczej naprawdę zwariuję!

– Pamiętasz, jak miałem gips na nodze i nie mogłem chodzić – zaczął Zbyszek. – Betka czasem mnie gdzieś podwoziła. I raz zamiast niej przyjechał ten cały Maciej, ona nie mogła czy coś jej wypadło. Zdziwiłem się, że wysługuje się obcym facetem, ale on na to, że to żaden problem, bo akurat miał wolne...

– Zbysiu, do rzeczy!

– No przecież mówię! I on wtedy powiedział coś takiego, że Betka i ty macie taką głupią pracę, a przecież miliony leżą na wyciągnięcie ręki. A ja na to, żeby mi pokazał gdzie, to chętnie tę rękę wyciągnę, a on się wtedy zaśmiał, tak wiesz, szyderczo, i powiedział, że gdyby Betka wiedziała, toby sięgnęła, ale ty to już nie, bo jesteś zbyt naiwna i wszyscy mogą cię łatwo wykołować i całe szczęście, bo będzie miał z górką. Coś takiego powiedział. No to ja mu omal tym gipsem nie przywaliłem i powiedziałem potem to wszystko Betce, a ona na to, że to trochę racja, bo jesteś bardzo łatwowierna i można cię bez trudu oszukać. I że te niezdrowe relacje z matką to przez to, że taka jesteś.

– Zbyszku, czy ty chcesz mnie skłócić z Betką? – zdenerwowałam się. – To moja

najlepsza przyjaciółka!

– Wiem, ale mówiłem ci, że ten gamoń przewrócił jej w głowie. Ale coś mnie w tym zastanowiło. To by znaczyło, że już wtedy ten cały Maciej wiedział sporo na twój temat, czyli czas się nie zgadza, rozumiesz?

Rozumiałam. Wmawiano mi, że Maciej dołączył do całej sprawy dopiero w kwietniu, kiedy Cezary potrzebował wsparcia w interesach. Wcześniej nie skojarzył mojego nazwiska i nie interesował się mną, jak twierdził. Wychodziło na to, że mówił nieprawdę. Gdy spotkaliśmy się w biurze w lutym, wspominał coś o potencjale, z którego nie korzystam. Myślałam wówczas, że ma na myśli moje zdolności negocjacyjne, ale teraz zrozumiałam, że musiał wiedzieć sporo na mój temat. Tylko co takiego?!

– Ok, już wiem na pewno, że mnie okłamali, tylko po co? – dociekałam. – Gdzie jest klucz do zagadki?

I wtedy przypomniałam sobie słowa detektywa. Sięgnęłam po telefon. Nie odebrał połączenia, więc wysłałam mu wiadomość.

– Detektyw powiedział mi kiedyś, że to ja jestem kluczem do zagadki i on wie coś na mój temat, ale nie może mi powiedzieć, dopóki sprawy się nie wyjaśnią – wytłumaczyłam Zbyszkowi. – Mam nadzieję, że oddzwoni.

Kominiarz pożegnał się przed północą. Gdy wychodził, złapałam nieprzychylnie spojrzenie sąsiada, który lustrował klatkę schodową o tej porze. Starszy pan zmierzył mnie od stóp do głów takim wzrokiem, jakbym prowadziła dom publiczny. Zamknęłam drzwi i położyłam się spać. Detektyw nie oddzwonił.

*

Gdy pojawiłam się nazajutrz w sądzie, okazało się, że nie mam gdzie siedzieć. Moje miejsce było zajęte. Przy niedużym biurku tkwiła elegancka brunetka w średnim wieku i nie mniej elegancki mężczyzna ostrzyżony na jeża. Zażarcie dyskutowali. Mówili do siebie jednocześnie. Stałam z boku i im się przyglądałam. Podszedł do mnie pan Mietek i pokiwał głową.

– Żrą się tak od rana. Nawet na chwilę nie przerwali, jak maszyny – poinformował mnie. – To chyba klienci, bo przegonić ich nie sposób.

– Panie Mieciu, mnie to chyba ktoś przeklął – powiedziałam żałośnie. – Dlaczego nie przychodzą do mnie kulturalni ludzie, którzy chcą coś spokojnie ustalić?

– Nie chcę pani martwić, ale sędziowie esemesami wysyłają sobie pani numer – powiedział pan Miecio. – Jak który ma trudniejszego petenta na sali, to od razu proponuje mediację. Słyszałem o takich, którzy chcieli do mediacji wysłać wszystkich, jak leci.

– Co mnie podkusiło, żeby tu dziś przyjeżdżać? – westchnęłam ciężko.

Pan Miecio pokiwał głową ze współczuciem, zapytał jeszcze, czy na koniec pracy damy radę rozegrać rozluźniającą partyjkę brydżyka, i poszedł do siebie.

Zbliżyłam się do diskutantów. Istotnie, nawet na moment nie przerwali. Potok słów płynął szerokim strumieniem. Zaświtała mi w głowie myśl, żeby przynieść dodatkowe krzesło, usiąść z boku i po prostu przeczekać do końca dyżuru. Planu nie zrealizowałam, bo nie wiadomo skąd pojawił się znajomy prokurator. Swoją drogą, skąd on się tu brał? Zwykle wyrastał obok mnie i tylko kilka razy widziałam go wychodzącego z sali rozpraw.

– Co pani się tak czai, pani mediator?! – ryknął niczym bawół na prerii. – O, widzę, że klienci dotarli!

Okazało się, że diskutująca para to adwokaci, o których opowiadał mi prokurator! Ci od

spornego psa. Pani mecenas i pan mecenas poznali się podczas studiów. Połączyła ich rywalizacja o status najlepszego studenta na roku. W jednym semestrze wygrywała ona, w drugim on. Zmagania przeniesli później na grunt aplikacji i wreszcie na arenę sądu. Przez długie lata zawodowa rywalizacja cementowała ich związek. Przełom nastąpił, gdy pani mecenas zaszła w ciążę i bezapelacyjnie zdystansowała męża, godząc obowiązki matki i adwokatki.

Mecenas przyznał, że przestało mu się to podobać. Jego żona jako kobieta idealna przestała go także pociągać fizycznie. Dlatego wdał się w romans. Kobieta, z którą się spotykał, miała nietypowe hobby: brała udział w zawodach psich zaprzęgów. Zafascynował go świat oparty na rywalizacji innego typu, a wraz z tym piękna maszerka.

Można powiedzieć, że owocem tego związku stał się szczeniak rasy pomeranian, którego mecenas otrzymał w prezencie. Jego żona była zazdrosna o psa, który wymagał sporo troski i zainteresowania.

– Pies tej rasy potrzebuje dużo ruchu i praktycznie stałego kontaktu ze stadem, czyli człowiekiem. – Mecenas wręcz rozpromienił się, gdy zaczął opowiadać mi o swojej Lucy. – To nie to samo, co wypuścić go do ogródka na dwie godziny. Powinien mieć codzienny spacer połączony z bieganiem na dystansie przynajmniej dwóch, trzech kilometrów. Te psy źle znoszą samotność, a moja żona zamyka go teraz na całe dnie w domu. Ciężko mi się z tym pogodzić.

– To dlaczego nie zabrał go pan ze sobą po wyprowadzeniu się?

– Nie mogę, pies przywiązuje się do miejsca i źle toleruje zmiany otoczenia. A Lucy niedługo powinna być szczenna, dlatego tym bardziej nie można jej fundować niepotrzebnego stresu. – Mecenas jeszcze długo opowiadał mi ze szczegółami, jak powinna być zbilansowana psia dieta oraz dlaczego tak istotne jest, żeby pies był szczęśliwy. – Te szczęśliwe wygrywają w zawodach, a potem szczenięta po nich są naprawdę sporo warte!

Pani mecenas prezentowała inny punkt widzenia.

– Kundel wyje całymi dniami, więc wystawiam go na dwór. Nie cierpię zwierząt, a psów w szczególności – oświadczyła wyniośle, gdy rozmawiałam z nią na osobności. – Pies powinien siedzieć w budzie, od tego ją ma.

– Ale to jest pies rasowy, szczególnie.

– Otóż to, mój mąż podniósł wielki krzyk, gdy dla zabawy przywiązałam psa do samochodu, bo byłam ciekawa, jaką prędkość rozwinie. – Pani mecenas roześmiała się od ucha do ucha. – Zresztą mnie ten pies nie obchodzi. Niech go sobie zabiera, jak tylko rozliczy się ze mną, droga wolna.

Od słowa do słowa historia ułożyła się w pewną całość. Pan mecenas jest przywiązany do psa, ale nie może go zabrać, bo nie chce go stresować zmianą warunków oraz jest przekonany, że w domu z ogrodem psu jest lepiej. Nie bierze, zdaje się, pod uwagę faktu, że w tym domu suczka nie jest dobrze traktowana i przeżywa większy stres, gdy rozstaje się ze swoim ukochanym panem. Z kolei pani mecenas psa nienawidzi, chętnie by się go pozbyła nawet pomimo wysuwanych żądań finansowych, jednakże poczucie krzywdy nie pozwala jej szybko ustąpić w tej kwestii. Przekonana jest bowiem, że suka wylądzuje u kogoś, komu jej przyszły były mąż za to zapłaci, a ona straci połowę zysków ze sprzedaży szceniaków.

Zaproponowałam, by ustalili szacunkową wartość przyszłego miotu i w ten sposób podjęli próbę wstępnego rozliczenia. To też okazało się niełatwe, ponieważ suka jeszcze nie rodziła i nie wiadomo, ile szceniąt wyda na świat i – że się tak wyrażę – jakiej jakości. Czy w ogóle dopuści do siebie kawalera, jak szybko zajdzie w ciążę, wreszcie szczenna suka wymaga troskliwej opieki, specjalnej karmy. Wszystko należało policzyć, a nie było to łatwe.

– Proszę pani, kto będzie chodził na spacer, gdy suka się oszczeni? – pytała pani mecenas podczas wspólnego spotkania, wymownie patrząc na mecenasa. – Coś jej się stanie

i będzie moja wina. A jeśli pokryje ją inny pies i urodzą się szczeniaki nierasowe, to kto się nimi zajmie?

– To trzeba jej pilnować! Przecież można zadbać, żeby nikt jej nie dotknął w tym czasie!
– obruszył się mecenas.

– A co z karmieniem? Nie mam zamiaru gotować specjalnie dla psa!

– Mogę zamawiać specjalną karmę i przywozić, tylko że wtedy odliczę sobie te koszty od ogólnej sumy rozliczenia!

– Mowy nie ma! Sam ją karm i wyprowadzaj, to twój pies!

– Dobrze wiesz, że mam sporo pracy, bo zażądałaś gigantycznych alimentów. Poza tym Lucy nie można stresować zmianą miejsca teraz, gdy niedługo będziemy starać się ją zapłodnić!

– A mnie możesz stresować?! To może ja też się zapłodnię!

– Pani mediator, proszę zwrócić tej pani uwagę, że ja nie życzę sobie rozmowy w takim tonie!

– Pani mediator, proszę zwrócić uwagę temu panu, że ja nie życzę sobie trzymać w domu jego psa!

Ostatecznie po blisko czterech godzinach negocjacji udało się wypracować porozumienie. Liczyło osiemnaście stron, na których bardzo szczegółowo opisane były obowiązki obydwójga prawników w stosunku do psa. Przepisałam je na czysto w biurze, tego samego dnia i wysłałam mejlem.

Przyjęto w nim wstępny model rozliczenia finansowego w okresie pierwszej ciąży i pierwszego miotu oraz mechanizm rozliczania się byłych małżonków na podstawie już uzyskanych, konkretnych kwot za szczeniaki. W porozumieniu przewidziano, ile razy pies ma wychodzić na dwór, w jakich warunkach atmosferycznych oraz czy w tym czasie ma biegać, spacerować, czy stać. Pan zadeklarował, że cztery razy w tygodniu w określonych godzinach będzie pojawiał się w domu byłej żony, żeby pobyć z Lucy. Uzgodniono także kwestie urlopu i weekendów, naprzemiennie, z rozbiciem na lata parzyste i nieparzyste.

Gdy jechałam po dzieci do przedszkola, pan mecenas zatelefonował do mnie i poinformował, że jedna sprawa umknęła im podczas mediacji, a chyba warto by ją też poruszyć.

– Zapomniałem poprosić, żeby wpisała pani, iż z synem będę spotykał się w miarę możliwości raz w miesiącu – oznajmił mecenas.

Nie rozumiałam przez chwilę, o czym mówi. Psa nazywa synem? Przecież to suka!

– Nie, nie – roześmiał się mecenas. – Chodzi o mojego syna, Kacpra. Nie mogę zadeklarować częstszych wizyt, bo dwa razy w miesiącu w sobotę i niedzielę jestem u Lucy, a przynajmniej jeden weekend muszę zostawić dla siebie!

– A nie może pan widywać się z synem wtedy, kiedy przyjedzie pan do Lucy? – Naprawdę nie wierzyłam, że to mówię. – Przecież możecie razem pospacerować.

– Niestety, to wykluczone – oświadczył mecenas. – Lucy bardzo go nie lubi, zazdrosna jest, rozumie pani...

Przygotowałam zmienioną wersję porozumienia. Z zawodowej ciekawości skontaktowałam się dwa lata później z mecenasem. Dowiedziałam się, że suczka zachorowała na nowotwór złośliwy pęcherza i zmarła sześć miesięcy po zawarciu porozumienia.

*

Detektyw oddzwonił późnym wieczorem.

– Czy może mi pan powiedzieć to wszystko, czego pan się dowiedział na mój temat? – zapytałam, wprowadzając go pokrótce w temat.

Okazało się, że wiedział o moich kłopotach ze zdrowiem.

– Nic nowego pani nie powiem. Wiem tyle, że pani były mąż siedzi w areszcie, toczy się przeciwko niemu postępowanie. Ale to pani nie dotyczy w najmniejszym stopniu.

– To wyjaśnia, dlaczego się tu nie pokazuje. – Roześmiałam się sztucznie. – Ale mówił pan coś o kluczu do zagadki czy czymś takim.

– Klucz już pani znalazła – odparł detektyw. – Ja przekazałem swoje ustalenia śledczym i na tym moje zadanie się kończy. Przykro mi, że przeszła pani załamanie nerwowe, to musiał być dla pani ogromny szok. Współczuję. Choć z drugiej strony lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć, prawda?

– O czym pan mówi? – zirytowałam się. – Same zagadki! Czy pan nie może być bardziej konkretny? Co miało mnie tak zszokować?!

– No jak to? – zdziwił się detektyw. – Dowiedziała się pani, że nie jest dzieckiem swoich rodziców. To mało?

*

Zwróciliście uwagę, że w sądach rzadko widać świąteczne choinki? Czasem mignie jakiś stroik w którymś z pokoi, ale na korytarzach sądowych choinek nie ma. W sądzie atmosfera świąt nie powinna być odczuwana. Tu jest inna rzeczywistość, urzędowa.

Gdy zapytałam, czy mogę ustawić maleńką sztuczną choineczkę na moim biurku w kąciaku mediatora, zrobiło się zabawnie. Kto powinien o tym zdecydować? Kierownik sekretariatu? Tylko którego wydziału? A może dyrektor administracyjny? Prezes sądu? Ale przecież nie będę zawracać głowy prezesowi sądu jakąś małą choinką! Ustawiłam więc i czekałam, aż ktoś mnie przegoni. Tymczasem pojawiali się kolejni klienci. Dosiadła się pani, która wyszła przed chwilą z sali rozpraw. Sąd nakazał jej odszukać wszystkich spadkobierców. I zawiesił postępowanie do odwołania, skubany!

– Ja nie będę ich szukać, bo ich znam – wyszeptła konfidencjonalnie kobieta. – To moje dwie siostry. Ale gdy powiem, że to one, to sąd je zawiadomi i sprawa się nie przeciągnie.

– Przecież już się przeciąga, bo musi je pani wskazać. – Wzruszyłam ramionami. Kobieta przysunęła się bliżej, rozejrzała dookoła niczym szpieg w akcji i powiedziała mi na ucho: – Niech pani załatwi, żeby sąd ich nie wzywał. Ja wiem, że pani ma tu różne układy, ja to wiem.

– Droga pani... – nabrałam powietrza do dłuższej przemowy, a wtedy kobieta wcisnęła mi do ręki wilgotny rulonik.

– Ja wiem, że to jest wysiłek, ja wiem – szeptała. – Ja umiem się odwdzięczyć!

Staralam się odsunąć od niej, ale przywarła jak przyspawana, cały czas zaciskając mi dłoń z tym zwitkiem.

– Ja tu przyjdę za miesiąc, pani załatwi.

I trzymała mnie dalej. Oczami wyobraźni widziałam siebie udającą się do domu z przyklejoną osobą, która szepcze mi do ucha i ściska rękę. Gdyby nie płeć i wiek... Z kłopotu wybawił mnie prokurator, którego w pierwszej chwili nie poznałam, bo był bez togi. Skrzywił się na widok przylgniętej kobiety i bezceremonialnie usiadł z drugiej strony. Byłam zakleszczona. Musiało to niezwykle ciekawie wyglądać, bo pan Mietek, przechodząc korytarzem, zatrzymał się na chwilę, popatrzył, a potem poszedł dalej, chichocząc.

– Proszę pani, ja nie mam możliwości... – zaczęłam, ale kobieta trwała przy swoim „załatw i załatw”. Wtedy doznałam olśnienia.

– To może prokurator pani załatwi, jest tutaj obok!

Kobieta znikła jak duch. Pozostał po niej ciepły zwitek. Nie wiedziałam, co z nim zrobić, wyglądał na banknot. Schowałam go do rękawa swetra, a tymczasem prokurator już nawijał.

– Pamięta pani tę parę od psa? Tych adwokatów? – Kiwnęłam głową, że pamiętam. – No to oni wcale się nie dogadali, cały czas się kłócą!

Słuchałam jednym uchem, bo zwitek palił mnie w rękę. Ani chybi przyjął łapówkę. Nie wiem nawet w jakiej wysokości, w dodatku w obecności prokuratora.

Prokurator snuł swoją opowieść, a gdy zapytał zniecka: „To ile?”, odruchowo odrzekłam:

– Nie wiem, chyba sto.

– Dobrze, powiem im i dam pani znać! – ucieszył się, po swojemu zatarł ręce i się oddalił.

Nie wiedziałam, co i komu ma powiedzieć. Gdy poszedł, sięgnęłam do rękawa. Wydobyłam zwitek i wtedy napatoczył się pan Mietek.

– Gra pani z nami dzisiaj? Takie świąteczne rozdanie! Za kasiorkę!

Pokręciłam głową przecząco.

– Panie Mieciu, nie mam forsy.

– Jak to nie? A to? – Pan Miecio pokazał palcem banknot, który wyjęłam z rękawa.

Było to dziesięć złotych. Zgodziłam się. Dziesięć złotych mogłam postawić. Uszczęśliwiony Miecio pobiegł zawiadomić pozostałych, a ja zauważyłam kolejną klientkę. Była to młoda kobieta, dość nerwowa w ruchach, która – jak poprzednia – usiadła blisko mnie.

Na wszelki wypadek złożyłam ręce razem. Kobieta skrzywiła się, gdy potwierdziłam, że rozmawiamy wstępnie tutaj, bo nie mam gabinetu, a ewentualna mediacja jest u mnie w biurze. Nie była zadowolona, ale zaczęła mówić. I tak poznałam Matkę Wszechwiedzącą.

Przekonanie, że to kobieta będzie lepszym rodzicem, odchodzi do lamusa. Wydawało mi się, że już dawno odeszło, ale jednak stale odchodzi. Co pewien czas trafia mi się mediacja z udziałem kobiety, która tak twierdzi. Najciekawsze jest to, że żadna z nich nigdy nie dostarczyła odpowiedniej ilości przekonujących argumentów na to, że to racja obiektywna.

Kobieta rozpoczęła opowieść o swoim małżeństwie, najpierw bardzo udanym, potem mniej udanym, wreszcie zupełnie nieudanym. Po wielu wieczorach spędzonych na medytacji uznała, że formuła tego związku się wyczerpała. Potwierdziła to znajoma wróżka, której zarówno wahadełko, jak i karty powiedziały, że pora na zmiany. Oznajmiła więc mężowi, że zdecydowała się na rozstanie, a on nie oponował.

Zdaniem kobiety oni się nie rozwodzili jak inni, nie kłócili o pieniądze, nie oskarżali o przemoc i dominację. Oni się spierali, kto jest lepszym rodzicem. Ponieważ nie mogli tego rozstrzygnąć na swoim gruncie, bo przyjaciele i znajomi nie dawali im jednoznacznej odpowiedzi, zwrócili się do sądu. Sąd, zdaniem klientki, podszedł do sprawy bardzo powierzchownie, ponieważ zaproponował badanie biegłych na okoliczność, kto jest bardziej wydolny wychowawczo: matka czy ojciec, i z kim syn powinien pozostać na stałe, a z kim tylko się widywać.

Pani opowiadała mi to z wypiekami na twarzy. Dlaczego była tak oburzona, wkrótce się wyjaśniło. Tymczasem pan Miecio nerwowo kiwał na mnie, bo pani Marysia i pan Karol już pojawili się przy stoliku. Słuchałam więc jednym uchem narzekań na sprawiedliwość, jakość wykształcenia polskich psychologów, warunki przeprowadzania takich badań, obiektywizm badających i tym podobne. Czas płynął, grono brydżystów czekało w napięciu, a pani się coraz mocniej rozkręcała.

– Proszę pani, przecież to oczywiste, że matka jest lepszym i bardziej wartościowym rodzicem, bo nosi dziecko w sobie długo, więc może je doskonale poznać. Potem je karmi, przewija, matka zawsze lepiej czuje niż ojciec, co dziecko dręczy. Czyż nie jest tak? Matka zawsze jest bardziej emocjonalnie związana z dzieckiem niż ojciec, bardziej wrażliwa na jego potrzeby. – Kobieta coraz bardziej podnosiła głos.

Im głośniej mówiła, tym bardziej gestykulowała, w końcu strąciła swoją choineczkę z biurka. Pochyliła się, żeby ją podnieść, i straciła równowagę. Rymsnęła na podłogę jak długa, co wywołało wesołość obecnych na korytarzu osób. Klientka podniosła się i zaczęła głośno szlochać.

– No sama pani widzi! – po chwili ryczała jak bóbr. – Ja się tak wszystkim przejmuję! A ci bezduszni sędziowie nie rozumieją, że jestem wrażliwa i kocham moje dziecko bezgranicznie!!! Dlaczego mi je odebrali! Siłą oderwali od matczynej piersi! Jak on to znieś, biedaczek?!

Poklepywałam kobietę po plecach, starałam się ją uspokoić, a przynajmniej uciszyć. Już wiedziałam, że moje hazardowe plany wzięły w łeb, bo pan Mietek prowadził pod rękę kolegę z ochrony i razem zniknęli w pokoju referendarzy, gdzie nikt im nie będzie przeszkadzał.

Pochyliłam się do klientki i zapytałam:

– Odebrali pani prawa do dziecka?

Zdażyła już trochę ochłonąć i wyjaśniła:

– Nie, oni chcą, żeby mój synek malutki zamieszkał z ojcem! Żeby mnie opuścił, jego mamusię ukochaną, jedyną! Zabrać mi go chcą!!!

Już się obawiałam, że klientka znów się rozpłacze, gdy drzwi do sali rozpraw otworzyły się i wyszła sędzia. Ojej, aż tak długo tu siedzę? Mój dyżur trwał chyba cały dzień! Sędzia spojrzała na mnie i na popłakującą na moim ramieniu klientkę, zawahała się, ale okręciła się na pięcie i odeszła. Zanosilo się na to, że zostanę w sądzie już na zawsze, z pochlipującą klientką, której odebrano syna.

– Proszę pani – zaczęłam ostrożnie. – Może uda się coś więcej wynegocjować podczas mediacji? Jeśli pani chce, powiem, na czym to polega, i pani zastanowi się, czy skorzystać, czy nie.

Klientka odsunęła się na dobry metr i popatrzyła na mnie badawczo.

– A dzięki temu odzyskam dziecko? Wróci do mnie?

– Tego nie mogę pani obiecać. Mediacja służy podjęciu próby znalezienia takiego rozwiązania, które będzie w danej sytuacji najlepsze i jednocześnie satysfakcjonujące dla obu stron.

– To mąż też będzie w tym uczestniczył?

– Tak, mediacja to rozmowa obu stron, wspólne szukanie rozwiązań. Podczas mediacji nikt nie jest poddawany ocenie ani osądzany, a mediator nie orzeka jak sędzia.

– Aha, to może i lepiej, bo ta cała sędzia... – Tu pani wykonała obraźliwy gest sugerujący, że sędzia jest niezbyt mądra.

– Proszę dać mi kontakt do męża, jeśli się zgodzi, to ustalimy termin mediacji.

Klientka wstała i odrzekła dumnie:

– Sama mu powiem. Ale muszę to przemyśleć. – I sobie poszła.

*

Grudzień przywitał nas śniegiem i bajkową scenerią niebieskawych drzew. Moje córki ulepiły w ogrodzie dziadków wielkiego bałwana, którego wyposażyły w starą czapkę dziadka, szalik Basi i moją kamizelkę z wełny. Pilnował ogrodu, przyglądając się nam guzikowymi oczami.

Od rozmowy z detektywem upłynął blisko tydzień. To, co mi powiedział, nie mieściło się w żadnym z przemyślanych przeze mnie scenariuszy. Zbyszek gdzieś wyjechał i nie mogłam z nim omówić tej najnowszej rewelacji. Betka chodziła ze spuszczoną głową i warczała na

każdego, kto do niej podszedł.

W przedszkolu wiele się działo. Przygotowania do jasełek szły pełną parą i dzieci przejęte nie mniej od wychowawczyń nieustannie ćwiczyły swoje rólki. Moje dwa aniołki wyśpiewywały kolędy i nastrój nadchodzących świąt Bożego Narodzenia powoli udzielał się wszystkim. Matka znów stała się miłsza, tematu listu nie poruszała, a ja – nie znajdując pomysłu, jak odnieść się do tej nowiny – także milczałam. Ojciec pracował nad najnowszym wynalazkiem, który zamierzał opatentować w nowym roku. O Cezarym nikt nie wspominał.

Niespełna tydzień później klientka z sądu zatelefonowała z informacją, że ona i mąż zgadzają się na mediację. Ustaliłam z nimi termin na dwa dni przed świętami.

Przyjechałam wcześniej niż zwykle, usiadłam w swoim kąciku i pogрузyłam się w lekturze. Często zabierałam ze sobą książkę, żeby w chwilach, gdy nikt nic ode mnie nie chciał, nie siedzieć bezmyślnie i nie patrzeć tępo przed siebie. Tym razem był to dobry kryminał, w którym w tajemniczych okolicznościach ludzie znikali i pojawiali się w najmniej oczekiwanym momencie, akcja płynęła wartko. Prawie zapomniałam, że jestem w sądzie, a nie w bagażniku samochodu razem z głównym bohaterem. Dlatego trudno się dziwić, że aż podskoczyłam, kiedy ktoś nagle do mnie zagadał.

Zobaczyłam przed sobą dwóch identycznych mężczyzn. Obaj uśmiechali się i stali lekko przechyleni na lewą stronę. Byli w dobrze skrojonych garniturach, przy czym jeden ubrany na biało, a drugi na czarno. Przedstawili się i powiedzieli, że są adwokatami. Przyszli do mnie, ponieważ mieli sprawę...

Wydawała się łatwa i oczywista. Oto dwóch przyjaciół, architekt i inżynier, wpadło na pomysł, by wspólnie kupić spory kawałek ziemi, atrakcyjnie położony, i wybudować na nim trzy domy. Jeden dla jednego, drugi dla drugiego, a trzeci na sprzedaż. Dochód ze sprzedaży trzeciego domu miał być przeznaczony na spłatę zaciągniętego wspólnie kredytu. Panowie zgodnie przystąpili do rzeczy. Gdy stanęły fundamenty pierwszego z domów, jeden z przyjaciół – Andrzej, poznał dziewczynę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia. Postanowił natychmiast się z nią ożenić. Dziewczyna ucieszyła się i niespełna pół roku później byli już małżonkami. Tymczasem dom rósł i ustalono, że najpierw ta nieruchomość pójdzie pod młotek.

Gdy dom wystarczyło tylko wykończyć, świeżo upieczona małżonka oznajmiła, że jest w ciąży, zatem dom należy zaadaptować na potrzeby rodziny, a w celach zarobkowych wybudować następny. Andrzej przedstawił sprawę koledze, który, o dziwo, zgodził się. Pod jednym wszakże warunkiem: wykończenie domu sfinansuje Andrzej oraz zgodzi się wziąć drugi kredyt, żeby postawić drugi dom.

Andrzej dysponował środkami, zgodził się więc bez warunków. Swój przybytek urządził luksusowo i podpisał wniosek kredytowy. Druga nieruchomość wyrastała tuż za jego płotem. I wtedy przyszły złe wieści. Najpierw kolega stracił pracę. Bank dowiedział się o tym i zażądał dodatkowych zabezpieczeń kredytu. Andrzej wspaniałomyślnie przejął oba kredyty, ufając przyjacielowi i nie zabezpieczając się w żaden sposób. Nie martwił się, bo wartość wznoszonej nieruchomości wprawdzie nie pokrywała się z kwotą, którą należało spłacić, ale w planach mieli trzeci dom i Andrzej wierzył, że z kolegą go jednak zbudują i sprzedadzą, pokrywając wszystkie zobowiązania.

Gdy drugi dom był już prawie wykończony i panowie przymierzali się do wystawienia go na sprzedaż, Andrzej poprosił żonę, by dokapitalizowała inwestycję, zasilając konto jego firmy niebagatelną sumą dwustu tysięcy złotych. Pieniądze pochodzić miały ze spadku, który żona właśnie dostała.

I wtedy nadeszła niespodziewana wiadomość. Żona Andrzeja złożyła pozew o rozwód. Domagała się połowy wspólnego majątku oraz... zwrotu rzekomo pożyczonych dwustu tysięcy

złotych. Spadło to na Andrzeja jak grom z jasnego nieba. W dodatku do firmy zapukał przedstawiciel nieznanego mu firmy deweloperskiej, który twierdził, jakoby grunt, na którym znajduje się dom, należał do niego.

Jak można się domyślić, sprawy szybko trafiły do sądu. Jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne wyroki, niekorzystne dla Andrzeja. Nie wiedzieć kiedy stał się bezdomny, bezrobotny i rozwiedziony, z olbrzymimi długami na karku. Udał się po pomoc prawną do zaprzyjaźnionej kancelarii, ale dług tylko mu się powiększył. Zdesperowany gotów był popełnić samobójstwo, przygotował nawet linę i wybrał miejsce: postanowił powiesić się na więźbie dachu nowo budowanego domu, by na belce pod sufitem dyndać i oszustom śnić się po nocach. Poczekał do piątku, bo w weekend ekipa budowlana nie pracowała, i wieczorem zaczął się pod budynkiem.

W środku ktoś był. Andrzej postanowił czekać. Cóż znaczyło parę minut wobec wieczności, która na niego czekała. W pewnym momencie do intruza ktoś dołączył, a potem jeszcze trzeci osobnik. To Andrzeja nieco zirytowało, bo nie zamierzał umrzeć z wyziębienia, tylko dramatycznie, wieszając się. Wychylił się więc i zajrzał przez szparę w deskach zabitego okna. Zobaczył swojego przyjaciela, była już żoną i prawnika z zaprzyjaźnionej kancelarii. Podszedł bliżej i nadstawił ucha.

– To jest jełop straszliwy, przygłupiasty jak nikt – roześmiała się kobieta. – Nie zorientował się do tej pory, to i potem się nie zorientuje.

– To prawda – przytaknął przyjaciel. – Jest zbyt naiwny. Nie dostrzega swojego potencjału, a nie ma nic złego w tym, że człowiek korzysta z okazji!

– Tak, ale trzeba być ostrożnym, bo to śliska sprawa jednak – mruknął prawnik. Dalszego ciągu jego wypowiedzi Andrzej nie słyszał. Zobaczył za to, jak kumpel obejmuje jego byłą żonę, całuje ją w policzek i mówi: – To już pańska w tym głowa, mecenasie, żeby było ok. My jutro na krótko wyjeżdżamy, a gdy wrócimy, chcielibyśmy wszystko sfinalizować.

Potem Andrzej dowiedział się, że wybierają się na Dominikanę, i wtedy zrezygnował z samobójstwa. Ze sznurem w ręku jednym skokiem znalazł się przy drzwiach. Nie bawił się w otwieranie, ale rozwarł je kopniakiem. Zawinał sznur na przegubie i sycząc zajadłe: „Zabiję cię, knurze niemyty!” – runął do przodu. Towarzystwo rozpierzchło się, a Andrzej dopadł belki podpierającej strop i zwalił całą konstrukcję na ziemię.

Lokalna policja została poinformowana o zamachu na życie Bogu ducha winnych osób, a Andrzej nie tylko się nie wyparł tego, ale oświadczył, że próbę ponowi. Sprawa więc trafiła do sądu. Przydzielono mu adwokata z urzędu, ze względu na dramatyczny stan finansów, i nie wiadomo z jakiej przyczyny od razu skierowano sprawę do mediacji. Na mediatora wyznaczono mnie, a dwuosobowa ekipa adwokatów z urzędu przybyła właśnie na mój dyżur.

Zapytałam, dlaczego nie przyszedł zainteresowany. Wtedy zaczął się niezwykle dialog:

– On nie może – powiedział mecenas ubrany na biał.

– Nie może – powtórzył ubrany na czarno.

– I nie będzie mógł – dodał ten na biał.

– Nie będzie – powtórzył czarny.

– A dlaczego nie może i nie będzie mógł? – zdziwiłam się. – Nie żyje? Jest sparaliżowany?

– Nie, skądże, nie jest sparaliżowany i oczywiście żyje! – Uśmiechnął się szeroko biały adwokat.

– Nie jest i żyje – dodał czarny.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Zdaje się, że wyczerpaliśmy temat. Pan biały uśmiechał się szeroko, a pan czarny tylko półgębkiem. Patrzyli na mnie z lekkim politowaniem.

– Pani nie będzie miała łatwego zadania – zaczął biały.

- Nie będzie – podkreślił czarny.
- Tak, już to widzę – powiedziałam z przekąsem.

Nasza zajmująca konwersacja trwała jeszcze chwilę, nie posuwając mnie ani o krok do przodu. Nie dowiedziałam się, po co panowie do mnie przyszli. Gdy zobaczyłam na korytarzu znajomego prokuratora, wstąpiła we mnie nadzieja.

- A kto skierował sprawę do mediacji? Sąd czy prokuratura?

Panowie adwokaci popatrzyli na siebie. Może była to tajna informacja i zastanawiali się, czy mi ją ujawnić. Zanim podjęli decyzję, prokurator mnie zauważył i podszedł rozbawiony.

– Ale się pięknie zgraliście kolorystycznie. – Nawet nie zauważyłam, że siedziałam ubrana w czarno-białą sukienkę między ubranymi na czarno i biało prawnikami. Też się uśmiechnęłam.

– Tak, panowie do mnie z mediacją, chyba sprawa z pana ogródka, prokuratorze! – zablefowałam.

– A jakaż to? Jakaż? – Prokurator umościł się na krzeselku, które usłużnie zwolnił biały adwokat. Czarny zresztą też wstał.

- Ta o zniszczenie mienia – powiedział ostrożnie mecenas w białym garniturze.

– A, od tego niedoszłego samobójcy! A znam, znam! Bo to ja oskarżam, to jak mam nie znać! – Prokurator zaśmiał się ze swojego dowcipu. – Ale numer z tego gościa, ja nie mogę!

Adwokaci jak na komendę zmarszczyli brwi. A prokurator mówił dalej:

– No mówię pani, jacy głupi są ludzie! Poszedł i dom im rozwalił, zamiast dać po pysku, no nie mogę po prostu! I dostanie pewnie jakąś grzywnę, a podobno spłukany, no komedia normalnie! A mówiłem już pani, że ten adwokat, co to już kiedyś o nim opowiadałem, to on chce do pani na mediację? Żonę przekonuje, jak przekona, to się zgłoszą. Powiedzą, że ode mnie, to ich pani przyjmie. O rany, jak oni się teraz nienawidzą! Na jednej rozprawie to tak się żarli, że sędzia się prawie popłakała. No cyrk na kółkach po prostu!

Przerwałam monolog prokuratora, a on, ocierając łzy rękawem togi, oddalił się. Panowie czarny i biały zupełnie zmienili nastawienie do mnie. Biały usiadł po mojej prawej stronie, czarny po lewej i zaczęli mówić w swoim stylu:

- Naszego klienta można uratować!
- Można!
- Tylko że on się głupio podkłada, ale jest wyjście.
- Bardzo głupio!
- Chodzi o to, że to jest grubsze przestępstwo i on jest nam potrzebny, żeby to wyjaśnić.
- Dużo grubsze!
- Jak go zamkną, to po sprawie!
- Nie mogą go zamknąć!
- Czy pani może negocjować poza sądem, bo to trochę nielegalne będzie?
- Tylko trochę!

No cóż, muszę zataić sporo szczegółów tej sprawy. Między innymi to, dlaczego adwokaci mówili o odsiadce, skoro prokurator zapowiadał grzywnę. Istotnie, metody działania mecenasów okazały się mocno nielegalne, nie tylko trochę. A wszystko po to, by w legalny już sposób udowodnić, jak dokonano oszustwa na wielką skalę. Chodziło, rzecz jasna, o ten grunt pod budynkami. A ponieważ mediatorowi nie wolno ujawniać szczegółów mediacji objętych tajemnicą, nawet po jej zakończeniu, mogę tylko powiedzieć bardzo ogólnie, że zostałam poproszona o przeprowadzenie mediacji ze z góry zaplanowanym zakończeniem dlatego, by pewna osoba nie otrzymała wyroku skazującego na więzienie, nawet w zawieszeniu.

Mediacja w sprawach karnych może bardzo pomóc sprawcy, bo gdy dojdzie do

pojednania z ofiarą, sąd może warunkowo umorzyć postępowanie, nadzwyczajnie złagodzić karę, odstąpić od jej wymierzenia lub zastosować inny środek łagodzący. We wspomnianej historii na to właśnie liczono.

Zgodziłam się, ciekawa, co z tego wyniknie. A było jak w filmie. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jeszcze tego dnia do sądu przyjechało po mnie dwóch poważnych panów, ubranych na czarno. Jeden miał pod pachą niewielką, brązową teczkę.

– Dlaczego nie noszą panowie czarnych futerałów na skrzypce? – zakpiłam. – Bardziej by pasowało niż ta kosmetyczka!

Jeden z czarnych otworzył usta ze zdziwienia, za to drugi podchwycił dowcip i odrzekł z uśmiechem:

– Ależ mamy i futerał! Tylko że na kontrabas i ciężko takie bydlę zmieścić w samochodzie. Zapraszam!

Wsiadłam z nimi do czarnego samochodu i pojechaliśmy. Dodam przy tym, że otrzymałam zapewnienia, iż włos mi z głowy nie spadnie.

Samochód zatrzymał się przed eleganckim domem ze wspaniałym ogrodem. Z najwyższą rewerencją wprowadzono mnie do przepięknego salonu i zaproponowano wyszukane napoje. Nie skorzystałam. Po chwili weszło dwóch kolejnych panów, także ubranych na czarno. Krótko przedstawili mi sprawę i pokazali przygotowane papiery.

– Czy mogę chociaż porozmawiać ze stronami? Tak będzie uczciwie – zapytałam, czytając tekst, w którym oświadcza się, że strony się pobily, ale nie czują już do siebie żalu i kończą całą historię, pozostając w zgodzie.

Jeden z dwóch czarnych najpierw się skrzywił, ale potem na kogoś skinął. Po kilku chwilach przywieźli na wózku człowieka w gipsie od szyi w dół. Wyjaśniono mi, że to sprawca.

– Czy pan potwierdza, że okoliczności sprawy nie budzą zastrzeżeń, jest pan gotów przeprosić ofiarę i jej zadośćuczynić? – zapytałam gipsową mumię.

Pomachał mi palcem ręki, bo głową nie mógł kiwnąć.

– Pani mecenas kochana, on wszystkiego żałuje i na wszystko się godzi, tylko pani to podpisze! – zniecierpliwiał się ten czarny, który kazał go przywieźć.

– A gdzie jest ofiara? – Puściłam jego słowa mimo uszu. – Żyje?

Panowie parsknęli śmiechem, a czarny przestał się śmiać pierwszy.

– Zawieźcie panią mecenas do ofiary! – poleciał.

Pojechaliśmy więc do szpitala. Drugi z uczestników mordobicia leżał na wyciągu, jeszcze bardziej zagipsowany niż tamten. Tylko oczami mrugał. Szybko ustaliłam, co było mi potrzebne, i podpisałam papiery. Zwłaszcza że nazywał się Maciej Kostrzycki.

Panowie elegancko odstawili mnie pod dom, na pożegnanie oferując swoje „usługi” w przyszłości. Sprawy Andrzeja potoczyły się już bardzo szybko. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki deweloper przestał interesować się gruntem, kolega skruszony padł przed Andrzejem na kolana, a była żona przestała się domagać jakichkolwiek pieniędzy.

Jaki miał związek Maciej z tym wszystkim, nigdy się nie dowiedziałam, ale odczułam satysfakcję, widząc go na tym wyciągu.

Andrzeja nie poznałam osobiście, nie dowiedziałam się także, dlaczego akurat mnie wybrano do tej sprawy, bo w końcu wielu mediatorów chodzi po świecie. Mogę jedynie się domyślać. Natomiast panowie adwokaci, czarny i biały, nie pojawili się już u mnie i nikt nie miał z nimi później w naszym sądzie do czynienia.

Dwudziestego drugiego grudnia pojawiła się w biurze moja para z sądu.

– Bo to jest tak: dziecko jest związane bardziej ze mną, bo je urodziłam, wychowałam i w ogóle mamy silne powiązania karmiczne – zaczęła od razu klientka, nie dopuszczając nikogo

do głosu. – Ja z nim chodzę na zajęcia dodatkowe, pomagam w lekcjach, podaję posiłki, ubieram i pocieszam, gdy trener lub koledzy go skrzywdzą. Jestem przy nim zawsze, dzień i noc, i zawsze, gdy coś mu się działo, to byłam. Jak pani nauczycielka uwzięła się na niego, to przeniosłam go do innej szkoły. Jak na koloniach go gnębili, to wymusiłam oddzielny pokój, bo przecież wychowawcy są dla dzieci, a nie dzieci dla wychowawców. Ja staram się doskonalić duchowo, ćwiczę jogę i śpiewam mantrę, jem tylko zdrowe posiłki i jestem bardzo świadoma potrzeb swoich i swojego dziecka. Mój mąż natomiast tkwi w miejscu. – Tu wycelowwała w niego palec wskazujący.

Mężczyzna nawet się nie poruszył. Był to szczupły facet około czterdziestu lat, krótko ostrzyżony, który siedział i nie odzywał się od samego początku. Pomyślałam, że słowa, które z prędkością karabinu maszynowego wypluwała z siebie jego żona, bardziej pasowały do niego niż do niej. Kobieta mówiła i mówiła, a ja wyprostowałam się, żeby przerwać już ten monolog i uzyskać jednak bodaj pół słowa od jej męża. Niestety, było to trudne, bo klientka nie robiła w swojej wypowiedzi żadnych przerw. Nie nabierała powietrza czy co?

– Proszę pani, mnie wróżka powiedziała, że mam starą duszę, a mój mąż młodą i nie dogadamy się przez kolejne piętnaście wcieleń. Ale ja ciągnę energetycznie mojego syna i nie mogę go tak zostawić, bo mąż nie rozumie, co jest mu potrzebne. Mój syn jest niezwykle wrażliwy i wszystko go męczy, a ojciec wymaga od niego za dużo. Ja wiem, że z ojcem nie będzie mu dobrze, bo ja to czuję. Mam rozwinięte dodatkowe zmysły i widzę, i słyszę, co krzyczy dusza mojego syna, proszę pani. Ona krzyczy, że syn musi pozostać przy matce!

Tu panią na chwilę zatkało, więc wykorzystałam ten moment i zadałam panu moje ulubione pytanie:

– Co pan na to?

– Moja żona zwariowała – podsumował krótko. – Oszałała, sama pani słyszy.

Gestem powstrzymałam panią, która zagulgotała na te słowa. On spokojnie mówił dalej:

– Ja już się z tym pogodziłem. Nie chce ze mną żyć, trudno. Chce się bawić w wywoływanie duchów, trudno. Ale nie mogę pozwolić, żeby tak traktowała syna. I tak za długo to trwa.

– Co ci przeszkadza?! No co?! – zahuczła pani.

– Te smrody w domu mi przeszkadzają! Te rytuały dziwne! To, co ty w tych garnkach gotujesz! Śmierdzi, jakby tam trup się rozkładał! I syn, którego niańczysz, jakby miał roczek! – rozkręcił się pan. – Stary chłop, a ta mu guziki od piżamy zapina! Do szkoły go odprowadza! Czy pani wie, że ona – tu wskazał palcem żonę – że ona chciała jednego chłopaka pobić, bo nawymyślał naszemu synowi od fajtłap?! A miał facet rację! Nasz syn to fajtłapa i tchórz! Maminsynek!

Zawsze staram się nie dopuścić do ostrej wymiany zdań, która może przerodzić się w kłótnię. Tak zrobiłam i tym razem. Przerwałam rozmowę i poprosiłam pana, by wyszedł na chwilę na zewnątrz zapalić papierosa. Pani chlipała. Gdy mąż wyszedł, agresywnie zaatakowała.

– Słyszała pani? Słyszała?! Ten prostak mi zarzuca, że nie wiem, co dla mojego dziecka jest najlepsze! Impotent!

– Ignorant chyba...? – sprostowałam niepewnie.

Lepiej nie brnąć w szczegóły ich intymnego pożycia.

– To też! – Pani kiwnęła energicznie głową i znów zaczęła się rozkręcać. – Bo wie pani, on w ogóle nie rozwija się wewnętrznie, nie szuka, nie wchodzi w głąb siebie. Ja wiem wszystko, bo mam trzecie oko!

Ponieważ mrugnęła do mnie porozumiewawczo, kiwnęłam głową. A niech ma nawet dwie głowy, ja pozostanę niewzruszona. Pan wrócił po chwili i mediacja rozpoczęła się na nowo.

– Nie możesz separować mnie od dziecka! Ja muszę czuwać nad jego duszą! – żądała żona.

Mąż spokojnie usiadł i westchnął.

– Dusza, z tego, co się orientuję, jest metafizyczna, niecielesna i można się nią zajmować nawet na odległość – powiedział. – Ale mniejsza z tym. Rozumiem i popieram, że dziecko powinno mieć kontakt z obojgiem rodziców, dlatego się nie sprzeciwiam, żebyś kontaktowała się z Jasiem.

Pani przez chwilę słuchała w milczeniu. Gdy otworzyła usta, by coś powiedzieć, powstrzymałam ją gestem, niczym rzymski centurion.

– Proponuję, żebyś przemyślała następujące rozwiązanie: Jaś zostaje w naszym mieszkaniu. On z nikim się nie rozstaje, więc sobie spokojnie tam mieszka. Ty nie chcesz być ze mną, w porządku, zatem wyprowadzimy się oboje. I na zmianę będziemy go widywać, jeden tydzień ty, drugi ja, na przemian.

Popatrzyłam na klientkę. Zmarszczyła brwi.

– A gdzie ja będę mieszkać? – zapytała.

– Znajdziesz sobie mieszkanie i ja też znajdę. Nie czuję się winny rozstania, ale skoro nie może być inaczej, to uważam, że takie rozwiązanie jest najrozsądniejsze. Wtedy nikt nikomu nie będzie wchodził w drogę.

– Ależ to bzdura! – krzyknęła kobieta. – Mam sobie wynająć mieszkanie, w którym będę mieszkać co drugi tydzień?!

– Teraz i tak musisz wynająć mieszkanie, więc co za różnica?

– Bo syn powinien być przy matce!

– Ale jest przy ojcu. Sąd tak zdecydował!

– Głupi sąd! Ja się odwołam! Co taka sędzia wie?! Ona nawet porządnych butów nie miała, tylko jakieś łapcie! To co ona może wiedzieć o moim dziecku!

– A ile chłopiec ma lat? – zapytałam w końcu.

– Siedemnaście, droga pani. To dorosły chłop. – Pokiwał głową pan.

– On jest bardzo wrażliwy! Jak dziecko! – nie odpuszczała pani. – Ja wiem...

– Tak, pani wie najlepiej – przerwałam nieunikniony wywód. – Ale proszę jednak przemyśleć propozycję lub zaproponować inne rozwiązanie, poza siłowym. Pani syn za rok będzie pełnoletni i możliwość udania się do sądu w jego sprawie zniknie. A problem pozostanie. Może warto rozwiązać go już dziś?

*

W domu córeczki przypomniały, że w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem, więc może nasz pies powie coś mądrego. Dziadkowie sprezentowali im szczeniaczka, który nie mógł spokojnie poczekać jako zapakowany prezent pod choinkę. Święta postanowiliśmy spędzić razem, moi rodzice i my trzy. Zaprosiłam również Betkę, ale odmówiła. Zbyszek finalizował przeprowadzkę do kolegi i Wigilię miał spędzić z jego rodziną. Jego lampy wciąż stały w starym mieszkaniu.

Pod choinką znalazłam jako prezent białą kopertę, zaadresowaną ręką matki, z dopiskiem: „Wszystko to, czego nie miałam odwagi powiedzieć Ci wcześniej” i zesłoroczną datą. Czyli zaginiony list przyniósł mi Święty Mikołaj. Postanowiłam nie psuć sobie świąt i odłożyłam jego lekturę na później.

Po rozmowie z Matką Wszzechwiedzącą miałam serdecznie dość duchów, karmy, wróżb i prognoz. Ale kilka godzin później pochyliłam się nad maleńkim psem i zadałam mu pytanie:

– Piesku kochany, powiedz mi, czy ta para znajdzie dobre rozwiązanie? Albo

jakikolwiek?

Psina spojrzała na mnie z politowaniem i pokiwała łebkiem.

Więcej nie chciała nic powiedzieć, a rodzina i tak miała do mnie pretensję, że wykorzystałam okazję. Pies jednak miał rację. W przerwie między świętami spotkałam się z klientami. Pani zastanowiła się i zaproponowała swoje rozwiązanie: należy zapytać sąd, czy to będzie dobre dla dziecka. Prawo polskie nie przewiduje możliwości udzielania odpowiedzi sądu na pytania obywateli w sprawach, w których nie mogą dojść do porozumienia. Prawo polskie od razu zakłada, że takie pytanie to zaproszenie do procesu. A proces musi toczyć się o coś. Inaczej powaga sądu byłaby zagrożona.

I tak do sądu trafiła ugoda, którą złożyłam i jak nigdy wcześniej czekałam z niecierpliwością na decyzję.

Ugoda brzmiała tak:

Strony są zgodne, iż:

Będą wnioskować do Sądu, aby władza rodzicielska nad małoletnim Jasiem pozostała w gestii obydwójga rodziców.

Mając na uwadze troskę o prawidłowy rozwój emocjonalny, fizyczny i umysłowy dziecka oraz zapewnienie mu poczucia bezpieczeństwa i zaspokojenie jego potrzeby miłości, niezbędny jest dla niego nieograniczony kontakt z obydwójgiem rodziców, Jaś w żadnym wypadku nie zostanie rozdzielony z żadnym z rodziców ani żadne z rodziców nie będzie ograniczało kontaktów z drugim z rodziców. Jednocześnie Strony wnoszą do Sądu o ustalenie, do czasu ukończenia przez małoletniego 18. roku życia, czy rodzicem lepiej rozpoznającym potrzeby dziecka jest ojciec.

Strony będą współpracować we wszystkich kwestiach dotyczących dziecka, jego zdrowia, rozwoju, wykształcenia. Podejmować decyzje, kierując się jego dobrem, nie własnymi ambicjami. Jeżeli pojawią się kwestie sporne, których rodzice nie będą w stanie sami rozstrzygnąć, zwrócą się o pomoc do mediatora lub innej osoby, którą oboje uznają za autorytet w tej sprawie, a jeżeli to nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, zwrócą się do Sądu o rozstrzygnięcie.

Strony ustaliły, że do czasu rozstrzygnięcia przez Sąd w co drugi weekend (sobota i niedziela) opiekować się będą dzieckiem naprzemiennie, zaś wszelkie zmiany w tej kwestii będą uzgadniać z co najmniej dwudniowym wyprzedzeniem.

Strony nie zgadzają się w następujących kwestiach i proszą Sąd o rozstrzygnięcie:

Strony nie doszły do porozumienia w kwestii dotyczącej ewentualnego zakończenia związku, w tym nie uzgodniły, czy wnioskować chcą o rozwód, czy o separację. Strony proszą o ustalenie, które z wymienionych rozwiązań jest lepsze z punktu widzenia dobra dziecka.

Strony nie porozumiały się w kwestii ustalenia sposobu sprawowania opieki nad dzieckiem i zgodnie wnioskują do Sądu o rozstrzygnięcie w tej sprawie, w oparciu o badania przeprowadzone przez biegłych Rodzinnego Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego, w szczególności o zbadanie, który z rodziców daje większą rękojmię prawidłowego sprawowania opieki, czy forma tak zwanej opieki naprzemiennej, polegającej na niezmiennianiu ośrodka życia dziecka i nakłonieniu rodziców do cyklicznego przemieszczania się w celu sprawowania nad nim opieki jest właściwa ze względu na rozwój emocjonalny i fizyczny dziecka, jeśli nie, to jaka forma opieki byłaby najwłaściwsza, ze wskazaniem tak zwanego rodzica wiodącego i ustaleniem harmonogramu spotkań dla drugiego z rodziców.

Strony ustaliły, że miesięczny średni koszt utrzymania małoletniego wynosi 1500–2000 zł. Strony będą wnioskować do Sądu o ustalenie, czy nierozstrzygnięcie co do kwestii korzystania przez Strony ze wspólnego mieszkania oraz w kwestii podziału majątku wspólnego

może wpłynąć na sytuację małoletniego.

Sąd postanowił zwrócić się o rozstrzygnięcie do biegłych psychologów. A zanim oni wydali opinię, chłopiec stał się pełnoletni i wyjechał do Anglii.

Dwudziestego ósmego grudnia na sądowym korytarzu wrzało jak w ulu. Ludzie biegali w pośpiechu w tę i z powrotem, co jakiś czas ktoś kogoś wołał. Istny młyn. Do informacji sądowej ustawiały się kolejki, a zniecierpliwieni petenci rozglądali się bezradnie dookoła. Wszystkim, nie wiedzieć czemu, bardzo się tego dnia śpieszyło.

Dyżurowałam w tym sądzie blisko rok. Oswoiłam się z otoczeniem na tyle, że mogłam służyć jako punkt informacyjny. Zresztą często tak było, że instruowałam przybyłych, gdzie co się znajduje, pomna własnych pierwszych doświadczeń w tym miejscu. Sędziowie i prokuratorzy przywykli już do obecności mediatora we wnęce sądowego korytarza, a klientów z każdym dyżurem przybywało. Czasem mój kącik zamieniał się w rozmównicę albo punkt zwierzeń.

Z zainteresowaniem obserwowałam sąd od kuchni. Nieraz zdarzyło mi się widzieć sędziego z krzywo zapiętymi guzikami koszuli, który wbiegał na salę sądową, pośpiesznie zakładając togę. Innemu udało się przesiedzieć w todze prokuratorskiej zamiast sędziowskiej, bo przez pomyłkę ściągnął z wieszaka nie ten strój. Kiedyś założył togę na lewą stronę i zaprzyjaźniony ze mną prokurator zaśmiewał się, że sędziego drapało w grdykę i stale gmerał pod brodą. Jedna z ławniczek nie wytrzymała i pomogła sędziemu pozbyć się problemu.

– Nie uwierzy pani, jak mamusia synkowi – płakał ze śmiechu prokurator. – Dała mu swoją haftowaną chusteczkę wyglądał, jakby miał śliniaczek pod szyją!

Widziałam również adwokatów, którzy desperacko telefonowali do swoich sekretarek i asystentów, by sprawdzili w dokumentach, czego, do licha, ma domagać się w sprawie, bo nie zdążył doczytać.

Nie dziwił mnie także widok eleganckiej protokolantki, która z wysoko uniesioną głową wchodziła na salę rozpraw, a za nią kroczyła sędzia, którą w pierwszej chwili można było wziąć za woźną lub sprzątaczkę.

Pewnego razu rozbawił mnie mężczyzna, który przyszedł do sądu w bardzo długim płaszczu, do kostek. Przewodnicząca nakazała mu udać się do szatni i zdjąć okrycie. Polecenie wykonał, po czym wrócił na salę w równie długim płaszczu, który miał pod spodem.

*

– Witam, witam! – ucieszył się tego dnia prokurator na mój widok. – Pani jest jak policja, zawsze pierwsza na miejscu!

Usiadł obok mnie i zatarł ręce, po czym od razu poznałam, że sprawa potoczyła się po jego myśli.

– Wygrał pan? – zapytałam z ciekawości.

Mój rozmówca tylko na to czekał. Uśmiech ozdobił jego okrągłą twarz, a oczy zaiskrzyły.

– Na całej linii – pochwalił się. – Rozłożyłem mecenasa na łopatki. Ciekawe, co powie na rozprawie, bardzo ciekawe, bo ja dopiero wygram, droga pani. Piękne zakończenie roku. Piękna sprawa, wielowątkowa, zagrożenie wysoką karą, więc aż się prosiło o areszt. Wie pani, ja bardzo szanuję przestępców, którzy mają łeb na karku i potrafią sprytnie ukraść. Kiedyś to był fach, złodziej uczył się od mistrza i z czeladnika stawał się mistrzem. Z takimi trzeba było nie lada się pomęczyć, ale za to potem aż przyjemnie patrzyło się, jak ich zakuwają w kajdanki. Każdego profesjonalistę warto szanować!

– A o co pan oskarża?

– Proszę pani, cały zestaw: fałszowanie dokumentów, działanie na szkodę spółki,

wyłudzenia, poświadczanie nieprawdy, posługiwanie się podrobionymi dokumentami i zwykła, najprawdziwsza w świecie kradzież.

Prokurator mówił to takim tonem, jakby chodziło o menu w ekskluzywnej restauracji. Z jego wypowiedzi wywnioskowałam, że chociaż oskarżony bardzo dobrze zorganizował cały proceder, to zgubiła go pewność siebie, chciwość i przekonanie o bezkarności. Prokuratura dysponowała obszernym materiałem, dzięki któremu, jak wyraził się prokurator, pięciu można byłoby posłać za kratki.

– Tak to już jest, droga pani mediator – zaczął filozofować prawnik. – Każdemu się wydaje, że jest najmądrzejszy z całej wsi, i każdemu takiemu prędzej czy później nóżka się powinie. A zna pani ten kawał: policjant zatrzymuje kierowcę i zamiast zażądać dokumentów do kontroli, to kłania się i mówi: „Gratuluję, jest pan milionowym zatrzymanym kierowcą, z tej okazji wręczymy panu nagrodę, czyli tysiąc złotych”. W tej chwili podchodzi do nich dziennikarz i pyta kierowcę, na co wyda te pieniądze. Mężczyzna odpowiada: „Pójdę wreszcie na kurs prawa jazdy”. Na to odzywa się siedząca obok niego kobieta: „Panowie, mąż zawsze tak głupio żartuje, gdy wypije pół litra ze szwagrem!”. Policjant każe więc wysiąść kierowcy i wtedy z tylnego siedzenia odzywa się szwagier: „A nie mówiłem, że kradzionym autem daleko nie zajedziemy?”. No, ale na mnie pora, robota czeka! – poderwał się prokurator, bo wywoływali właśnie jego sprawę.

Spojrzałam w tamtym kierunku i zobaczyłam policjantów, którzy prowadzili Cezarego. Miał ręce skute kajdankami, a obok niego kroczył zasępiony adwokat.

Na koniec dyżuru pan Miecio pomachał mi talią kart, a gdy schodziłam po schodach, usłyszałam prokuratora:

– A zna pan ten dowcip? Sędzia zadaje na sali sądowej pytanie świadkowi: „To gdzie dokładnie wpadł pan na ten radiowóz? A świadek na to: „Między P a O”.

Ciąg dalszy nastąpi...

¹ *Perche tu sei arrabiato? (wł.) – Dlaczego jesteś zły?*

² *Perche raccontai ta bugia dopo altra? (wł.) – Dlatego, że ujawniam twoje kłamstwa?*

³ *Voi siete molto nervosi. Si prega di calmarsi o rompere la mediazione! (wł.) – Jesteście państwo bardzo zdenerwowani. Bardzo proszę się uspokoić, albo przerwiemy mediację!*

⁴ *Mi esprimo chiaramente? (wł.) – Czy wyrażam się jasno?*

